

Cena 10 złotych (w tym 5% VAT)

ISSN 2084-9621 nr indeksu: 284017

Fabryka Silesia

KWARTALNIK

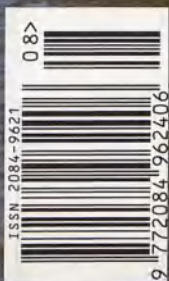
1914

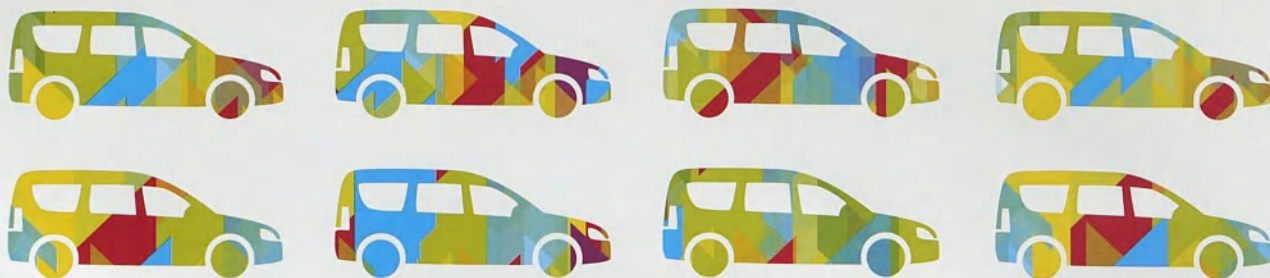
Nr 2 (7) 2014



**KONIEC
STAREGO ŚWIATA**

w numerze m.in. Guido Hitze, Ryszard Kaczmarek, Zbigniew Kadłubek,
Krzysztof Karwat, Aleksandra Kunce, Lipinsky-Gottersdorf, Alojzy Lysko,
Sebastian Rosenbaum, Kai Struve, Ingmar Villquist, Henryk Waniek





Jedziemy z kultura



REGIONALNY
OŚRODEK
KULTURY
W KATOWICACH



Śląskie.
Pozytywna energia

www.rok.katowice.pl

Fabryka Silesia

Kwartalnik nr 2 (7) 2014
40-057 Katowice ul. PCK 19
tel. 32/ 201-77-74
redakcja@fabrykasilesia.pl
www.fabrykasilesia.pl

Redakcja:

Jan F. Lewandowski (redaktor naczelny)

Administracja i sekretariat:

Katarzyna Jeruszka

Redakcja graficzna, łamanie:

Magdalena Wojtyła

Rada Redakcyjna:

Zbigniew Kadłubek, Krzysztof Karwat,
Ingmar Villqist

Wydawca:

Regionalny Ośrodek Kultury w Katowicach
Dyrektor Adam Pastuch
www.rok.katowice.pl, tel. 32/ 251-75-63

Okładka: fot. Jan Renka

Realizacja poligraficzna:

LAVENDE Jolanta Budzyńska
Korekta: Elżbieta Giszter

Sprzedaż, prenumerata:

za pomocą sklepu internetowego:
www.fabrykasilesia.pl/sklep
lub w siedzibie redakcji

Wpłaty na konto ROK Katowice:

77 1160 2202 0000 0000 2888 3011
(z dopiskiem: Fabryka Silesia,
ze wskazaniem numeru i roku wydania)

ISSN 2084-9621 nr indeksu: 284017

Wydano z finansowym wsparciem

Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej
Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung
der Stiftung für deutsch-polnische
Zusammenarbeit



FUNDACJA WSPÓŁPRACY
POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG
FÜR DEUTSCH-POLNISCHE
ZUSAMMENARBEIT

2 Jan F. Lewandowski **KONIEC STAREGO ŚWIATA**

Na przełomie stuleci

3 Zbigniew Kadłubek **DZIECI WOLTERA**

8 Kai Struve **POLITYKA NA PRZEŁOMIE STULECI**

11 Jan F. Lewandowski **KORFANTY W BERLINIE**

16 Guido Hitze **DYLEMATY ULITZKI**

20 **PO WIELKIEJ WOJNIE**

Z Ryszardem Kaczmarkiem rozmawia Krzysztof Karwat

Odkrywanie prowincji

25 Sebastian Rosenbaum **ODKRYWANIE PROWINCJI**

30 Alojzy Lysko **W BOJSZOWACH PRZED STU LATY**

34 Andrzej Kaluza **JUDENGASSE 1914**

39 Grzegorz Bębniak **W AFRYKAŃSKICH KOLONIACH**

42 Andrzej Drobik **MIĘDZY PIASTAMI A HABSBUURGAMI**

46 Bernard Linek **GÓRNOŚLĄSCY MAGNACI**

48 Sebastian Rosenbaum **KRAJOBRAZY PERYFERII**

51 Hubertus Kraft von Strachwitz **DZIECIŃSTWO JUNKRA**

53 Henryk Waniek **TEOFILA BIORĄ NA WOJNĘ**

Nad Prosną i Rawą

57 Aleksandra Kuncie **ŚLĄSK I MASA**

60 Marcin Wiatr **CZAS SPRZECZNOŚCI**

64 Beata Gibrak **LIPINSKY-GOTTERSDF**

66 Hans Lipinsky-Gottersdorf **NAD PROSNĄ** (fragmenty)

71 Henryk Waniek **MONSIEUR HANS BELLMER**

76 Hans Bellmer **OJCIEC**

77 Jarosław Lewicki **HANSI** (fragmenty)

Magiczna Silesia

84 Jan F. Lewandowski, Bogdan Kułakowski **W CESARSKIM TRÓJKĄCIE**

90 Zbigniew Kadłubek **Słowa i krajobrazy: WENTYL**

92 Krzysztof Karwat **Blisko stąd: FRANCUSKA KULKA**

94 Villqist **Na temat: KLINIKA LALEK**

96 **KSIĄŻKI NADEŚLANE I WYPATRZONE**



foto: Bogdan Kulakowski

Koniec starego świata

Zwykle historycy traktują I wojnę światową jako granicę długiego wieku dziewiętnastego. Z górnośląskiej perspektywy wojna światowa zamyka ponadto czas przynależności

całego Górnego Śląska do państwa pruskiego i niemieckiego. Jednocześnie to inicjacja polsko-niemieckiego konfliktu górnośląskiego, wpływającego tak silnie na losy regionu i jego mieszkańców w kolejnych dekadach XX wieku (debatają o tym Krzysztof Karwat z Ryszardem Kaczmarkiem w rozmowie *Po wielkiej wojnie*).

Zdarza się, że tamte czasy, gdy Górny Śląsk był częścią państwa pruskiego i cesarstwa niemieckiego (w mniejszej części monarchii Habsburgów), wywołują nadal kontrowersje, najłatwiej zauważyć w nich brak wiedzy historycznej. Nie da się pominąć faktu, że publikacje historyczne z okresu PRL pozostawały pod wpływem polsko-niemieckiego konfliktu o prawa do Górnego Śląska. Z tego powodu nasza wiedza pozostaje ułomna.

Dlatego w numerze wywołanym setną rocznicą tamtej wojny opowiadamy o końcu świata dziewiętnastowiecznego. Interesuje nas Górny Śląsk, którego już nie ma. Piszemy o zjawiskach, społecznościach, które odeszły do przeszłości. Nie ma już na przykład świata górnośląskiej szlachty i arystokracji, o którym piszą Bernard Linek i Sebastian Rosenbaum, a w pejzażu kulturowym Górnego Śląska dokonały się potężne zmiany. Nie pomijamy sprzeczności i konfliktów tamtego czasu. Podejmujemy próbę rekonstrukcji Górnego Śląska sprzed tamtej wojny, która wszystko zmieniła, lecz przecież ze świadomością przyszłości, która nastąpi.

Niemniej Górny Śląsk sprzed I wojny światowej pozostawił wiele śladów materialnych i liczne ślady w pamięci zbiorowej. Co one dzisiaj znaczą, jak są rozumiane? Jak pamięć tamtego świata, czyli dzisiejszego wspólnego dziedzictwa kulturowego polsko-niemieckiego, znajduje wyraz w sferze kultury i mitologii Górnego Śląska? W eseju *Dzieci Woltera* Zbigniew Kałużek sięga i dalej, do wieku osiemnastego.

Nie ma już ludzi pamiętających, choćby z dzieciństwa, lata wojny światowej, nie mówiąc o odleglejszych czasach przełomu XIX i XX wieku. Jednak w wielu górnośląskich rodzinach pozostały wspomnienia rodzinne, opowieści przekazywane z po-

kolenia na pokolenie. Jakieś historie o dziadkach i pradziadkach, którzy pamiętali jeszcze czasy kajzerowskie. Przekazy rodzinne bywają tym bardziej żywe, że na przełom stuleci przypada masowe rozprzestrzenienie się fotografii, to wtedy pojawiły się liczne zakłady fotograficzne. Dzięki temu narracje rodzinne wzmacniają fotografie pradziadka, choćby w mundurze Reichswehry. Z tego czasu pochodzą jakże liczne pocztówki miast górnośląskich, produkowane już wtedy masowo (a dzisiaj masowo trafiające do internetu).

Zapisy starego świata istnieją nie tylko na fotografiach i w literaturze, jak w powieści *Nad Prosną* Lipińskiego-Gottersdorfa. Jego pamiątki znajdziemy wszędzie, jeśli tylko dobrze się rozejrzymy wokół. Niemal wszystkie miasta Górnego Śląska mają śródmiejską zabudowę z tamtego okresu. To zaniebane kamienice, których piękno pokazuje się po zasadniczym liftingu. Z tego czasu pochodzą osiedla patronackie, w których nadal mieszkamy.

Z tamtego czasu pochodzą zakłady przemysłowe, trafiające czasem do sieci Szlaku Zabytków Techniki jako jego perełki. Do tego linie kolejowe, gmachy dworcowe i porzucone parowozownie. Z przełomu stuleci pochodzi jakże wiele kościołów w miastach przemysłowych, co można rozpoznać po ich neogotyckiej architekturze. Podobnie ze szkołami, te z pruskiej, czerwonej cegły rozpoznajemy od razu, są tak podobne do siebie, niezależnie od miejsca postawienia (chyba wszystkie nadal służą edukacji). Podobnie gmachy administracji, sądy i inne budynki. Niemal wszędzie znajdujemy nadal użyteczne pamiątki tamtego czasu.

Z tamtego świata, którego już nie ma, pozostałości materialnych pozostało wiele. Dzisiaj przekonują, że na przełomie stuleci – mimo konfliktów, sprzeczności i nierówności – dokonywała się w regionie pozytywna cywilizacyjna przemiana. Dlatego nie sposób patrzeć na tamten Górny Śląsk wyłącznie z perspektywy zbuntowanego Korfanteo. Warto uwzględnić także spojrzenie księdza prałata Ułitzki.

Dopiero wtedy objawi się Górny Śląsk przełomu stuleci jako tajemnicza polifonia łącząca różne fragmenty kulturowe, germańskie i słowiańskie, polskie i niemieckie (i żydowskie) w nową, osobną formę, która, z wielu powodów, także z powodu wojny, nie zdążyła nabrać wyrazistego kształtu. ■

JAN F. LEWANDOWSKI

ZBIGNIEW KADŁUBEK

DZIECI WOLTERA



Jak się to zaczęło? Jak się poczęliśmy? Jak jawi się Górny Śląsk jako okoliczność arcyłudzka, boska, ideowa, wspólnotowa, społeczna, egzotyczna? To są podstawowe sprawy, gdy pytamy o kondycję Górnego Śląska posiadającego dziedzictwo i utrwalone dziedziczenie.

Poważniej trzeba zdać sobie sprawę z przednacionalistycznej pruskości (jako pewnym planie budowania oraz wzrastania), pruskości przedindustrialnej. A zaraz potem niemieckości obecnej w kulturze w pogranicznym obszarze germańsko-słowiańskim. Nie przeocząc momentu zawładnięcia Górnego Śląska omnipotencją industrialną.

Czyli w istocie pytalibyśmy o Górny Śląsk sprzed Wielkiej Wojny 1914 roku. Troskając się o nowe dzisiaj, o dalsze losy górnośląskiej eksmaszyny, o Górny Śląsk, który jest podwójnie prowincjonalny. Zawsze prowincjonalny wobec jakiegoś centrum. Ten Górny Śląsk – który się kocha jak świat i świadectwo przymierza, jak niebo, ludzi, zwierzęta. Ale który jest wciąż (na szczęście!) poczekalnią, salą dla podróżnych oczekujących spokojnie na odprawę. Gdyż górnośląska pamięć zasadza się na „pomiędzy”, zapierającym dech „pomiędzy”, wznosząc się do uniwersalizmu (niezauważanego zarówno przez samych Górnoślązaków, jak i tych, którzy twierdzą, że ich nie ma).

I Vita activa I

Górny Śląsk jest polską krainą, ale w żyłach Górnoślązaków płynie dużo krwi niemieckiej, a w głowach króluje systematyczność i wytrwałość niemiecka. Nieco parafrazuję zdanie i wyznanie szlachetnego Alzatzczyka René Schickelego, które zapisał na krótko przed Wielką Wojną („W naszych żyłach płynie dużo krwi francuskiej, a nasze umysły mają wiele z myślenia Francuzów”). Bez zrozumienia tych słów będzie się Górnym Śląskiem pomiatało, gardziło. Albowiem wyrwanie się ostateczne i radykalne z dialektyki niemieckiej/polskiej, w której mocuje się to, co słowiańskie, i to, co germańskie, oznacza upadek. Zbalansowany Górny Śląsk może nie istnieje. Niewielu pragnie spokojną i logiczną głową objąć głębię oraz sensowność pruskiego i niemieckiego dziedzictwa Śląska, a w szczególności Górnego Śląska.

Brakuje tych, którzy zdobyliby się na śmielszą i nieuprzedzoną refleksję. Bez afektów, fałszerstw, mitów, lekceważenia, złości i jadowitości. Studiowanie, dotykane, wężanie i oglądanie dziedzictwa Górnego Śląska daje pojęcie o samej istocie komplikacji i kontynuacji, o rozciągłościach dziejowych i twórczych. I swoistej, naprawdę niezwykłej, lecz dotąd nieprzepracowanej duchowo materialnej fabrykacji, której procesy przebiegały od zewnętrzności do wnętrza: różnicując i scalając, wytwarzając jedność z wielości.

Zachłysłnawszy się *vita activa* Górny Śląsk nadprzeciętnie akumulował kapitał, ujarzmił przy-

rodę, dokonywał wielkich reorganizacji tkanek społecznych, destruował i odbudowywał podług nowych planów. Był to przemieszczający się Górny Śląsk, najnowocześniejszy punkt na globie, przyzwyczajony do wstrząsów życia i w ten sposób nieświadomie kształtujący swoje dziedzictwo.

I Ludzie bez twarzy I

Dobrze, założmy, że Górny Śląsk jest kręgiem dookoła czynu, a nie dookoła narodu – czy nawet dookoła słodczy pejzażu. Nierozwaga jednak oraz chęć zawłaszczania albo obsesyjnego porównywania wprowadza w obieg nie prawdę o Górnym Śląsku, lecz nedorzeczne „prowincjałki”. I ciągnie się to już od ponad dwustu lat.

Weźmy przykład pierwszy z brzegu. Johann Gottlieb Schummel (1748–1813) był niepozbowionym dowcipu Dolnoślązakiem. W dzienniku z podróży odbytej w sierpniu 1791 roku zapisał, że chciałby „przekonać moich dolnośląskich braci, że Górny Śląsk nie jest taką Tierra del Fuego, jaką wydaje się wielu z nich”. Bowiem Dolnoślązakom Górny Śląsk wydawał się obcy, dziki, daleki, za borami, za lasami. Nieprzyjaznym lądem, z mieszkańcami szpetnymi i zdeformowanym. Dziennik Schummela przypomina klasyczne opisy kolonizatorów Afryki, którzy pisali o Hotentotach.

Jednak apogeum jego wywodu stanowi następujące zdanie: „Górnoślązacy nie mają jakoby twarzy”. A za chwilę przechodzi Schummel do obrazów Williama Hogartha... Angielski artysta wymalował manierą komiksową zepsucie i demoralizację wrytą w fizjonomie. Jakże zatem obcy był ten Górny Śląsk dla mieszkańców zachodniej części tej samej Provinz Schlesien. Jaki musiał być obcy dla pozostałej części poddanych pruskiego państwa...

Nie wspominałbym w ogóle o Schummelu, gdybym nie musiał słuchać podobnych opinii o Górnoślązakach. Nawet jeśli z pogodą założymy, że działa tu topos dotyczący dyskursu o Górnym Śląsku: że Górny Śląsk ma reprezentację wyłącznie karykaturalną, że musi zostać wyśmiany i ośmieszony, to trzeba przyznać, że dziedziczymy tę nieufność. Dzisiaj ją *nolens volens* dziedziczymy. Teorie postzależnościowe lub postkolonialne umieją to nazwać. W istocie idzie o to, że górnośląskie przemieszczanie cierpi na deficyt albo niemieckości, albo polskości. Za mało niemieccy – dla jednych, za mało polscy – dla drugich, za mało czescy dla kogo innego. Nierasowi i niegodni zaufania.

Dla Fryderyka, którego zwie się Wielkim, właśnie dlatego, że zdobył Śląsk (było to jego „dzieło życia”, *Lebenswerk*), Górnoślązacy byli równie podejrzani. Powód? Są za bardzo spowinowaceni



fot. Max Steckel

Pocztówka z Giszowca z początku XX wieku

z Czechami (poddanymi habsburskim). Zresztą król rzadko się fatygował na prawy brzeg Odry.

Nie twierdzę, że dziedzictwo samo w sobie stanowi świetność lub świętość – tudzież przekleństwo. Należy przekraczać dziedzictwo, mówi Kenneth White, który dorastał w przemysłowym smrodzie i zgiełku Glasgow. Istnieje silny i mądry imperatyw transgresji wszystkiego, co odziedziczone. Nieprzekroczenie dziedzictwa rodzi smutny fatalizm i bezruch. Byłoby zdziczeniem dziedzictwa ślepe uwielbienie, które potrafi brutalnie uwięzić teraźniejszość w jakiejś ciasnocie i pozbawić życie barw i perspektyw. Jednak nie wolno dziedzictwa odrzucić, bo to fałszuje coś wartościowego, co nazywamy tradycją albo jakoś jeszcze inaczej. Przekroczenie nie oznacza odrzucenia, radykalnego wyrzeknięcia się tego, co odeszło nie bez śladu. Przekroczenie – krokiem sprężystym i pewnym! – pięknie oswobadza. Przekroczenie upoetycznia, a nie upolitycznia.

I Z bezkształtu i bezcielesności I

Górny Śląsk to bajeczne terytorium nadmiaru. Pruskość – praktyczne zastosowanie

idei oświeceniowych – uporządkowała ten nadmiar. Olśniewała jako wcielenie maszynierii, ładu, geometrii, dyscypliny, bezlitosnej formy, porządku, prawa, tolerancji, racjonalizmu. Na Górnym Śląsku doświadczyliśmy też nieco pruskiej siemienności. A także pruskości jako projektu mgławicowego. Można by bowiem rzec za Augustem Scholtisem: „Całe me życie byłem przywiązany do tego, co nie istnieje: do Prus”. Z pruska bowiem świat postrzegamy i – że się tak wyrażę – z pruska często bywamy jako Górnoślązacy postrzegani. Ta pruskość rozumiana jest tutaj jedynie jako walor cywilizacyjny i zwielokrotnienie produkcji.

Wystarczyło i wciąż wystarcza parę zakłęb technologicznych, trochę pary z parowych maszyn, aby dobrać się do cudów Górnego Śląska, tej jaskini Ali Baby. Zatem fizyka wyraźnie stygmatyzowała metafizykę górnośląskiej wrażliwości. Zamaskowane skarby ziemi odstąpiły skarby duchowe. Pełna rozmachu pruskość oraz wolteriański brak uprzedzeń nie przeobraziły się na Górnym Śląsku w orwellowską rzeczywistość. Ani antyreligijną praktykę. Choć należy postrzegać Górny Śląsk jako jedyny region w Polsce, gdzie miały miejsce postsekularne procesy ze wszystkimi konsekwencjami. Prometej-



fot. Max Steckel

Odlewanie śruby okrętowej w odlewni w Raciborzu

ska industrializacja przemieszana z łagodnością franciszkanizmu, żelazny zgiełk i ćwierkanie ptaków – oto śląskie dziedzictwo pruskości: popęd proroczy i szyk geometrii. Jak gdyby ktoś sportretował Woltera jako księcia wśród lilii.

Górny Śląsk to niespokojny i zdumiewający nakaz tworzenia i wydobywania z bezkształtu i bezcielesności – w kształt i cielesność. To niekończąca się i niedokończona transformacja (stymulowana rynkami) przeróżnych tkanek człowieczych, architektonicznych, geologicznych i kosmograficznych. Błyskawiczność metamorfoz i żonglerka wybuchów. Górny Śląsk to surrealizm; potworność ukochania materii, franciszkańskie śnienie harmonii z naturą, ale także kult dystansu. Jest coś niedokończonego i niespełnionego w górnośląskości, jednak – ku pocieszeniu dopowiem – niektóre piękne rzeczy pozostają niedokończone.

My Górnoślązacy jesteśmy dziećmi Woltera (przyjaciela i doradcy Fryderyka). Jesteśmy kuzynami La Mettriego (filozofa także spędzającego sporo czasu na berlińskim dworze). Jesteśmy stworzeniami, które stały się stwórcami. Nosimy niezmywalne piętno: jest ono wypadkową fryderycjańskich rojeń o prowincji doskonałej i laboratorium

filozoficznym, gdzie władza sądenia znaczyła więcej niż zastane. To nasze prawdziwe dziedzictwo, a nie pracowitość, pobożność i rodzinność. Cnoty piękne, lecz powszechne.

Mentalne dziedziczenia pruskie spowodowały efekt stalowego eksperymentu nowoczesności na niespotykaną skalę. Dlatego warte są kochania stare walcownie, walące się kamienice z klinkierowej cegły oraz rozsypujące się kominy. A także księżycowe hałdy, które dymią niczym całopalne ofiary wielkiej industrialnej hekatombi. Hałdy to może najświętsze miejsca znakowania pamięci.

I Eksmaszyna Oberschlesien I

Zatem industrializm był zeświecczeniem – nie sposób czytać go inaczej, chociaż nie chodzi o to, że za Wolterem zanegowane zostałyby chrześcijaństwo. Jednak grzeszność przemysłu specyficznie zabarwiła śląską religijność. Raczej w wolterianizmie dopatrywałbym się działania na rzecz tolerancji.

Rozwój przemysłu na Górnym Śląsku był priorytetem. Ale gdy doszły prowincje westfalska i nadreńska, Górny Śląsk z położeniem antypodalnym,



fol. Max Steckel

Targ w Königsbergu na przełomie stuleci

kresowym, narożnikowym schodził na drugi plan (gorsze drogi, niekorzystne warunki do żeglugi rzecznej). Jednak to, co się dokonało cywilizacyjnie w stuleciu 1815–1914, to szczyty osiągnięć technologicznych i intratności. Bo w grę wchodziły duże pieniądze, nie zapominajmy o tym. Przez to stulecie doświadczył Górny Śląsk również tragizmu kapitalistycznej ulotności.

Piewca amerykańskości i kalifornijskości John Steinbeck pisał pod koniec życia: „Możliwe, że przeceniliśmy korzenie jako psychiczną potrzebę. Może im większa jest tęsknota, tym głębsza i starsza jest potrzeba, wola, głód znalezienia się gdzie indziej”. Korzenie, ale jako proces ukorzenia. Byliśmy i pozostaliśmy prowincją poszukującą centrum, z centrami przemieszczającymi się dynamicznie i żwawiej. Przenikliwy wrocławianin Christian Garve (1742–1798) dawno temu dał taką diagnozę, nazywając Śląsk „przywieszką obcego państwa”. Henryk Waniek powie dwieście lat później to samo: „Śląsk jako Provinz Schlessien stał się w pewnym sensie doczepką, jak kiedyś do korony czeskiej, tak teraz do królestwa Prus”.

Po prowincji może pozostać tylko prowincjonalność. Albo nostalgia. Albo tęsknota. O ile nie doj-

dzie do głębokiego przeobrażenia i uświadomienia sobie siebie. Eksploatacja z wyraźnymi znamionami kolonializmu (przemysłowa grabież ziemi i ludzi w tej samej mierze) nie przekreśla zdolności do podejmowania nowych wyzwań współczesnego świata. Umieścić Śląsk w duchowości – tego nie da się zrobić, gdy się szerokim łukiem omija aspekt filozoficzny i oświeceniowy. Nie sposób zdefiniować to co górnośląskie wyłącznie w kategoriach etnicznych, politycznych, historycznych, korporacyjnych, naukowych, państwowych. Myślę, że zawsze górnośląskie sprawy wymykają się tym załącznikom.

Kto nie zda sobie sprawy z zasadniczego faktu Górnego Śląska jako projektu filozoficznego, będzie się oddalał od zrozumienia, co tu zaszło. Górny Śląsk wszedł w fazę krytyczną postkolonialnego rozwoju na początku lat 90. zeszłego stulecia. To oznaczałoby, iż gra w zuchwałę, istic wolteriańskie wymyślanie Górnego Śląska jeszcze się nie skończyła. ■

Zbigniew Kadłubek – profesor, filolog klasyczny i literaturoznawca, wykładowca Uniwersytetu Śląskiego, pisarz i eseista, autor *Listów z Rzymu*

POLITYKA



NA PRZEŁOMIE STULECI

W następstwie I wojny światowej polskie i niemieckie roszczenia do Górnego Śląska próbowano rozwiązywać przemocą. Jego struktury społeczne i kulturalne, wcześniej ukształtowane, wykazały znaczną stabilność: przetrwały wojnę i pozostały nadal rozpoznawalne.

Początkowo Górny Śląsk nie był naznaczony wojną, szczególnie gdy po pierwszych miesiącach zniknęło bezpośrednie zagrożenie niemieckiej granicy wschodniej. Mężczyźni zostali powołani pod broń, a gospodarkę poddano rygorom kierownictwa wojennego. Niemniej spadek produkcji przemysłowej był tu wyraźnie mniejszy niż w innych regionach.

Zmierzch starego świata zarysował się na Górnym Śląsku wyraźniej dopiero po zakończeniu Wielkiej Wojny, w latach 1918–1922, gdy kraj został rozdarty polsko-niemieckim konfliktem, a następnie gdy podzielono go między Polskę a Niemcy. Wtedy przemoc dotarła także na Górny Śląsk. W polsko-niemieckich starciach lat 1918–1922 zginęło ponad 2,8 tys. ludzi, z czego większość podczas trzeciego powstania śląskiego w 1921 roku.

Antagonizmy doby plebiscytu oraz spory polsko-niemieckie, zaostrome podczas trzeciego powstania do rozmiarów konfliktu zbrojnego czy też wojny domowej, stały się w kolejnych latach i dekadach punktem odniesienia dla sprzecznych niemieckich i polskich interpretacji historii i współczesności Górnego Śląska.

Zdarzenia tych lat także później dostarczały uzasadnień do wzajemnego stosowania przemocy. Dotyczy to przede wszystkim czasów rządów narodowosocjalistycznych i wydarzeń września 1939 roku, gdy w tle masowych mordów na polskich Górnoszlązakach we wschodniej części regionu znajdowało się wspomnienie o walkach roku 1921. Z kolei po 1945 roku powstania śląskie, przywoływane jako zasadniczy dowód na polską tożsamość Górnego Śląska i jego mieszkańców, stały się bodaj najważniejszym elementem górnoszląskiej opowieści

o „Ziemiach Odzyskanych”, legitymizującej wypędzenie części górnoszląskiej ludności.

Specyficzne dla Górnego Śląska przed pierwszą wojną światową było to, że fundamentalna społeczna i polityczna przemiana XIX wieku – przejście od społeczeństwa stanowo-feudalnego do mieszczańsko-kapitalistycznego – nie szła w parze z równie silnym unarodowieniem ludności. Skądinąd badania historyczne wielu innych regionów podały w wątpliwość tezę, iż narodowa przynależność konkretnych społeczności stała się u schyłku XIX wieku dominującym komponentem ich tożsamości.

W regionach pogranicza zamieszkiwanych przez ludność mieszaną językowo lub wyznaniowo (będących kością niezgody między ruchami narodowymi czy narodowymi państwami) – życie społeczno-polityczne z reguły zdominowały partie i organizacje zorientowane narodowo. Tak działo się w Wielkopolsce pod pruskim zaborem, w której czynne były nie tylko osobne partie narodowe, ale i odrębne pod względem narodowym stowarzyszenia, spółdzielnie czy inne organizacje. Tak było w sąsiednim austriackim kraju koronnym Galicji, której większość mieszkańców, podobnie jak na Górnym Śląsku, była bardziej indyferentna narodowo niż w Poznańskim.

Na Górnym Śląsku w przededniu wojny światowej tożsamości niemiecka i polska pozostawały stosunkowo słabo wykrystalizowane. Katolicka partia Centrum oraz socjaldemokracja, podobnie jak działające w środowisku katolickim oraz w łonie ruchu socjalistycznego związki i organizacje, tworzyły silne, nowoczesne struktury nie wedle kryterium na-

rodowościowego. Nawet przeciwnie, próbowali zapobiegać narodowym pęknięciom.

Na osobnej, górnośląskiej drodze modernizacji, cechującej się ograniczonymi procesami unarodowienia, istotną rolę odegrał kulturkampf w latach siedemdziesiątych XIX wieku. Nacisk państwa pruskiego na Kościół katolicki doprowadził na Górnym Śląsku do mobilizacji katolickiej społeczności w obronie Kościoła i wiary, zapewniając z czasem polityczną hegemonię Centrum. W pierwszych wyborach do Reichstagu zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej w 1871 roku mandat z reencji opolskiej pozyskał jeden kandydat Centrum (w okręgu pszczyńsko-rybnickim), a w pozostałych okręgach zwyciężyli kandydaci konserwatywni. Jednak już w 1874 roku kandydaci Centrum zdobyli aż osiem z dwunastu górnośląskich mandatów. Podobnie było w kolejnych wyborach do początku XX wieku, z wyjątkiem wyborów w 1881 roku (a w okręgu Kluczbork–Olesno wygrywali konserwatyści).

Na pruskim Wschodzie kulturkampf miał na celu także wyparcie wpływów polskich i polskiego języka. W reencji opolskiej w 1872 roku język niemiecki wprowadzono do szkół jako jedyny język nauczania. Jedynie religii uczono nadal w języku polskim, lecz tylko w niższych klasach. Gdy w Wielkopolsce kulturkampf prowadził do dalszej polaryzacji narodowościowej, na Górnym Śląsku na pierwszym planie stawiano obronę religii, co prowadziło do zjednoczenia polsko- i niemieckojęzycznych katolików, także politycznego.

Ale do zwolenników partii Centrum należały szerokie kręgi ludności wiejskiej oraz robotników z miasta, a także właściciele majątków ziemskich i fabrykanci. Do jej najbardziej wpływowych górnośląskich polityków zaliczano w czasach cesarstwa długoletniego prezydenta Reichstagu Franza hr. von Ballestrema, jednego z najbogatszych ziemian i przemysłowców Górnego Śląska. Dlatego w górnośląskim Centrum trwało wrzenie wewnętrzne, które ujawniło się z pełną mocą dopiero po zakończeniu kulturkampfu.

Podczas wyborów, od 1893 roku, w łonie Centrum pojawili się kandydaci „partii polskiej”, występujący przeciwko innym kandydatom centrowym. Partii Centrum coraz trudniej przychodziło utrzymywanie w swych szeregach polsko- i niemieckojęzycznych katolików oraz reprezentowanie rozmaitych interesów. Pokazało się to jaskrawo w 1903 roku, gdy w osobie Wojciecha Korfanteo wybrano do parlamentu Rzeszy po raz pierwszy narodowego polskiego polityka z Górnego Śląska.

Wtedy wydawca „Katolika” Adam Napieralski zerwał z Centrum, w efekcie „partia polska” w wyborach do Reichstagu w 1907 roku zdobyła pięć z dwunastu górnośląskich mandatów.

Sukcesy posłów polskich w okręgu przemysłowym wynikały nie tylko ze sprzeczności językowo-narodowościowych, ale i społecznych. Znamienne, że w tym okresie wzrost głosów odnotowali także socjaldemokraci, pośród których, mimo istniejących napięć, nadal współpracowali propolscy i proniemieccy aktywiści. Najwyraźniej coraz więcej robotników i ludności wiejskiej przestało wierzyć, że kierownictwo śląskie Centrum, wywodzące się przeważnie z niemieckojęzycznych kręgów mieszczańskich i arystokratycznych, potrafi zatroszczyć się o społeczne i językowo-kulturalne ich oczekiwania. Dlatego zwracano się ku partiom reprezentującym radykalniejsze programy.

Ze wzrostem poparcia dla partii polskiej, na początku XX stulecia, większe poparcie zyskali także kandydaci niemieckich partii o nacjonalistycznej orientacji, jakkolwiek w mniejszym stopniu niż w przypadku polskim. Na przełomie stuleci także na Górnym Śląsku pojawiła się narodowa polaryzacja społeczeństwa. Jednak w kolejnych wyborach z 1912 roku partie o narodowej orientacji utraciły część elektoratu na rzecz Centrum i socjaldemokratów.

W dawniejszej polskiej literaturze historycznej podkreślano inicjatywy państwa pruskiego zmierzające do wzmocnienia niemieckiej orientacji Górnoślązaków. Jednak także niemieckie partie narodowe straciły głosy w ostatnich wyborach przed wybuchem wojny. Dlatego brytyjski historyk James Bjork w jednej z nowszych prac postawił tezę, iż ponowne wzmocnienie Centrum wynikało stąd, że narodowa ekskluzywność, do której parli nacjonalistów, nie odpowiadała rzeczywistości życiowej, pragnieniom i wartościom znacznej części górnośląskiej społeczności.

Bowiem partia Centrum na Górnym Śląsku, podobnie jak większość proboszczów w parafiach, trwała przy dwujęzyczności i poparciu dla prawa używania takiego języka, jaki dana osoba preferowała. Księża starali się zapobiegać narodowym konfliktom w parafii. W katolickim ruchu związkowym, który doznał silniejszego wsparcia ze strony Kościoła, kształtowały się nowoczesne formy organizacji społecznej, próbujące przełamać językowe i narodowe różnice, a podnoszące społeczne i kulturalne potrzeby ludności.

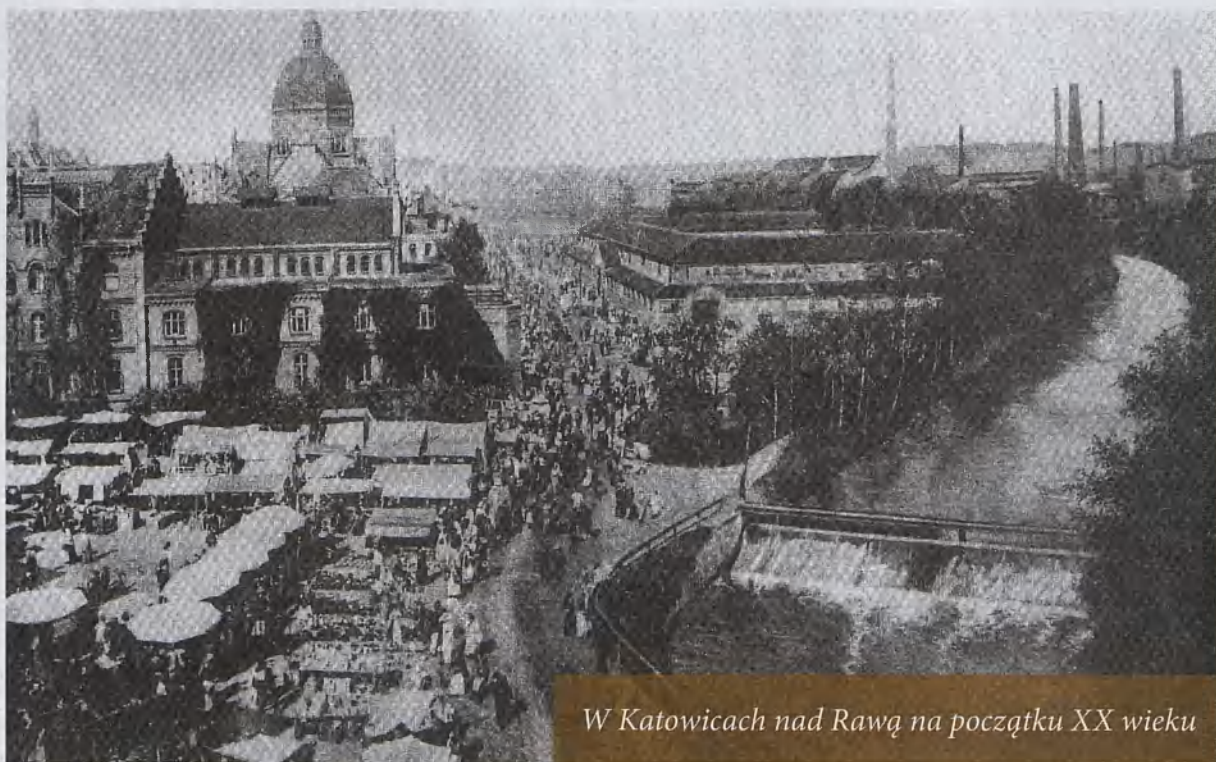
Znaczna część społeczności górnośląskiej była dwujęzyczna, większość ludności posługiwała się górnośląskim, polskim dialektem, dysponując jed-

nocześnie różną znajomością niemieckiego. Pruski spis powszechny z 1910 roku, wykazujący zaledwie 5 procent osób dwujęzycznych, nie oddawał faktycznej sytuacji językowej. Dwujęzyczność, jak wskazał na to polski socjolog Stanisław Ossowski w badaniach prowadzonych na opolskim Górnym Śląsku po drugiej wojnie światowej, traktowano jako coś pozytywnego, jako cenny komponent umiejętności życiowych.

Dlatego Górnolązacy nie chcieli, aby polscy nacjonałści zabraniali im czytania niemieckojęzycznych gazet czy książek. Ale nie akceptowali również lekceważenia polskiej mowy względnie

jącego się daleko idącej autonomii górnośląskiej czy zgoła państwowej samodzielności. Jednak traktat wersalski przewidywał głosowanie za Niemcami lub Polską, dlatego ruch autonomistyczny nie mógł rozwinąć skrzydeł.

Jednak postawy takie przeszkadzały oczywiście narodowemu ujednoliceniu, prowadzonemu zarówno w niemieckiej, jak i polskiej części Górnego Śląska. Wzmacniały się prądy nacjonalistyczne i wpływy organizacji o takim profilu, które już przed wojną miały także zwolenników. Region był tak przed, jak i po wojnie częścią globalnych przemian społecznych. Co istotne, na fundamencie wyznania



W Katowicach nad Rawą na początku XX wieku

górnoląskich dialektów przez pruskich urzędników i Niemców pochodzących spoza regionu (nie akceptowali także lekceważenia tych, którzy nią się posługiwali).

W przededniu wojny światowej wytworzył się na Górnym Śląsku opór przeciw nacjonalistycznemu separowaniu tego, co polskie i co niemieckie, polegający na katolickim przekazie i pozytywnym doświadczeniu z dwujęzycznością w życiu codziennym. Dwujęzyczność miała oparcie w Kościele katolickim (i w związanym z nim systemie partyjno-związkowym) oraz w mniejszym stopniu w środowisku socjaldemokracji.

Po wojnie te postawy nie zanikły. Stały się bazą zrodzonego w 1919 roku Związku Górnoślązaków (Bund der Oberschlesier), domaga-

katolickiego i dwujęzycznej kultury możliwe były tożsamościowe przemieszczenia, a sprzeczności miały mniej ostry charakter.

Wojna była ważną cezurą, skoro przemoc wkroczyła do narodowych i politycznych sporów na Górnym Śląsku. Jednak nie oznaczało to zaniku specyficznej regionalnej kultury życia codziennego, opartej na wyznaniu katolickim i dwujęzyczności. Jej fenomen formował i nadal formuje historię Górnego Śląska. ■

tłumaczenie: Sebastian Rosenbaum

Kai Struve – doktor habilitowany, historyk, wykładowca Uniwersytetu Marcina Lutra w Halle-Wittenberdze, zajmuje się historią Europy Wschodniej

Korfanty

w BERLINIE

Gdy w Sarajewie strzelano do arcyksięcia Ferdynanda, Korfanty w Berlinie przyjął następujące po strzałach wypadki wojenne z nadzieją na zniesienie antypolskich ustaw wyjątkowych.

Do Reichstagu dostał się w 1903 roku jako poseł polskich narodowców z Górnego Śląska, a ponadto zdobył wkrótce mandat do pruskiego Landtagu (z Wielkopolski). Zadebiutował w Reichstagu 28 stycznia 1904 roku, oznajmiając w pierwszej mowie, że został do niego wysłany „jako przedstawiciel polskich robotników z Górnego Śląska, o którym mówi się tutaj rzadko”.

Pierwsze wystąpienia w Berlinie zwracały na niego uwagę już nie tylko polskiej, ale i niemieckiej opinii publicznej, a wymierzone były w germanizacyjną politykę rządu niemieckiego, a szczególnie przeciwko antypolskim ustawom wyjątkowym. Stałym ich motywem była krytyka stosunków na Górnym Śląsku, w tym położenia robotników. Przemawiał jak socjalista: „Nie ma w Niemczech zakątka, w którym godność ludzka robotnika byłaby deptana w tak nikczemny sposób, jak na Górnym Śląsku”. Dlatego zdobywał okrzyki poparcia niemieckich socjaldemokratów. Z lektury jego przemówień można zrozumieć, jak to się stało, że na Górnym Śląsku odbierał chleb socjalistom.

I Bociany i zeppelinowy

Na początku piętnastoletniej kariery parlamentarnej w Berlinie trzydziestoletni Korfanty należał do najmłodszych posłów w parlamentach Prus i Rzeszy. Gdy jeden ze starszych posłów

niemieckich Max Liebermann von Sonneberg, podrażniony mową Korfantego, nawiązał z przekąsem do jego młodości, ten replikował błyskawicznie: wiek nie usprawiedliwia braku mądrości! Z czasem zaczęli go jednak doceniać przeciwnicy.

Do najślawniejszych należała mowa Korfantego w debacie nad projektem ustawy o stowarzyszeniach 4 kwietnia 1908 roku, gdy pozwolił sobie na oskarżenie państwa pruskiego o kradzież ziem polskich w XVIII wieku, za co został kilkakrotnie upomniany przez prowadzącego obrady. Zapamiętano jego głośną interpelację w Reichstagu 12 stycznia 1910 roku w sprawie nadużyć podczas wyborów do rady miejskiej w Katowicach w 1909 roku, gdy wyliczał przypadki przenoszenia nauczycieli i urzędników w odwecie za popieranie kandydatów centrowych i polskich. Zakończył wnioskiem o zmianę pruskiego prawa wyborczego.

Zapamiętano posła Korfantego w pracach nad jego reformą w 1910 roku, gdy opowiadał się za wprowadzeniem – podobnie jak w wyborach do parlamentu Rzeszy – głosowania bezpośredniego i tajnego. Brał udział nie tylko w debacie nad projektem, lecz także w komisji powołanej do jego przerobienia, co jednak zakończyło się pozostawieniem poprzedniej ordynacji kurialnej.

Sprawozdania stenograficzne Reichstagu pozwalają na stwierdzenie, że chętnie zbacał z tematu debaty, by piętnować nadużycia pruskiej władzy

na Górnym Śląsku. Jego przemówienia spotykały się przeważnie z żywą reakcją sali sejmowej. Zdarzało się, że pustawa sala wypełniała się, gdy wchodził na mównicę. Było rzeczą wiadomą, że może być ciekawie, a nawet zabawnie. Jego przemówienia bywały nie tylko wojownicze, ale i dowcipne.

W debacie w Reichstagu o armii 28 stycznia 1910 roku Korfanty przytaczał fragmenty wystąpienia publicznego pułkownika Scheibera z Pomorza ostrzegającego przed przygotowaniem polskimi do zbrojnego powstania, by na koniec odnieść się do niego ironicznie: „Chciałbym z tego miejsca poinformować pana pułkownika, że wyćwiczyliśmy również polskie bociany i daliśmy im zadanie, by w przypadku wojny zniszczyły niemieckie zepeliny”.

Z drugiej strony wspominał były premier pruski i kanclerz Rzeszy Bernhard von Bülow w pamiętnikach wydanych w 1932 roku o „niebezpieczeństwach, jakie stanowiła dla państwa pruskiego i sprawy niemieckiej na Górnym Śląsku fanatyczna agitacja antyniemiecka Wojciecha Korfantego”. Musiał go zapamiętać jako posła Reichstagu.

I Wygrane i przegrane I

Na gruncie parlamentarnym Korfanty odnosił sukcesy, ale też porażki. Z jednej strony wyborcy z ludu, którzy głosowali na niego, byli rozczarowani, że niewiele w ich życiu się zmienia. Z drugiej strony wydawca „Katolika” Adam Napieralski i związani z nim umiarkowani politycy uważali, że mowy Korfantego prowokują administrację pruską, co znalazło wyraz w tekście księdza Jana Kapicy na łamach „Katolika” w listopadzie 1909 roku.

„W parlamencie poseł Korfanty mówi, wyzywa – pisał Kapica – a hakatyści się śmieją i kują nowe prawa wyjątkowe. Poseł Napieralski zaś milczy i pracuje – a hakatyści się gniewają i blok się rozlatuje, kanclerz ustępuje. To cała różnica pomiędzy posłem Korfantym a Napieralskim, między pracą negatywną a pozytywną”.

Na koniec artykułu ksiądz Kapica wyłożył najbardziej swoje uwagi o jego działaniach: „Oświadczam, że nie jestem osobistym wrogiem posła Korfantego, lecz uważam cały kierunek polityki jego za zgubny i szkodliwy. Dlatego się z nią zgodzić nie mogę. Przyznaję chętnie, że poseł Korfanty jest niezmiernie biegły i zręczny w agitacji; umie prowadzić lud do boju i walki wyborczej, lecz nie umie go prowadzić do pracy spokojnej, która stanowi się i szczęście narodu, do pracy kulturalnej”. Jego uwagi pokazywały drugą stronę polityki młodego Korfantego, która rozbudzała namiętności, lecz realnych korzyści nie przynosiła.

Dlatego pozycja Korfantego na Górnym Śląsku po pewnym czasie osłabła, także z powodów nieudanych interesów biznesowych i plaży wydawniczej. Zdawał sobie z tego sprawę, bo w liście do wyborców przed wyborami 1912 roku rzekł się kandydowania do Reichstagu, motywując to dyplomatycznie pracą kulturalno-oświatową i sprawami rodzinnymi.

Po wyborach jego rywal Napieralski postanowił usunąć osłabionego Korfantego z Górnego Śląska. Zaproponował mu posadę kierownika Wschodniej Agencji Telegraficznej w Berlinie. „Korfantego się pozbyłem” – opowiadał znajomym. A prezydent rejencji opolskiej raportował z zadowoleniem do Berlina w kwietniu 1914 roku, że „wpływ i znaczenie Korfantego w miarodajnych kołach obozu polskiego znikły prawie całkowicie”. Zdawało się, że jego gwiazda gaśnie.

W tym czasie, jesienią 1912 roku, Korfanty przeniósł się z żoną Elżbietą i dziećmi do Berlina (zamieszkali w Charlottenburgu). Znał Berlin już dobrze, miał wielu znajomych w kręgach politycznych. Znał polskich posłów w sejmie pruskim (do którego nadal posłował) i w parlamencie Rzeszy. Poznał przywódców niemieckiej socjaldemokracji. Miał dobre kontakty z młodym politykiem Centrum Matthiasem Erzbergerem, który wszedł do Reichstagu w tym samym 1903 roku. Miał znajomości w berlińskich redakcjach.

Jednak posada korespondenta koncernu prasowego Napieralskiego nie dawała Korfantemu satysfakcji. Najwyraźniej czuł się skrepowany opieką Napieralskiego. Po niespełna roku zrezygnował z pracy dla niego i sprzedał swoje udziały w jego wydawnictwie. Jesienią 1913 roku założył własne Polskie Biuro Korespondencyjne, które obsługiwało kilkadziesiąt gazet polskich i niemieckich. Pochłonięty pracą dziennikarską i poselską w sejmie pruskim, rzadko w tym okresie bywał na Górnym Śląsku.

Do ostatnich przed wybuchem wojny należało wystąpienie Korfantego w sejmie pruskim 12 lutego 1914 roku. Debatę budżetową wykorzystał do podjęcia sławnej afery handlu kobietami. Okazało się, że aferzyści zajmujący się wysyłką kobiet z Rosji do domów publicznych w Argentynie skorumpowali pruską policję w nadgranicznych Mysłowicach. Zdaniem Korfantego dostali prawo pobytu w państwie pruskim z poręki komisarza policji Wilhelma Mädlera. Tym samym Korfanty rewanżował się komisarzowi policji, który poświęcał mu tyle miejsca w raportach do rejencji w Opolu.

Przez wszystkie berlińskie lata Korfanty znajdował się nadal pod dyskretnym nadzorem policji. Nawet w 1913 roku sprawdzano, czy nie jest rosyjskim

szpiegiem. Nastąpiło to po raporcie prezydenta policji w Poznaniu do Berlina, że filia agencji prasowej Korfantego w Nowych Skalmierzycach przy granicy z imperium carskim utrzymuje jakieś kontakty z administracją rosyjską. Jeszcze po latach sprawa szpiegostwa Korfantego powracała rykoszetem, chociaż należała w zupełności do sfery fantazji.

I Stracone iluzje I

Z wybuchem wojny Korfanty zajął najpierw postawę aktywistyczną, zabiegając o zniesienie antypolskich ustaw wyjątkowych w zamian za poparcie Wielkopolski dla Rzeszy. Rozmawiał z politykami centrowymi, zwłaszcza z Erzbergerem, który został szefem urzędu propagandy zagranicznej. Rozmowy z Erzbergerem, prowadzone już w pierwszych dniach sierpnia 1914 roku wraz z posłem Wojciechem Trąpczyńskim, niczego konkretnego nie przyniosły.

Podobnie nic nie dały sierpniowe rozmowy z sekretarzem Kancelarii Rzeszy Arnoldem Wahnschaffem i pruskim ministrem rolnictwa Klemensem von Schorlemerem. Korfanty sugerował rządowi Rzeszy, że powinien się wypowiedzieć, czy bierze pod uwagę zniesienie antypolskich ustaw wyjątkowych. Jeszcze w sierpniu Korfanty spotkał się nawet z byłym kanclerzem von Bülowem, z którym polemizował wiele razy w Reichstagu.

Za namową Erzbergera Korfanty podjął także współpracę z niemiecką propagandą przeciwko Rosji. Gdy po latach robiono mu w Polsce z tego zarzuty, przyznał, że opublikował „kilka artykułów z dziedziny historii i geografii Polski do wydawanych przez aktywistów polskich czasopism, za które otrzymałem normalne honorarium autorskie”. Niemieccy politycy dawali mgliste obietnice lepszej przyszłości. Tłumaczyli, że wojna nie jest dobra na reformy wewnętrzne. Działania konkretne odkładali do jej zakończenia, co skłaniało polityków polskich do pesymistycznej wizji przyszłości.

Dlatego we wrześniu 1914 roku Korfanty przywitał już sceptycznie wysłanników krakowskiego



Wojciech Korfanty w 1907 roku

Naczelnego Komitetu Narodowego, Władysława Sikorskiego i Witolda Jodkę-Narkiewicza, którzy zabiegali o poparcie dla akcji legionowej Józefa Piłsudskiego. Zwrócili się do Korfantego, który skontaktował ich najpierw z Erzbergerem, dzięki czemu doszło do konferencji w ministerstwie wojny. Potem rozmawiali z innymi politykami niemieckimi.

Wprawdzie Korfanty był dla wysłanników Piłsudskiego pomocny w Berlinie, lecz sam przestawał wierzyć w niemieckie obietnice. Zrażony brakiem konkretów, po kilku miesiącach wycofał się z akcji proniemieckiej.

„Dziś nie wierzę – pisał już w listopadzie 1914 roku do doktora Zygmunta Celichowskiego do Kór-

nika – aby miały dla nas w razie zwycięstwa niemieckiego nastąpić jakieś ulgi w Prusiech, zachodzi raczej obawa, że szowinizm będzie triumfował na całej linii w polityce wewnętrznej”. Już wtedy oceniał trafnie, że wojna nie skończy się szybko: „Trzeba się poważnie liczyć z klęską niemiecką, szczególnie jeśli wojna potrwa dosyć długo, na co się zanosi”.

Podobnie otwarcie napisał do Stanisława Kota w grudniu 1914 roku: „Ja się wyzbyłem wszelkich iluzji co do zamiarów pruskich co do odbudowania Królestwa Polskiego choćby w ramach najszczu-

Poza pracą absorbowało go życie rodzinne, co wiązało się z dorastaniem czwórki dzieci. Dzieci uczęszczały do szkoły niemieckiej, lecz codziennie przychodziła do nich nauczycielka z lekcjami polskiego. Pod koniec wojny Korfantowie wyjechali na wakacje do Bnina niedaleko Poznania, gdzie proboszczem został znajomy ksiądz Arkadiusz Lisiecki, będący także posłem do pruskiego Landtagu. Dzieci Korfantych przystąpiły wtedy do pierwszej komunii.

Najczęstszą rozrywką Korfantego pozostawało życie towarzyskie. Z zaprzyjaźnionym posłem



plejszych”. Po kilku miesiącach politycznej akcji przyjął postawę obserwatora, pozostając przy niej przez najbliższe lata.

I Życie nad Sprewą I

Pozbawiony stałych dochodów, zwłaszcza po zerwaniu współpracy z akcją propagandową Erzbergera, ledwo wtedy wiązał koniec z końcem. W liście do brata Jana Korfantego 19 marca 1915 roku wspominał, że chciał odwiedzić rodziców w Sadszawkach na Górnym Śląsku, lecz „brak mi po prostu pieniędzy na podróż, gdyż z każdym fenigiem trzeba się teraz liczyć”. Tak mijały tygodnie i miesiące.

Trampczyńskim bywał w gościnnym domu właściciela biura patentowego Kazimierza Ossowskiego i jego żony Marii w Grünewaldzie na zachodnim przedmieściu Berlina.

Zdarzało się, że uczestniczył w spotkaniach dyskusyjnych w mieszkaniu wydawcy „Dziennika Berlińskiego” Karola Rose, który prowadził salon młodszej Polonii berlińskiej. W jego willi na przedmieściu Friedenau ogniskowało się polskie życie polityczne w Berlinie. Jak to zanotował ziemianin Kajetan Morawski: „Korfanty lubił tam przychodzić, by dawać wyraz przeświadczeniu o nieuchronnej klęsce mocarstw centralnych”.

Nieraz konferował z Duńczykami i Alzatczykami, budując coś w rodzaju nieformalnego porozu-

mienia mniejszości narodowych w Niemczech. Za-przyjaźnił się wtedy z działaczami duńskimi z prowincji Schleswig-Holstein (która należała wtedy do Rzeszy), a szczególnie z jedynym duńskim posłem do Reichstagu Hansem Peterem Hanssenem. Z dzienników wojennych Hanssena, wydanych w Kopenhadze w 1924 roku, wiemy, że Korfanty oceniał sceptycznie powołanie Królestwa Polskiego pod egidą niemiecką i austriacką w 1916 roku, powiadając ironicznie, że zwolennicy tego rozwiązania zmieszczą się w jednej dorożce. Gdy zamierzał wybrać się do Warszawy pod okupacją niemiecką, odmówiono mu wizy.

I Pożegnanie z Reichstagiem I

Jego chwila nadeszła znowu w 1917 roku, gdy wyraźniej rysowała się perspektywa kłęski niemieckiej. Z początkiem roku Korfanty wystąpił po raz pierwszy od wybuchu wojny w pruskim Landtagu, wypominając znowu rządowi pruskiemu antypolską politykę. Zwracał się do obecnego na sali byłego kanclerza Bülowa, powiadając, że „główną przeszkodą w relacjach polskiego narodu z pruskim państwem jest niewzruszona kontynuacja pruskiej polityki polskiej z ostatnich trzydziestu lat”.

W dyskusji nad budżetem 19 stycznia 1917 roku replikował na wcześniejsze wystąpienia rządowe: „Jeszcze raz chciałbym jasno powiedzieć, że panuje wśród nas głęboka nieufność wobec tych wiecznych przyrzeczeń o rozważeniu reorientacji polityki wobec Polaków po wojnie. My chcemy ujrzeć czyny i efekty, moi panowie, do których zgodnie z prawem natury oraz prawem danym przez Boga mamy pełne prawa”. Związany z partią Centrum hrabia Alfred von Strachwitz z Górnego Śląska napisał po tej mowie do Berlina, że Korfanty „nie jest lepszy od Liebknechta, ale bardziej mądry i niebezpieczny”.

Po roku okazało się, że hrabia Strachwitz wiedział co raportuje, gdy po śmierci posła Augustina Warlo zwołał się mandat do Reichstagu z okręgu gliwicko-lublinieckiego i rozpisano wybory uzupełniające na 6 czerwca 1918 roku. Partia Centrum postawiła na gliwickiego adwokata Benno Nehlerta, a polscy narodowcy przypomnieli sobie o Korfantym, który berlińskimi mowami zdążył ponownie zyskać na popularności. Dzięki gazetom poznańskim jego przemówienia docierały w postaci nieocenzurowanej nawet do Warszawy, powodując i tam zaciekawienie posłem górnośląskim, który negował politykę i filozofię państwa pruskiego.

Była to dla Korfantego najdziwniejsza kampania do Reichstagu, skoro przeciwnik sam się podkła-

dał, optując za dalszym prowadzeniem wojny, gdy wszyscy mieli dosyć wojowania. Za Korfantym opowiedzieli się nie tylko Gornoślązacy opcji polskiej, ale i niemieccy socjaliści z SPD. Ponadto Nehlertowi wytykano, że nie zna języka polskiego i nie jest dobrym katolikiem, bo ma żonę luterankę. W efekcie Korfanty zebrał więcej głosów nawet w samych Gliwicach, które były niewątpliwie miastem niemieckim. Uzyskał mandat już w pierwszej turze, zdobywając niemal 12 tysięcy głosów, gdy Nehlert tylko 7 tysięcy.

Ale tym razem Korfanty nie zdążył długo postować do Reichstagu, bo Niemcy zbliżyły się do kłęski i rewolucji. Jego myśli zaprzętały już sprawy odradzającej się Polski. Pewnego październikowego dnia pokazywał w kuluarach Reichstagu mapę z terenami, które powinny należeć do Polski. Na podróż do Warszawy, do której posłów polskich z Berlina zapraszała Rada Regencyjna Królestwa Polskiego, nie dostał w październiku wizy. Gdy posłowie polscy z Korfantym zgłosili się w tej sprawie do wicekanclerza Friedricha von Payera, ten uzasadnił, że chodzi przecież o „przygotowanie oderwania od Niemiec części ich terytorium”. Nie da się ukryć, że miał rację.

Przekonywało o tym ostatnie przemówienie Korfantego w Reichstagu 25 października 1918 roku, w którym nader zręcznie podniósł polskie postulaty terytorialne, potępiając zdecydowanie system państwa pruskiego, a jednocześnie chwalać niemieckie osiągnięcia cywilizacyjne. Nie zmienia to faktu, że jego mowa zbulwersowała salę Reichstagu na tyle, że prowadzący obrady zwrócił mu uwagę, by nie mylił Reichstagu z przyszłym kongresem pokojowym.

Zażądał dla powstającego państwa polskiego „polskich powiatów Górnego Śląska i Śląska Średniego – żadnego niemieckiego powiatu! – Poznań, polskich Prus Zachodnich i polskich powiatów Prus Wschodnich”. Po jego przemówieniu posłowie polscy oświadczyli, że w pracach Reichstagu dalszego udziału nie wezmą. Dwa tygodnie później w Berlinie wybuchła rewolucja, a droga Korfantego wiodła do Poznania.

Niemniej w pożegnalnym przemówieniu w Reichstagu, które tak zbulwersowało posłów niemieckich, Korfanty zwracał się także myślą ku przyszłości, oznajmiając na końcu, że „gdy znikną niebawem wiążące nas do tej pory stare warunki, nie wolno nam zapominać, że oba te narody, Niemcy i Polacy, są na siebie skazane”. ■

Jan F. Lewandowski – doktor, historyk, redaktor naczelny kwartalnika „Fabryka Silesia”, autor biografii Wojciecha Korfantego

DYLEMATY *Ulitzki*

Po pierwszej wojnie światowej pamięć historyczną zdominowały na Górnym Śląsku dwie narracje historyczne. Obie powstały pod wpływem swego czasu i wykazywały silne motywacje natury politycznej. Dlatego narracje te były diametralnie przeciwne.

Jedna narracja, nazwijmy ją umownie „niemiecką”, głosiła narodową jedność Górnoszlązaków (niezależną od ich języka ojczystego) uwiarodoczoną podczas pierwszej wojny światowej. Wedle tej narracji Górnoszlazacy obu proveniencji etnicznych ramię w ramię walczyli w okopach za niemiecką ojczyznę, gdy pozostała w domu ludność opierała się niebezpieczeństwu ze strony „rosyjskiego walca”, a wybawiona została dzięki militarnym zdolnościom marszałka Hindenburga. Z wdzięczności Górnoszlazacy przemianowali w 1915 roku przemysłową wieś Zabrze na „Hindenburg” i cieszyli się szczególną estymą cesarza. Dlatego cesarz Wilhelm II postanowił o przeniesieniu Kwatery Głównej do Pszczyny i w związku z tym przez dłuższy czas przebywał na Górnym Śląsku.

Natomiast „polska” narracja podkreślała narastające wyobcowanie polskich „gnębionych” na Górnym Śląsku wobec ich pruskich „gnębiących”. Wskazywała na proces przebudzenia polskiej świadomości narodowej, który miał się rozpocząć na długo przed wybuchem wojny, by dojść do przełomu z żądaniem przyłączenia Górnego Śląska do odrodzonej Polski. W tej narracji miejsce centralne zajmowały często szkany ze strony pruskich oficerów wobec ich polskojęzycznych górnoszlazkich podkomendnych, których obraźliwie nazywali „polskimi świniami frontowymi”. Poniżającego traktowania polskojęzycznych Górnoszlazaków miała dowodzić postawa państwa pruskiego wobec etnicznie pol-

skiego proletariatu w górnoszlazkim okręgu przemysłowym.

W obu mitycznych narracjach, jak to w legendach bywa, tkwiło także ziarno prawdy. Te elementy narracji, które pokrywały się z rzeczywistością, czyniły je popularnymi wśród górnoszlazkiej ludności. Każdy, kto w subiektywnym odczuciu i na podstawie własnych doświadczeń mógł jakieś ich elementy połączyć w logiczną całość, odnajdywał w tych narracjach silną motywację, by podczas plebiscytu opowiedzieć się albo za Niemcami, albo za Polską, a nawet w sytuacji ekstremalnej zaangażować się militarnie po jednej lub drugiej stronie. Tej ostatniej opcji sprzyjało to, że wielu powracających z frontu młodych mężczyzn doświadczyło wojny, która stępiła w nich wrażliwość i oswoiła z przemocą.

Rzeczywistość sprzed i w trakcie pierwszej wojny światowej wyglądała na Górnym Śląsku zgoła inaczej. Była bardziej zróżnicowana niż owe narracje, które posługiwały się bielą i czernią. Był jednak ktoś, kto myślał w sposób bardziej zróżnicowany, a mimo to opowiedział się po wojnie jednoznacznie po stronie niemieckiej. Był to Carl Ulitzka, proboszcz parafii św. Mikołaja w Raciborzu-Starej Wsi (Ratibor-Altendorf).

Pochodził z Jaroniowa (Jernau) w powiecie głubczyckim, gdzie urodził się w 1873 roku jako syn pruskiego weterana wojennego i urzędni-

ka poczy. Wychował się w środowisku katolickim, w skromnych warunkach. Ukończył gimnazjum w Raciborzu, gdzie w 1893 roku zdał egzamin maturalny. Jako katolik i niemieckojęzyczny Górnoślązak nie miał szans na karierę w wyższej pruskiej administracji państwowej, ale perspektywa zawodu zwykłego urzędnika stała przed nim otworem, podobnie jak w przypadku jego ojca czy brata. Młody Ulitzka podjął jednak – zgodnie ze swymi zainteresowaniami i intelektualnymi możliwościami – studia teologiczne.

Po okresie sprawowania funkcji wikarego w Kluczborku i niemal dziewięcioletniej działalności administratora parafii w Bernau pod Berlinem ksiądz Ulitzka objął w 1910 roku posadę proboszcza kościoła św. Mikołaja w Raciborzu-Starej Wsi. Jego osobowość i polityczne preferencje ukształtowały trzy podstawowe doświadczenia: skutki polityki kulturkampfu wraz z jej antykatolickim charakterem, sygnowanym przez autokratyczne państwo prusko-niemieckie, dążenie do akceptacji jako Górnoślązaka i równoprawnego obywatela Niemiec oraz wieloetniczny charakter jego małej ojczyzny. Te trzy doświadczenia złożyły się na jego postawę krytycznego niemieckiego patrioty, który jasno rozróżniał pochodzenie etniczne i świadomość narodową i traktował je jako dwie niezależne od siebie kwestie. Jednak na początku XX stulecia takie poglądy należały do rzadkości.

W tamtym czasie język i specyfika kulturowa uchodziły za obiektywne przesłanki tożsamości narodowej. Dlatego w oczach pruskich urzędników Górnoślązacy mówiący po polsku jawili się jako „Polacy”. Traktowano ich tak samo, jak obywateli pruskich pochodzenia polskiego z Poznania czy Pomorza, nie zważając, że żyli od stuleci poza granicami państwa polskiego, a w konsekwencji nie odczuwali więzi polityczno-kulturowych z Polską (podczas gdy Polacy z Wielkopolski postrzegali się jako bezpośredni spadkobiercy Królestwa Polskiego, unicestwionego na skutek rozbiorów pod koniec XVIII wieku).



Ksiądz Carl Ulitzka w 1906 roku

Stosownie do tej sytuacji idea przebudzenia polskiej świadomości narodowej była po 1880 roku stopniowo importowana z Poznania na grunt górnośląski. Jej końcowy sukces korespondował z rozwojem ogólnej sytuacji społecznej i kulturowej. Powodzenie tej idei było uzależnione od rozmiarów dyskryminacji materialnej i wyznaniowej wobec etnicznie polskiej części Górnoślązaków.

Powstała w 1871 roku niemiecka partia Centrum, reprezentująca katolików zagrożonych działaniami kulturkampfu, przeobraziła się na Górnym Śląsku w adwokata polskojęzycznych katolików i ich praw religijnych. Sprzymierzyła się nawet z polskim ruchem narodowym Adama Napieralskiego



go czy tożsamości kulturowej – byłyby w stanie zapobiec konfliktom na tle narodowym, jeśli polscy agitatorzy nie podjudzali by przeciw państwu niemieckiemu prostolinijnego górnośląskiego ludu.

Dla proboszcza ze Starej Wsi i raciborskiego polityka Carla Ulitzki kwestia narodowa na Górnym Śląsku miała w rzeczywistości podłoże społeczne i kulturowe. Z jego punktu widzenia próba wyparcia Kościoła katolickiego z jego tradycyjnej roli społecznej, odbierana powszechnie jako krok na drodze ku „protestantyzacji” regionu, a także aprobowana przez państwo agresywna „germanizacja” etnicznie polskiej części ludności Górnego Śląska, z biegiem czasu łączyły się z coraz bardziej z konfliktami społecznymi, tworząc ostatecznie płataninę problemów wielorako złożonych i w najwyższym stopniu skomplikowanych.

Narastające antagonizmy na tle etnicznie-kulturowym, które Ulitzka śledził z rosnącym niepokojem, zostały dodatkowo zaognione zmianą kursu wrocławskiego kierownictwa partii Centrum pod przewodnictwem Felixa Porscha. W jego efekcie czołowi politycy partii Centrum wstąpili na drogę porozumienia z państwem pruskim, zaniedbując społeczne, ale także etnicz-

i go wzmocniła. Jednak gdy Centrum następnie coraz wyraźniej dystansowało się wobec kwestii narodowej na Górnym Śląsku, ruch Napieralskiego odłączył, przeobrażając się w pierwszej dekadzie XX stulecia w poważnego konkurenta. Zwolennicy Napieralskiego zdobyli ponad dziesięcioprocentowe poparcie i byli odtąd reprezentowani w Reichstagu przez grupę polskich posłów z Górnego Śląska. Wyznaniowa klamra, spinająca dotąd „niemieckich” i „polskich” katolików na Górnym Śląsku, ostatecznie się rozwarła. Ze swego wdzięku odarty został kolejny mit, że Kościół katolicki i partia Centrum – jako siły biorące w obronę wszystkich katolików Górnego Śląska, niezależnie od ich języka ojczyste-

no-kulturowe interesy i potrzeby swych polskojęzycznych zwolenników na Górnym Śląsku. Na próżno Ulitzka z innymi górnośląskimi politykami Centrum żywili nadzieję na zmianę obranego przez wrocławską centralę kursu.

Zrozumiałe, iż Ulitzka podczas zebrania mężów zaufania śląskiej Partii Centrum pod koniec sierpnia 1917 roku we Wrocławiu opowiedział się, żeby „Ludowy Związek na rzecz Katolickich Niemiec”, zaangażowany głównie w sprawy natury społecznej i edukacyjnej, objął działalnością także teren Górnego Śląska. Stało się tak mimo oporu konserwatywnych kręgów partyjnych, a tak-

że mimo sprzeciwu duchownych działających w polskim ruchu narodowym, których Ulitzka starał się konsekwentnie marginalizować. Jego kalkulacja była prosta: poprawa sytuacji społecznej przy jednoczesnym wspieraniu kultury i edukacji, w tym i pielęgnowanie języka polskiego jako ojczystego w Kościele i szkole osłabiłyby siłę oddziaływania polskiej agitacji.

Dla polskich kręgów narodowych Ludowy Związek jako służący podwyższeniu społecznego i kulturowego poziomu „prostych” górnośląskich katolików był szczególnie niebezpiecznym „czynnikiem germanizacyjnym”. Tym bardziej, że ta niemiecka organizacja nie odpowiadała obrazowi wroga o cechach protestancko-hakatyistycznych i mogła faktycznie zyskać sympatie polskojęzycznych katolików górnośląskich, wzmacniając tym samym ich więzy z państwem niemieckim.

Program księdza Ulitzki był zorientowany na Niemcy, lecz cechował go głęboki sceptycyzm wobec ustroju monarchistyczno-standowego, idącego w parze z postawami reakcyjnymi wobec kwestii społecznych i nastrojami nacjonalistycznymi.

Dlatego w grudniu 1918 roku Ulitzka, pełniący wtedy funkcję tymczasowego przewodniczącego partii, wyprowadził górnośląską sekcję z ogólnosłańskich struktur Centrum; dlatego z pasją opowiadał się za autonomią Górnego Śląska w ramach niemieckiej republiki; dlatego z pełnym przekonaniem wspierał rewolucję z lat 1918–1919 i opowiadał się za demokracją parlamentarną. Jego przekonania miały też wpływ na jego zaangażowanie po stronie niemieckiej w walce plebiscytowej, na pracę deputowanego do Reichstagu, a także na działania jako czołowego polityka prowincji górnośląskiej, gdy po dokonaniu w 1922 roku podziału jego plan przekształcenia Górnego Śląska w niemiecki kraj związkowy nie był już możliwy do urzeczywistnienia, a Górnoślązacy, którzy pozostali w Niemczech, musieli się zadowolić tylko statusem pruskiej prowincji o rozszerzonym nieco zakresie samodzielności, głównie zresztą w sprawach kulturalnych.

Realizacji idei „zblżenia polskojęzycznych Górnoślązaków do niemieckiej myśli państwowej” służył szczególnie broniony przez Ulitzkę kierunek polityki społecznej, kulturalnej i tej wobec mniejszości narodowych. Jego działania cechowało pełne poszanowanie i wsparcie zarówno dla odmienności ję-

zykowych, jak i odmiennej tożsamości kulturowej w górnośląskiej prowincji, przy podniesieniu standardów socjalnych i edukacyjnych. Tej linii Ulitzka pozostawał wierny także jako duszpasterz. Jego zaangażowanie na rzecz zachowania języka polskiego w działalności duszpasterskiej przysporzyło mu potem wielu kłopotów. Od 1933 roku mógł wykonywać posługę kapłańską tylko na terenie raciborskiej parafii, a w lipcu 1939 roku został przez nazistów wydany ze Śląska.

Bez doświadczenia Ulitzki z okresu cesarstwa i wojny światowej jego postawa otwartości nie byłaby możliwa. Można się o tym przekonać, sięgając do jego przemówienia podczas zjazdu partii Centrum w październiku 1924 roku w Berlinie. Zwrócił się wtedy polemicznie do przedstawicieli prawego skrzydła partii, którzy chcieli zakończyć współpracę z socjaldemokratami z SPD i zmierzali do sojuszu z niemieckimi narodowcami o przekonaniach monarchistyczno-protestanckich.



Pocztówka z Raciborza przełomu stuleci

„Nie zapomnijmy – krzychał wtedy zdenerwowany Ulitzka – że w szeregach narodowców zasiadają zwolennicy kulturkampfu w niemieckim narodzie” i dodawał, że w ich szeregach „znajdziemy [...] jeszcze większą wrogość wobec naszych katolickich interesów i wobec dóbr kultury [...] niż nawet po stronie socjalistów”.

tłumaczenie: Marcin Wiatr

Guido Hitze – doktor, historyk, pracuje w Centrum Edukacji Obywatelskiej Nadrenii Północnej-Westfalii, zajmuje się historią Śląska XIX i XX wieku, autor biografii Carla Ulitzki

PO WIELKIEJ WOJNIE

Z historykiem RYSZARDEM KACZMARKIEM rozmawia KRZYSZTOF KARWAT

Mija setna rocznica wybuchu I wojny światowej. Ukazało się wiele artykułów i książek, w tym Pańska – *Polacy w armii kajzera*. Mam jednak wrażenie, że wydarzenia z lat 1914–1918 wypadły z naszej świadomości historycznej – zawsze więcej mówiło się o II wojnie i konsekwencjach układów jałtańskich. Czyżbyśmy już nie odczuwali związków między tamtą epoką a dniem dzisiejszym?

■ Bo to odległy czas, trzy pokolenia historyczne. A jednak odnotowuję – także z doświadczeń po spotkaniach autorskich i z listów, które dostaję – że wielu ludzi szuka powiązań i koneksji rodzinnych, łączących się z I wojną światową. Wiem, że to tylko pewien margines, bo Polacy – taką mamy opinię – choć są głęboko zanurzeni w historii, to jednak traktują ją wybiórczo jako ciąg wydarzeń o znaczeniu narodowym. Tamta wojna nie mieści się w tych kryteriach, choć tkwi w tym paradoks, bo przecież wtedy Polska się odrodziła. Józef Piłsudski – traktowany jako najważniejszy element mitu założycielskiego II Rzeczypospolitej – został niejako oderwany od wojny. Wprawdzie wspomina się o jego kontaktach z wywiadem austriackim, ale w podręcznikach i mediach akcentuje się, że nie złożył przysięgi i tym samym stanął przeciwko koalicji państw centralnych. A to właściwie nieprawda, bo w latach 1916–1917 był postrzegany jako polityk związany z Niemcami.

Może te elementy biografii Piłsudskiego zostały zamulone, bo na stosunki polsko-niemieckie patrzyliśmy wyłącznie przez pryzmat lat 1939–1945?

■ W dwudziestoleciu międzywojennym nie przywiązywano szczególnej wagi do tego, kto w jakiej armii zaborczej służył albo w którym parlamencie zasiadał. Nie obciążano Dmowskiego, że był w Dumie, a innych, że byli związani z Wiedniem czy Berlinem. Jeśli pojawiały się podziały, to przede wszystkim w wojsku. Tam łatwo się rozpoznawano, choćby po sposobie mówienia, po akcencie. Dawni oficerowie austriaccy nie cenili sztabowców z armii rosyjskiej, a oficerowie legionowi uformowali się w rodzaj odrębnej grupy. Awanse oficerskie z armii niemieckiej należały do rzadkości. A po roku 1945? Odżegnywano się od wcześniejszych związków z polityką niemiecką, jednocześnie pomniejszono znaczenie Piłsudskiego; dopiero w latach 60. pojawiły się bardziej zrównoważone oceny. Rzeczywiście, dzisiaj częściej szukamy punktów odniesienia w II wojnie światowej, niekiedy w dwudziestoleciu międzywojennym. Bo Piłsudski i Dmowski to jednak ludzie XIX wieku. Poza tym – I wojna światowa jawi się nam jako „obca” i „egzotyczna”. Nie ma już wielu państw najsilniej w nią zaangażowanych.

A nieistniejąca na mapie politycznej Polska nie była w niej stroną.

■ I w tym sensie – w przeciwieństwie do II wojny – to nie była wojna „nasza”, choć walczyli w niej nasi ojcowie i dziadowie.

Z perspektywy górnośląskiej też wygląda to „dziwnie”. Na ogół odrywamy powstania śląskie



Z historykiem Ryszardem Kaczmarem (z prawej) rozmawia Krzysztof Karwat

od wydarzeń wojennych. Tylko dlatego, że fronty wtedy nie przebiegały, a powstania wybuchły trochę później? A przecież związki między wojną a powstaniami wydają się oczywiste.

■ Przyznam, że ja ich kiedyś też nie dostrzegałem tak wyraźnie, jak dzisiaj. Nie doceniałem wagi, jaką odegrali w powstaniach weterani wojenni. I to po obu stronach. Oto mamy rok 1918, żołnierze wracają z frontów. Okaleczeni fizycznie bądź psychicznie, a jeżeli nawet zupełnie zdrowi, to jednak nie odnajdują w powojennej rzeczywistości swego miejsca na ziemi. Jak potoczy się ich życie? Jak się samookreślą? Gdzie będą mieszkali, gdzie pracowali? Nie znają odpowiedzi, bo po 3–4 latach walk na froncie trafiają do obcego środowiska. Gdy powoływano ich do armii, byli nieledwie chłopcami, często bez wyuczonego zawodu; teraz są dorosłymi mężczyznami, którzy – w niejednym przypadku – nie wiedzą, co z sobą począć. A społeczeństwo nie potrafiło ich wchłonąć. W polskiej historiografii, odnoszonej do wydarzeń politycznych lat 1918–1920 na Górnym Śląsku – bo trzecie powstanie to już inny kontekst – te wątki są pomijane. Tymczasem mówimy o zjawisku ogólnoeuropejskim. Wszędzie powstawały związki kombatanckie, żołnierskie. Odegrały dużą rolę we wszystkich powstaniach, także śląskich i wielkopolskim. Myśląc o I wojnie światowej i strasznych warunkach, w jakich przyszło walczyć żołnierzom, nieraz podkreślamy wzrost nastrojów pacyfistycznych, zwłaszcza w jej końcowej fazie. Tak było, ale jednocześnie ugruntowywały się postawy odmienne: chcę zostać w tym świecie, bo jest bezpieczny i mój, tak myślało wielu powracających żołnierzy. Nie dziwmy się, że ci ludzie nadal

chętnie paradowali w mundurach, a wysiadając z niemieckich eszelonów, niemal od razu zapisywali się do nowych formacji. Tak się działo na przykład w 1918 roku w Poznaniu. Decydowały nie tylko postawy polityczno-patriotyczne, ale także czynniki psychologiczne.

Z naszej perspektywy szczególnego dramatyzmu nabiera przeświadczenie, że w tej wojnie naprawdę nieraz brat strzelał do brata, Polak do Polaka. Czy mogło tak być, że sfraternizowani w okopach pod Verdun żołnierze niebawem wystąpili przeciwko sobie w powstaniach?

■ Mogło, ale nie określiło ich charakteru. Po obu stronach, już przed rokiem 1914, ukształtowały się grupy silnie nastawione nacjonalistycznie, dążące do konfrontacji. To one wyznaczyły kierunek działań. Wojna stała się rodzajem katalizatora. W powstaniach dużą rolę odegrali ludzie bardzo młodzi. Po niemieckiej stronie nie brakowało gimnazjalistów czy studentów z Wrocławia, a po polskiej byli ci, którzy z racji młodego wieku uniknęli poboru do armii niemieckiej. To dopiero w III powstaniu większy udział miały freikorpsy, złożone niemal wyłącznie z kombatanatów, choć niekoniecznie Ślązaków, bo przecież walczyli też ochotnicy z Saksonii czy Bawarii. Podobnie było po stronie polskiej. Wielu powstańców nie przeżyło więc wojny w okopach, choć nie brakowało kombatanatów, podoficerów czy oficerów z armii zaborczych. W czasie powstań sytuacja była jednak inna niż na frontach wojny światowej. Na wojnie strzelało się do przeciwników anonimowych, nawet jeśli można było podejrzewać, że i rodacy mogą się wśród nich znaleźć. Na

Śląsku silne były związki sąsiedzkie. Niejednemu trudno było sobie wyobrazić, że będzie strzelał do sąsiada. Wyjście „do powstania” natychmiast było zauważane i oceniane przez wspólnotę lokalną. To nie były proste wybory.

W skali całej II Rzeczypospolitej, już z kawałkiem przyznanego jej Śląska, nie zmitologizowano tej wojny, choć tak wielkie piętno wywarła na mapie politycznej Europy.

■ Dla elit politycznych Rzeczypospolitej najważniejszym celem było zintegrowanie wszystkich ziem w jeden organizm państwowy. I to się udało,

że w roku 1917, gdy w Rosji wybuchła rewolucja i nowa Europa musiała się jej przeciwstawić?

Charakterystyczne, że Święto Niepodległości uchwalono dopiero w roku 1937.

■ Jednak obchody 11 listopada urządzano już od roku 1927. Chodziło o znalezienie takiej daty, która związana byłaby z obozem belwederskim i dowodziła, że Polska idzie w innym kierunku niż do roku 1926. No bo co się wtedy stało? 10 listopada rozbijono Niemców, a dnia następnego Piłsudski przejął władzę z rąk Rady Regencyjnej, która była jednym z ostatnich elementów dawnego systemu. Trzeba



Wymarsz Reichswehry na wojnę w 1914 roku z Katowic

choć przecież scena polityczna obfitowała w liczne konflikty. Także rok 1926 w tej mierze niczego nie zmienił. Wszyscy rozumieli, że dopiero buduje się nowa tożsamość Polski. Na tym polu osiągnięto wielki sukces, mimo twierdzy brzeskiej, krwawych wydarzeń na Kresach Wschodnich, mimo palenia cerkwi i pacyfikacji wsi ukraińskich w końcu lat 30. Dlatego wspomniano I wojnę światową jako konflikt państw zaborczych, których nie ma bądź pozostali po nich tylko sukcesorzy. Ale nie jako wojnę polską ani tym bardziej polsko-polską. Mitem założycielskim II Rzeczypospolitej stała się wojna polsko-bolszewicka, która świetnie się do tego nadawała. Nie tyle walczono z Rosją jako jednym z państw zaborczych, lecz z zagrażającymi Polakom i Europie bolszewikami. Polacy nie walczyli przeciwko innym Polakom, a jeśli tak się zdarzyło, to można było tych, którzy pojawili się w Armii Czerwonej, uznać za zdrajców. Dlatego do dziś toczy się wśród historyków spór o to, kiedy zaczął się wiek XX. W roku 1914, gdy odeszła stara Europa, czy mo-

było zatem – właśnie przez wyakcentowanie 11 listopada – pokazać, że to moment przełomowy. Ale równie dobrze można by przyjąć inną datę, np. 7 listopada, czyli utworzenie rządu Daszyńskiego w Lublinie.

Dlatego to święto budziło kontrowersje.

■ Bo ta data niewiele znaczyła dla innych dzielnic, nie tylko dla Górnego Śląska, ale również dla Wielkopolski czy Galicji.

Także dla dawnego Księstwa Cieszyńskiego.

■ Nawet w Katowicach pierwsze zebranie polskie, które zwołał ks. Paweł Pośpiech, odbyło się wcześniej, bo 10 listopada. Obojętnie jednak, jak będziemy odczytywali historyczne koneksje, w roku 1939 tradycja była już mocno zakorzeniona: 11 listopada pojawiły się płonące świece na cmentarzach. Było to pierwsze masowe wystąpienie antyniemieckie na Górnym Śląsku, rodzaj kontrapunktu wobec tego, jak wyglądały tutejsze miasta

w dniach triumfalnego wkroczenia Wehrmachtu. To jeszcze jeden dowód na to, jak skuteczna okazała się przedwojenna polityka integracji.

Jaki element dziedzictwa związanego z I wojną światową powinien być dla nas szczególnie ważny? Wydaje się, że gdyby wojna potoczyła się inaczej, a później nie byłoby plebiscytu i powstań, to po kolejnej hekatombie i jakiejś nowej Jałcie Śląsk nie zostałby przyłączony do Polski.

■ Na pewno. Dziś w Europie Zachodniej przekaz jest jasny. Tamtejsi historycy często mówią, że była tylko jedna wojna – z dwudziestoletnią przerwą.

■ Potem Hitler też myślał o blitzkriegu. Był pewny, że wojny na Zachodzie nie będzie. A Stalin kalkulował, by szybko Niemcy pokonać i zrealizować powszechną rewolucję. Skoro w pierwszej połowie XX wieku nikt nie był w stanie ocenić skutków tak dużych konfliktów zbrojnych, to i my dzisiaj też nie potrafimy ich przewidzieć. Z tych wojen Europa na szczęście wyszła zjednoczona. Nasz interes lokuje się właśnie w zjednoczonej Europie. To jest jedyny sojusznik, któremu zależy na tym, by Polska istniała jako silne państwo Europy Środkowo-Wschodniej. Nie umiem sobie wyobrazić wspólnej Europy poszerzonej o Rosję, choć wierzę, że możliwe są –



Cesarz Wilhelm II w Pszczynie w 1916 roku

Hegemonialne pozycje Francji czy Wielkiej Brytanii uległy skruszeniu. Odtąd państwa te nie były już w stanie prowadzić aktywnej polityki kolonialnej lub indywidualnie zrównoważyć potęgę Stanów Zjednoczonych. Wnioski? Każdy kolejny konflikt na naszym kontynencie musi oznaczać wycofanie się Europy z pozycji znaczącego gracza w polityce i gospodarce globalnej. Poza tym pozostała żywa pamięć o ofiarach. Tamte doświadczenia przekonują też, że nigdy nie da się przewidzieć skutków kolejnego konfliktu. Od dziesięcioleci żyjemy w przekonaniu, że wojna w Europie jest coraz bardziej nieprawdopodobna. A przecież mamy teraz do czynienia z konfliktami regionalnymi, w których giną ludzie. Nie bez zaangażowania mocarstw. Od czasu wydarzeń na Bałkanach coś pękło. Wydarzenia sprzed stu lat dziwnie się do nas przybliżyły.

W 1914 roku wszyscy sądzili, że wojna będzie trwała tylko kilka miesięcy.

w zmienionych warunkach politycznych – dobre stosunki europejsko-rosyjskie. Na pewno nasze interesy nie są ulokowane gdzieś za Oceanem. Nigdy nie będziemy prowadzili polityki globalnej. Dlatego im słabsza Europa, tym my także jesteśmy słabsi. I jeszcze jedna uwaga, ważna z punktu widzenia Górnego Śląska. Te wojny pokazały, że losy małych narodów i niewielkich społeczności lokalnych nikt wtedy nie obchodził. Jeśli te grupy mają przetrwać, zachować tożsamość, tradycję i odrębność kulturową, to tylko w obrębie wspólnej Europy. Zginą, gdy wzmacniające się państwa narodowe wystąpią przeciwko sobie.

Lektura Pańskiej książki przekonuje też, że nie wolno stracić z pola widzenia aspektów humanitarnych. Wojna światowa była okrutna i straszna. Ludzie ginęli masowo, bezsensownie. Używano broni – w tym gazów bojowych – która dziś wydaje się przestarzała, a zabijała miliony ludzi.

■ Przed rokiem 1914 przekonywano, że jeśli wybuchnie wojna, to będzie „cywilizowana”, a rany, jakie odniosą żołnierze, będą mniejsze i nie tak poważne, jakie zadawano na dziewiętnastowiecznych polach bitewnych. Okazało się, że ofiar było znacznie więcej, a męczarnie, jakie przeżywano, były nie do opisania. Mam wrażenie, że my dzisiaj też to „przerabiamy”. Media bezkrytycznie, w ślad za obrazami propagandowymi, pokazują nam dzielnych żołnierzy – najczęściej amerykańskich – obudowanych jakimś supernowoczesnym sprzętem bojowym, elektroniką i czym tam jeszcze.

Taki żołnierz jest jak niewielka ruchoma forteca...

■ ...fortecka pozornie nie do zdobycia. Tworzy się wrażenie, że tego żołnierza nie można zabić, bo tak skutecznie jest chroniony. A wiemy, że to nieprawda – wystarczy posłuchać naszych weteranów z Afganistanu. Wojna nie przestała być okrutna, stała się tylko jeszcze bardziej widowiskowa. Bywałem na poligonach artyleryjskich. Nocne strzelanie to feeria kolorów. To wygląda bajecznie, choć przecież nikt nie zbliża się do pola walki. Czy punktowe ataki – znamy je od czasu wojny w Iraku – są bardziej „humanitarne” od tych, jakie prowadzono w latach 1914–1918? Wątpię. Wtedy przynajmniej – przy pewnej dozie szczęścia – można się było ukryć w okopie czy schronie, mając te trzy metry ziemi nad głową.

Ale wielu żołnierzom tego szczęścia musiało zabraknąć. Ilu Ślązaków walczyło na froncie zachodnim?

■ Nie wiem. Nie zachowały się akta niemieckiego 6. Okręgu Wojskowego z Wrocławia. Przyjmujemy, że walczyło 800 tysięcy Polaków. Ilu Ślązaków, uczestników tej wojny, zostało po niemieckiej stronie granicy? Tego też nie wiemy.

Ilu nie wróciło do domu? Co czwarty?

■ Prawdopodobnie to jest ta skala. W jednych pułkach zginęło więcej, w innych mniej. Z tych samych powodów, o których była mowa, nie możemy podać precyzyjnych danych.

Ślązacy stanowili „kanonenfuter”?

■ O wszystkich, którzy się tam znaleźli, można tak powiedzieć. To pojęcie jest nadużywane. To jednak prawda, że „czynniki ludzkie” nie był najważniejszy, bo strategia walki zakładała, że przede wszystkim



trzeba przełamać linię przeciwnika, więc straty muszą się pojawić. Z kalkulacji wynikało, że potencjał demograficzny Niemiec jest silniejszy od Francji, nawet w połączeniu z brytyjskim korpusem ekspedycyjnym. Wojna miała przynieść zwycięstwo, straty były w nie wliczone. Nie znaczy, że żołnierzy świadomie wysyłano na bezsensowną śmierć, żeby na przykład sprawdzić położenie stanowisk artyleryjskich przeciwnika, z góry zakładając wybite całego batalionu – tak jak to się zdarzało dowództwu sowieckiemu w następnej wojnie.

Na Górnym Śląsku, zwłaszcza w jego opolskiej części, nie brakuje lokalnych miejsc upamiętnienia ofiar I wojny światowej. Mam jednak wrażenie, że brakuje nam wyrazistszych znaków i symboli, czegoś co bez patosu przypominałoby nam tamtą epokę.

■ W każdym niemieckim czy brytyjskim opracowaniu I wojny światowej wspomina się o miejscu, które jest bardzo blisko i odegrało znaczącą rolę. Myślę o Pszczynie, która była od roku 1915 do początku roku 1917 kwaterą główną naczelnego dowództwa niemieckiego. Najważniejsi dowódcy, nie wyłączając cesarza Wilhelma, podejmowali tu rozstrzygające decyzje. Hindenburg we wspomnieniach poświęcił pobytowi w Pszczynie dwa rozdziały, szczegółowo opisując rytm poszczególnych dni. Mamy zatem pod ręką miejsce pamięci historycznej, do którego turyści powinni zjeżdżać jak do Fortu de Marre pod Verdun. Nie potrafimy tego „sprzedać”.

Dlatego tak niewielu ludzi o tym wie. Jest jeszcze Cieszyn.

■ W nim z kolei ulokowało się naczelne dowództwo austriackie. Ale i ta pamięć praktycznie nie istnieje. Jednak w wielu miejscach, szczególnie walk na froncie wschodnim, pamięć taka odżywa. W Gorlicach, Krośnie, Przemyśle, a nawet w tym roku w miejscu tzw. bitwy pod Tannenbergiem odbywają się liczne ceremonie i tak modne obecnie rekonstrukcje historyczne. Najwyższy czas byśmy i na Śląsku pomyśleli o Pszczynie i Cieszynie. ■

Ryszard Kaczmarek – profesor, historyk dziejów najnowszych, dyrektor Instytutu Badań Regionalnych Biblioteki Śląskiej, autor książki *Polacy w armii kajzera. Na frontach I wojny światowej*

Krzysztof Karwat – pisarz, publicysta, autor cyklu *Górny Śląsk – świat najmniejszy w Teatrze Rozrywki w Chorzowie*



SEBASTIAN ROSENBAUM

Odkrywanie prowincji

U schyłku panowania Wilhelma II Górny Śląsk był odległym cyplem imperium kajzera. Tej części prowincji śląskiej nie dało się porównać z Namibią, ale ze swoją słowiańskością i katolicyzmem jawiła się w Rzeszy jako egzotyczna kolonia. Ziemia osobna, nieznana, irytująca, pełna sprzeczności.



Duże miasto (Królewska Huta)...

Pierwotne i mityczne mieszało się na tej ziemi z zaawansowanymi manifestacjami moderny. Nic dziwnego, że malarz Adolph von Menzel nazwał ją w słynnym obrazie walcowni żelaza w Królewskiej Hucie krainą „nowoczesnych cyklopów”. W przededniu wojny światowej region był tygłem, w którym starcie nacjonalizmów toczyło się równoległe do napięć społecznych i gospodarczej ekspansji. Pisano o tym wielokrotnie.

I W kleszczach stereotypów I

Raczej pierwsze opłotki wschodniej barbarii niż ostatni bastion zachodniej (czytaj: niemieckiej) cywilizacji. *Die finstere Ecke*, mroczny zaułek, ciemny kąt. Kraina ludzi nieokrzesanych i prymitywnych, posługujących się topornym volapükiem zlepionym z języka niemieckiego i polskiego. Ludzi, którym obca była wysoka kultura i wyższe potrzeby duchowe. Wyznających niemal pogański katolicyzm świątków, pielgrzymek i procesji. Przepijających wypłaty w dzierżawionych przez Żydów karczmach. Kraina brudu i nieporządku, biedy i zacofania, czyrak na ciele Rzeszy Niemieckiej.

Czy nie w taki wzór antytezy stereotypu niemieckości układał się Górny Śląsk w wyobrażonym świecie niemieckiego wyedukowanego mieszczaństwa drugiej połowy XIX wieku?

Pytanie retoryczne, bowiem lekceważący stosunek „zachodnich” Niemców (a nawet już Dolnoślązaków) do Górnego Śląska to topos w historii dyskursów o tej pogranicznej krainie, topos o długim trwaniu, żywotny co najmniej od drugiej połowy XVIII wieku. Skoro jeszcze na początku XX wieku wybierający się do Wrocławia Westfalczyki czy Bawarczycy zabierali z sobą rozmówki polsko-niemieckie, sądząc, że w śląskiej stolicy – mieście z mniejszym odsetkiem Polaków niż ówczesny Berlin – więcej na ulicach mowy polskiej niż niemieckiej, czyż może dziwić, że Górny Śląsk wyobrażano sobie jako emanację Słowiańszczyzny, w ubłoconych butach wchodzącej w zadbany niemiecki ogródek? Słowiańskość konotowano przecież negatywnie – pospół z biedą i zacofaniem, płynącymi – jak podkreślał to w *Soll und Haben* Gustav Freytag – z nieobecności mieszczaństwa, tego głównego nośnika nowoczesnej cywilizacji.

Jeszcze na przełomie XIX i XX stulecia górnośląski okrąg przemysłowy, najślawniejszy fragment regionu, dostarczał podróżnym z głębi Niemiec wiele dowodów na prawdziwość negatywnych stereotypów. Publicysta Ernst Laslowski, rodem z na połę dolno-, na połę górnośląskiego Kluczborka, wspominał w tomie o znaczącym tytule *Zapoznany kraj* (*Verkanntes Land*) swe pierwsze spotkanie z obszarem uprzemysłowionym, około 1900 roku: „wstrętne, czarne domy”, „brudne, wyboiste ulice w dusznej bliskości huty”, „blade kobiety i dzieci siedzące na rzadkich, szarych trawnikach między stosami drewna i rozmaitych rupieci”, wyglądające „upiornie” wypalone pola, robotnicy wytaczający się z knajp w dniach wypłaty, „a za nimi płaczące kobiety i bosonogie dzieci w łachmanach”.

Pisarz Laslowski bał się tej krainy, choć też rozumiał, że górnośląska ziemia jest rozległa i mieściła w sobie wiele przeciwieństw, a ta wizytówka, jaką był okrąg przemysłowy, wizytówka wątpliwa, mieścił w sobie sprzeczności bodaj najwięcej.

I Postęp i poznanie I

Akcja rodziła reakcję. U schyłku XIX wieku przeciwko negatywnym wyobrażeniom o Górnym Śląsku podniosła głowę część górnośląskiej elity, przede wszystkim spośród napływowego niemieckiego mieszczaństwa i zasymilowanych

tywy rozwoju regionu służyły egzemplifikacji tezy o „złych rządach” obcych – czyli Niemców). Zakładano jednak, że krytyka regionu pozostawała kilka kroków za jego faktycznym rozwojem, za przemianami na lepsze, jakie przyniosło przede wszystkim koło zamachowe przemysłu. Wierzano, że los krainy to droga ku dobremu.

Powstały dwie narracje. Pierwsza, prostsza, bardziej „populistyczna”, wzywała, by dostrzec i docenić oznaki progresu cywilizacyjnego. W jej rozwijaniu celowało liberalne, wykształcone mieszczaństwo, niemiecka odmiana inteligencji jako grupy społecznej. Już w 1886 roku pisał gliwicki kronikarz Benno Nietsche: „Gliwice rozkwitają, któż temu zaprzeczy. [...] Wszędzie widać postęp ku lepszemu”.

Prawie dwie dekady później wtórował mu Paul Drechsler, dyrektor gimnazjum w Zabrze, największej w Prusach gminy wiejskiej: „Ciasno i szczelnie pokryła kraj sieć szyn i trakcji [...]. Wzniosły się masywne budowle, wyposażone we wszelkie komforty wielkiego miasta. Po szerokich bulwarach, oświetlonych nocą rzęście elektrycznym światłem, kłębi się żądny wiedzy i sztuki tłum. Zmieciono hegemonię junkierstwa, daleko w tyle pozostawiono niedostatki oświaty; analfabeci już wnet znikną zupełnie. Polak, zręczny i skromny, szanuje niemiecką pracę i niemieckiego ducha przedsiębiorczości, [...] także jemu przynosząc awans społeczny i kulturalny. Jeśli obie narodowości zjednoczą się w pokojowej konkurencji, [...] wtedy dopiero Górny Śląsk doceniony zostanie także daleko poza granicami”.

Zatem utopia Postępu, nowoczesności i modernizacji Górnego Śląska jako lekarstwo na bolączki, włącznie z konfliktem narodowościowym, który w momencie, gdy Drechsler snuł swą wizję, zaczynał się rozgrzewać: rok po opublikowaniu artykułu Wojciech Korfanty został posłem do Reichstagu.

Druga opowieść jest inna. Niech jej protagonistą zostanie pewien Żyd z Wielunia: Ezechieli Zivier. W pierwszym numerze wydawanego od 1902 roku katowickiego miesięcznika „Oberschlesien” pisał on: „W pierw-

szym rządzie Górnoszlązak winien zostać zapoznany z osobliwą przeszłością i wielorakimi stosunkami panującymi obecnie w jego ojczystym kraju, aby w ten sposób bardziej go pokochać, aby w ważnych sprawach umiał kruszyć kopię w obronie tej



... i miasteczko (Toszek) na początku XX wieku

w niemieckości Górnoszlązaków, a także z kręgów polskiego ruchu narodowego. Nie nawoływano do prostego zanegowania krytycznych opinii. Przeciwnie, wychodzono z założenia, że wiele z nich jest prawdziwych i trafnych (dla ruchu polskiego nega-

ziemi. Zaś poza granicami Górnego Śląska chcemy wzniesić należne temu regionowi względy i poważanie”.

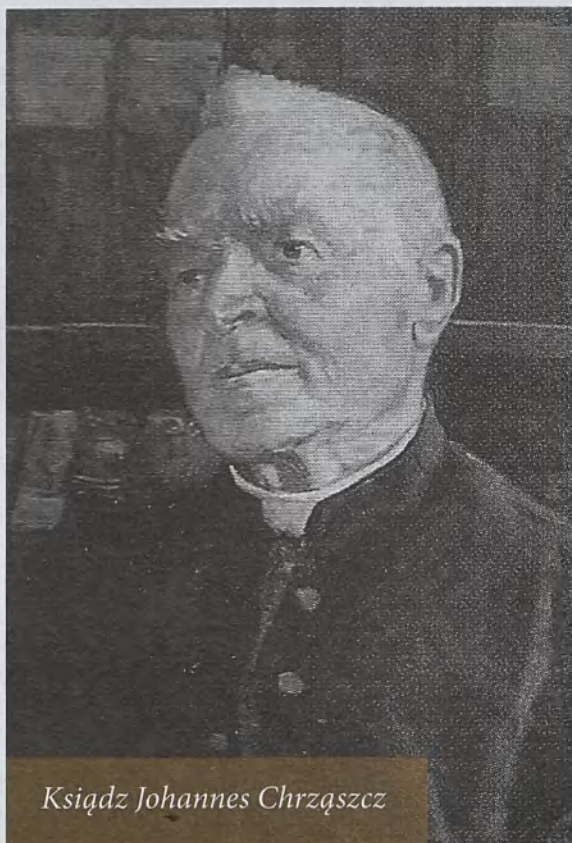
Zivier formułował projekt epistemologiczny: odkrycie i poznanie Heimatu, stron ojczystych, jako warunek *sine qua non* pozytywnej przemiany Górnego Śląska. Przemiany, której trajektoria to nie kolej, nowe drogi i przestronniejsze mieszkania (albo raczej: nie tylko to), ale procesy mentalne, przebiegające w głowach mieszkańców regionu. Poznanie własnego kraju jako swoiste grupowe *gnothi seauton*, konfrontacja z prawdą, która nie tyle może wyzwala, ile otwiera oczy, dodaje sił do pracy nad „zapoznanym krajem”. Zivier ustawił wysoko poprzeczkę dla zjawiska, które nazwano Heimatkunde, wiedzą o stronach ojczystych.

I Budowanie instytucji I

Nie przypadkiem Zivier napisał swój program dla kulturalnego periodyku. Traktował pismo „Oberschlesien” – on i jego następca na stanowisku szefa redakcji Paul Knötel – jako instrument odkrycia i poznania Heimatu, jako narzędzie kształtowania i umacniania górnośląskiej elity intelektualnej. W podtytule „Oberschlesien” zapisano, iż pismo zajmuje się „pielęgowaniem znajomości Górnego Śląska i reprezentowaniem jego interesów”. Przez kolejnych osiemnaście lat, do 1920 roku, co miesiąc wykształcony Niemiec górnośląski dostawał solidną porcję duchowej strawy – kilkadziesiąt stron esejów, artykułów historycznych i kulturowych, próbek liryki i prozy, recenzji. Ale projekt pisma nie był głosem na puszczy. Przeciwnie, wpisywał się w szeroki nurt odkrywania rodzinnych stron w wymiarze historycznym, społecznym, językowym, kulturowym, szczególnie mocno artykułowany od początków XX wieku.

Oto w 1905 roku Oskar Wilpert, nauczyciel w Opolu, zaczął wydawać kwartalnik „Oberschlesische Heimat”. Prawie 200 stron w czterech zeszytach w roku zawierało wiele artykułów, głównie historycznych, pisanych przede wszystkim przez księży i nauczycieli prezentujących raczej centrowy, czyli katolicki profil (inaczej niż liberalne „Oberschlesien”). Po śmierci Wilperta kierowanie pismem przejął ksiądz Johannes Chrzęszcz, niezwykle płodny historyk regionalista, autor monografii kilkunastu miast górnośląskich – człowiek aktywny nie tylko pisarsko.

Bowiem „Oberschlesische Heimat” nie poruszało się w instytucjonalnej próżni, było organem Oberschlesischer Geschichtsverein (Górnośląskiego Towarzystwa Historycznego), założonego w 1904 roku właśnie przez ks. Chrzęszcza i Wilper-



Ksiądz Johannes Chrzęszcz

ta. Zarówno towarzystwo, jak i jego pismo świetnie pobudzały lokalne środowiska wykształconych mieszkańców regionu do „zapoznania z osobliwą przeszłością” Górnego Śląska.

W dekadzie poprzedzającej wybuch wojny światowej instytucje nastawione na odkrywanie i pielęgnowanie górnośląskiej przeszłości i kultury zaczęły mnożyć się i wzmacniać. Z inicjatywy ks. Chrzęszcza (znowu) i prawnika Arthura Schillera powstało Muzeum Górnośląskie (Oberschlesisches Museum) w Gliwicach (w 1905 roku), pierwsza tego typu placówka w regionie. Działało jak instrument aktywizowania przedstawicieli „kasty” wykształconej do zainteresowania ojczystymi stronami. Już nie tylko badania archiwalne, etnograficzne, archeologiczne, nie tylko pisanie, ale i gromadzenie zabytków przeszłości pojawiło się w centrum kulturowych działań mieszczańskiej społeczności.

Natomiast w sąsiednim Bytomiu założono w 1910 roku Beuthener Geschichts- und Museumssverein (Bytomskie Towarzystwo Historyczne i Muzealne), które wnet liczyło prawie 200 członków spośród miejscowego mieszczaństwa. W prowizorycznych warunkach uruchomiono w tym samym roku muzeum, a od kolejnego roku ukazywać się począł periodyk towarzystwa, wychodzące nieregularnie „Mitteilungen”, na którego czele z czasem stanął Alfons Perlick, jeden z najbardziej znanych

etnografów regionalnych. Skupiono się głównie na Bytomiu, w mniejszym stopniu na reszcie regionu. Ale promieniowanie środowiska wybiegało daleko poza samo miasto. Pod lupę brano obszar historycznej ziemi bytomskiej, obejmującej však potężną część okręgu przemysłowego.

W tym samym czasie powstawały też organizacje pielęgnujące pamięć o wielkich Górnoszlazkach niemieckiej kultury – Josephie von Eichendorffie (Gliwice) i Gustavie Freytagu (Kluczbork). Ten akcent na niemieckość trzeba tu podkreślić.

I Przez pryzmat niemieckości I

Wokół wspomnianych instytucji, przywołanych tytułem przykładu, toczyło się intelektualne życie, którego rdzeniem było odkrywanie i opisywanie Heimatu. Kwerendy archiwalne mieszały się z wyprawami etnograficznymi, spisywaniu legend i podań towarzyszyły coraz bardziej masowo wykonywane fotografie krajobrazowe.

Narracje budowane przez przywołane instytucje dokonywały interpretacji dziejów regionu, osadzając go w niemieckim obszarze kulturowym. W optyce środowisk budujących owe pisma, stowarzyszenia i muzea Górny Śląsk był *tout court* niemiecki. Wiele aktywności z ostatniej dekady pokoju nosi polemiczny ton – negatywnym punktem odniesienia pozostawał ruch polski i metanarracja o odwiecznej polskości Śląska, o jego piastowskich korzeniach. Kto w duchu niemieckim zabierał publicznie głos, czuł za sobą dobitnie skandowaną wszechpolską opowieść, z wpisaniem na poczesnym miejscu Śląskiem jako jedną z pramacierzy polskich szczepów. W efekcie górnośląskie narracje – polska i niemiecka – stały się dialektyczne, dialogiczne, żyły polemiką i starciem, której praktycznym wyrazem była walka polityczna.

Polski idiom – kulturowy, językowy – w dyskursach niemieckich nie był rzecz jasna negowany, klasyfikowano go jako komponent regionu i jego mieszkańców, aczkolwiek komponent nieprzesadzający o poczuciu narodowej tożsamości. Zatem składnik raczej akcydentalny niż trwałe i niezmienny. W starożytności, powiadano, zamieszkiwali Śląsk Germanie, potem w dobie wędrówek ludów odeszli, a ich miejsce zajęli Słowianie. Tych potem stopniowo wyparli (na Dolnym Śląsku niemal kompletnie) niemieccy koloniści czasów średniowiecza. Jeśli nawet na Górnym Śląsku ostały się słowiańskie rudymenty kulturowe, to ich zniknięcie jest zapewne kwestią czasu – utrzymywali niektórzy autorzy niemieccy.

Irytację niemieckiej inteligencji, mieszczan, junkrów budziło wpisywanie górnośląskości w pol-

ski krąg kulturowy. Dlatego geograf Paul Diels wskazywał na Karola Miarke, ks. Norberta Bonczyka, ks. Konstantego Damrota czy Józefa Lompę jako na sprawców „grzechu pierworodnego”: „Jawnie i świadomie skierowali oni spojrzenie Górnoszlazaka na Wschód, na językowe, religijne, a niegdyś i polityczne związki z Polską”. A przecież, argumentował Diels w duchu jakże typowym dla ówczesnego niemieckiego dyskursu, w istocie nie było „wspólnoty duchowej” polskich Górnoszlazaków i Polaków z trzech zaborów. Jego zdaniem, została ona sztucznie wykreowana przez przywołanych autorów, a wzmocniona przez działaczy rodem z Wielkopolski.

Zatem odkrywanie górnośląskiej prowincji przez niemieckie elity dokonywało się w ramach narodowego paradygmatu: górnośląski Niemiec piszący o Górnym Śląsku instynktownie wpisywał tę ziemię w myśl przewodnią niemieckich dziejów. Opis prowincji mieszał z jej interpretacją i trudno, aby działało się inaczej.

I Propozycja Chrzyszczu I

Ale przecież nie był to schemat w pełni szczelny. „Rozszczelniały” go propozycje katolickie, jak ks. Johannes Chrzyszcz, które nazwać można „utrakwistycznymi”, od określenia, za pomocą którego nazywano dwujęzyczny kler górnośląski. Były to propozycje balansujące na pograniczu polsko-niemieckiej wzajemnej akceptacji, odrzucające nacjonalizm jako klucz czytania tożsamości. Także niemiecka artykulacja narodowa była w tej narracji słabsza, skupiano się na dziejach kościelnych, na równi traktując ich polskie czy niemieckie aspekty.

Dlatego w tym obszarze mógł się zmieścić „Kaplan Emil Schramek”, publikujący artykuły w języku niemieckim na łamach „Oberschlesische Heimat”. Jeśli kilka lat później stał się „księdzem Emilem Szramkiem” i pisał dla „Rocznika Towarzystwa Przyjaciół Nauk” – to oznaczało to tylko przemieszczenie na planszy, w której nie „naród” stał na pierwszym miejscu, ale całkiem inne wartości.

W obrębie takiej aksjologii mieścić się mogło także odkrywanie Górnego Śląska, które wymykało się z kleszczy narodowo zdeterminowanych opowieści. Ale wraz z wojną światową propozycji tej odegrano marsz żałobny. Nacjonalizmy okazały się silniejsze. ■

Sebastian Rosenbaum – historyk Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach, tłumacz, zajmuje się historią Górnego Śląska XIX i XX wieku, ostatnio opublikował książkę *W obcym kraju*

W Bojszowach przed stu laty



Bojszowy na pocztówce: kościół, fara, szkoła, kamienica kupca Zernika

Bojszowy w latach 1890–1914 należały do powiatu pszczyńskiego, który zamieszkiwało ponad 100 tys. mieszkańców: wyznania katolickiego (94 tys.), ewangelickiego (9 tys.) i żydowskiego (1 tys.). Żyli oni w trzech miastach (Pszczyna, Mikołów, Bieruń), 93 gminach i 86 dworach (stanowiących odrębne jednostki administracyjne).

Miejscowości stanowiące obecną gminę Bojszowy były wtedy osobnymi gminami. Nosiły następujące nazwy urzędowe: Niederboischow zu Jedlin (Bojszowy Dolne z Jedliną), Boischow (Górne Bojszowy), Tannendorf (Świerczyniec), Neuboischow (Nowe Bojszowy), Mezertitz (Międzyrzecze). Dalszą uwagę skoncentrujemy na Bojszowach Dolnych i Górnych.

W 1906 roku Bojszowy (Boischow) liczyły 412 mieszkańców. Wójtem był pólśiodłak (halbbaauer) Tomasz Wójcik. Urząd stanu cywilnego prowadził Robert Lawnik, który był jednocześnie kierownikiem szkoły i organistą. Obowiązki proboszcza od 1888 roku pełnił ks. Aleksander

Spendel. Sąd i księgi wieczyste znajdowały się w Pszczynie, odległej o 14 km (droga prowadziła przez lasy, ale już prostym bitym gościńcem wykonanym w 1878 roku.) Sąd okręgowy był w Gliwicach, a komisja poborowa w Rybniku. Stacja kolejowa (łącząca Nowy Bieruń bezpośrednio z Berlinem) była odległa o 9 km, a poczta w Bieruniu (Starym) o 4 kilometry.

Natomiast gmina Bojszowy Dolne z Jedliną (Niederboischow zu Jedlin) liczyła 672 mieszkańców (bez dworu). Funkcję wójta pełnił zagrodnik Jan Masalski. Pod administracją jedlińskiego dworu było 92 mieszkańców. Pozostałe dane jak wyżej w Bojszowach Górnych.

Z kroniki parafialnej

Proboszcz bojszowski ks. Aleksander Spindel prowadził Księgę Rodzin, w której odnotowywał ważniejsze wydarzenia z życia każdej rodziny. Ponadto prowadził kronikę parafialną. Oto wyimki z tej kroniki:

1890 Nowym właścicielem Jedliny został hrabia na Frankensteinie – Harbuval de Chamare.

1891 Na wniosek przewodniczącego zarządu gminy, poparty przez bieruńskiego burmistrza, sąsiedni Świerczyniec będzie się nazywał Tannendorf.

1892 Charlotte Tichauer, Żydówka, 15 lat, na własną prośbę ochrzciła się i po przygotowaniu podeszła do pierwszej spowiedzi i komunii.

Wybory do Reichstagu. Na miejsce duchownego Müllera z Berlina, 22 lutego wybrano barona von Reitzensteina z Pawłowic. Bojszowy oddały na niego 113 głosów, a Jedlina 103.

1893 Zmienił się nauczyciel tutejszej szkoły. Na miejsce Roberta Godfrieda przyszedł z Wyr Robert Lawnik.

Nowe wybory do Reichstagu, ponieważ Reichstag odmówił nowych wydatków na zbrojenia. Zwyciężył Gittner (głosował za podatkami). W Bojszowach otrzymał 224 głosy, w Jedlinie od robotników dworskich tylko 19.

W Jedlinie wybudowana będzie nowa strażnica graniczna. Grensruce Karol Tietze i Jan Gąsiorek będą mieli pomoc w patrolowaniu granicy niemiecko-austriackiej, bo idzie przez Wisłę wielki przemysł i pełni się złodziejstwo.

1894 Powstała fundacja budowy nowego kościoła. Proboszcz z Krzyżowic Hermann Fuchs (poprzedni proboszcz bojszowski) przekazał dalsze 1500 marek do przekazanych wcześniej 1500 marek.

1895 26 stycznia świętowano urodziny Jego Wysokości Cesarza Wilhelma II. Wszyscy uczniowie pod kontrolą nauczycieli uczestniczyli w mszy św. Potem w klasach śpiewano pieśni patriotyczne i deklamowano wiersze. Na drugi dzień był egzamin szkolny, który wypadł pomyślnie. Szkołę opuściło 36 absolwentów.

1896 Na Wielkanoc w miejsce nauczyciela Szmidta przyszedł Josef Felt – czysty Niemiec. Musi on uczyć dzieci mówiące w języku polskim, dlatego nie należy się dziwić, że traci cierpliwość i bije dzieci. Biedny nauczyciel! A jeszcze biedniejsze dzieci!

1897 Korzystny rok dla pszczoł. Wyrośliło się 14 rojów. W sierpniu proboszcz kazał zrobić ośmioboczną pasiekę na 22 czteropiętrowe ule i 22 trzypiętrowe.

400 bojszowskich dzieci zostało 18 maja bierzmowanych. Sakramentu udzielił w kościele św. Bartłomieja w Bieruniu Jego Eminencja Kardynał Georg Kopp z Wrocławia.

Go było po sklepach?

U nas piyrwyj były dwa sklepy: na Górnych Bojszowach – u Blocha Wilhelma i na Dolnych – u Żyda Ferdynanda Zernika.

Te Blochy w 1903 roku przyciągły z Polski. Juści, musieli mieć dobry kapitał, skoro kupili Chrószczowice i na tym miejscu wystawili około kamiynica. Niy czekać długo, otwarli tam faktoria, w kierej żeś kupił wszystko: mąka, krupy, sól, wuszt, śpyrka, miyso-pospółka, śledzie, futermel, piwo, wino, zelter. Jak cie było stykać, toś dostał dobrej bonkawy, szekulady, kakaua, cytron, apluzin. A jakeś piniyndzy niy mioł, toś mógł wzioś towor na borg. No, ale u nos ludzie niy byli lekkomyślniki. Jak biyda przycisła i zni-kąd niy było grosza, na borg, czyli pomp, brało sie ino to, co richtig było potrzebne – petrone-la, knut, świyczki, siarki, mydło... Dziecka zaś jak uchledały jaki fynik, lotały na bombony, lizoki, zymły, tabulki szkolne, hefty, blajsztyfty...

A w sklepie u Zernika było jeszcze wiyncyj. Dużo rzeczy do chałpy i gospodarstwa – szlam-krejda, farbka, grzebiynie, lepy na muchy, szkróbek, nici, gorki do warzynio, celendry do lamp, amol, ocet, śmyra, gwoździe, hufnole, pyntofle...

(wspomnienie Anny Piekorz
z domu Mrzyk, ur. 1894)

12 września odbyło się Święto Dzieci. Ze szkoły wyruszył pochód do lasu Ameryka. Były zabawne gry, pieśni świąteczne, deklamacje i okrzyki na cześć Cesarza i Rzeszy. Dzieci zostały ugoszczone kielbasą i piwem. Rozdawano różne przybory do szkoły. Przyszły też dzieci ze Świerczyńca.

1898 W maju Wisła tak gwałtownie przybrała, że cała Jedlina stała się jeziorem. Zasadzone kartofle – przepadły. Zboża i siano zniszczone.

1899 Rekrutujom! 19 młodych z naszych wsi musi stawić się do wojska. 10 pójdzie do kaserny w Gliwicach i Nysie, gdzie będą szkoleni w infanterii, 3 ma się zameldować w Oławie u huzarów, 1 w Opolu jako żołnierz feldartylerie. Czego nie nauczyła szkoła, to teraz nauczysz młodzieńców wojsko.

1900 W pobliskiej fabryce materiałów wybuchowych Sprengstoff – Fabrik – Berun zmiana właściciela. Nasi ludzie, co tam pracują, poznali już dobrodziejstwo prądu elektrycznego.

Wachtyrze

Nasze wsie przed Wielkom Wojnom leżały przy cysarskiej granicy. A jak to przy granicy – wszystkiego się trzeja było spodziewać. Nojwyncyj złodzieji się plągło. W nocy ukradli w jednym państwie, w dziyrń sprzedali drożyj w drugim. Szukej wiatru w polu...

To wiymy, bez granica przechodzili tyż porządni ludzie. Dużo naszych ludzi szło do Oświyncimia na torg, abo dalij na Kalwario na pąc. Choć Wisła była obstawiono po pruskij stronie zielonkami, a po cysarskiej jegrami, żodyn z nich niy pytał coś za jedyn, bo to było dobrze widać.

Cysaroki miały koszule na wiyrchu i przeważnie chodzili boso, nasze chopy miały koszule w galotach i mieli porządne strzewiki. Podobnie baby – te z cysarskiej chodziły w szatach, a nasze obłykały kiecki i jakle. Taki zielonka z daleka widzioł, kto jest skąd.

Porządni przechodzili Wisła w dziyrń i niy musieli sie z niczym kryć. Złodzieje i szmuglerze grasowali po nocach. Beztóż u nos w każdej wsi byli wachtyrze.

Taki wachtyrz to był morus. Sie nikogo niy boł. Na jednym ramiu nosił taśka, na drugim trombka, a przy nogach na sworce wodził ostrego psa.

U nos trzeja było dwóch wachtyrzy. Wachowali oni bez każdo noc tak: we środku wsi, przy szkole stoła budka, skąd zaczynali obchód. Jedyn szeł bez Dolne Bojszowy, drugi bez Górne. Krokali, każdy po tysiąc kroków tam a nazod. Jak sie jim po drodze nikaj nic niy przytrefiło, po godzinie zaś sie schodzili przy budce. A jak sie coś przytrefiło, jedyn drugimu szeł na pomoc, bo słyszoł trombka i wołani: Retung! Rety!

(na podstawie wspomnienia
Józefa Żołny, ur. 1884)

1901 Nad Korzyńcem przy szosie pszczyńskiej wywiercono czwarty otwór o głębokości 270 m, który potwierdził występowanie węgla pod całymi Bojszowami.

Nauczyciel bojszowski Karl Krone musiał zrezygnować z pracy w szkole, bo pozwolił sobie na stosunek z zaręczoną dziewczyną.

1902 Proboszcz Aleksander Spindel podjął trud wy-

budowania nowego murowanego kościoła. Zwrócił się do opolskiego architekta Ludwiga Schneidera z zamówieniem wstępnego projektu technicznego i kosztorysu. 22 kwietnia dzieło było gotowe. Kosztorys opiewał na kwotę 94 tys. marek. Książe pszczyński obiecał dać większą połowę tej kwoty, wspólnota parafialna 12 tys., resztę hrabia de Chamare.

Szosa pszczyńską przez Bojszowy przejechał pierwszy samochód: Benz-Manheim należący do księcia pszczyńskiego.

W okresie od 12 do 18 maja ks. Jan Kapica z Tychów codziennie w parafii miał kazanie o szkodliwości alkoholu. W niedzielę 18 maja, po ostatnim kazaniu, wśród bicia dzwonów dwieście osób złożyło śluby wstrzemięźliwości. Połowa z nich wpisała się do Bractwa Wstrzemięźliwości.

1903 26 marca nastąpiło pierwsze uderzenie łopaty przy budowie kościoła i wmurowanie aktu erekcyjnego.

Została wprowadzona przez rewizora Warlo z Zabelkowa pożyczkowa i oszczędnościowa Kasa Reiffeisena. Będzie ją prowadził proboszcz.

1904 17 lipca zakończenie budowy kościoła. Msza dziękczynna z udziałem 11 duchownych z okolicznych parafii. Pobłogosławienie świątyni listem Kardynała Georga Koppa.

13 października poświęcenie kościoła przez dziekana mikołowskiego, a proboszcza w Mokrem ks. Ryszarda Stehra.

1905 14 czerwca w południe (był wielki upał) spalił się stary kościół bojszowski z 1580 roku. Podpalenia drewnianej świątyni dokonał młynarz Mateusz Tomala zwany Zmełtym. W sądzie w Bytomiu za swój czyn dostał dwa lata więzienia.

1906 Nauczyciele bojszowscy Karol Reimann i Franciszek Renner opublikowali w „Kattowitzer Zeitung” dwa artykuły skierowane przeciwko proboszczowi Spendlowi i kierownikowi szkoły Lawnikowi za nieudzielenie zgody na zorganizowanie balu maskowego i towarzystwa śpiewaczego. Za tę publikację musieli odejść.

Jesienią proboszcz w farskim ogrodzie założył sad. Posadził w nim kilkadziesiąt szlachetnych odmian jabłoni, grusz, śliwek, wiśni i orzechów, a także wiele miododajnych krzewów. Sadzonki sprowadził kolejną z Frankfurtu. Mieszkańców wsi zachęcał do zakładania własnych sadów. Rozdawał im darmowo sadzonki.

1907 13 maja w nocy w pobliskiej fabryce miała miejsce silna eksplozja dynamitu. Szczęśliwym trafem nikt nie zginął. W tej fabryce pracuje ok. 20 parafian.

W Słupnej koło Mysłowic odsłonięto wieżę widokową Ottona von Bismarcka. Wielu naszych ludzi pojechało tam pociągami z Nowego Bierunia, aby ją obejrzeć.



*Ksiądz Aleksander Spendel (1844–1922),
proboszcz w Bojszowach w latach 1888–
1922 (zmarł 15 sierpnia 1922 roku)*

1908 Powstała w Bojszowach tajna biblioteka polska. Założył ją Jan Jęczmyk w ramach Towarzystwa Czytelni Ludowych.

1909 Większość parafian żyje z pola i ze służby w lesie. Z pracy w kopalniach żyje ok. 50 rodzin. Niewiele jest rzemieślników, to krawcy, kowale, cieśle, szewcy, murarze. Tych ostatnich sporo wyjechało ku Katowicom, gdzie się dużo buduje kamienic.

1910 W minionych dziesięciu latach nowe, murowane domy kryte dachówką wzniesiono: Bojszowy Górne – 7, Bojszowy Dolne – 8, Jedlina – 6. Cegłę wyrabia się z miejscowej gliny i wypala w piecach polnych. Kamień wapienny przywozi się ze skał z Cielmic albo ze Ścierni.

1911 Na wiosnę po raz pierwszy pojawiły się na szosie pszczyńskiej auta ciężarowe na „folgumach”. Woziły lędziński węgiel do Pszczyny.

1912 Wybory do Reichstagu. Zwycięstwo odniósł kandydat propolski ks. Paweł Pośpiech (wikariusz z Janowa). Uzyskał 55 proc. głosów.

Akt erekcyjny kościoła św. Jana

Na wieczną rzecz pamiątkę. Ten Dom Boży został zbudowany w latach 1903–1905 staraniem ówczesnego proboszcza Spendla i za zgodą wysokich patronów: Hrabiego Cosmаса Harbuwala de Chámare ówczesnego posiadacza Jedliny i Jego Księżęcą Mość Jana Henryka XI Hochberga z Pszczyny – właściciela Górnych Bojszów, którzy dali po 24 tys. marek. Projekt wykonał architekt Ludwik Schneider, kierownictwo spoczęło na mistrzu budowlanym Maxie Schliwka z Zabrze pracującym razem z technikiem Josefem Grzimkiem. Jako podmajster mularski pracował Johann Hellebrand z Rauthen, parafia Deutsch-Kraware, a jako podmajster ciesielski Franz Meier z Opola. Członkami Zarządu Kościelnego byli: Valentin Lysko, Bartek Madej – obaj Bojszowy Dolne, Ignaz Piekorz i Josef Czarnynoga – obaj z Bojszów, Anton Gembołys z Jedliny, Johan Pyrlik ze Świerczyńca.

Wspaniałą ofiarę na budowę kościoła złożył ks. Hermann Fuchs z Krzyżowic, wcześniejszy proboszcz Bojszów, ks. August Schumann z Mikołowa – komisarz metropolitalny, ks. Karl Wrazidło z Łędzin, a szczególnie przewielebny kardynał Georg Kopp – arcybiskup wrocławski. Parafia liczyła 2300 dusz.

Bojszowy, 17 lipca 1904 r.

1913 W karczmie Tichauerów z inicjatywy działaczy polskich zawiązało się Towarzystwo Śpiewacze. Powstał chór „Jutrzenka”, którego prezesem został Jan Jęczmyk, a dyrygentem aptekarz Teodor Lewandowski z Katowic.

Zawarto rekordową liczbę ślubów. Natomiast spadła liczba urodzeń, bo wielu mężczyzn powołano do trzyletniej służby wojskowej, a rezerwistów na ćwiczenia landwery. Niemcy i Francja zbroją się. Dużo się mówi o wojnie.

1914 Wojna. 9 listopada wojsko austriackie cofające się spod Iwanogrodu szukało w naszych wsiach kwatery dla 2 tysięcy koni i ich masztalerzy. Dlatego owies, siano i słoma zostały wyrabowane. Dopiero w grudniu – ulga! – wszyscy wymaszerowali. Plaga myszy w naszych wsiach.

Alojzy Lysko – pisarz, samorządowiec, nauczyciel, wieloletni kierownik zespołu „Bojszowanie”, autor książki *Duchy wojny*



JUDENGASSE 1914

Kto jeszcze pamięta o Żydach z Białej? Dla mnie ich historia łączy się z historią Białej (Zülz), z której pochodzę, w której dorastałem i która nadal pozostaje dla mnie punktem odniesienia.

Jako chłopak biegałem po tej mało znanej miejscinie w pobliżu Prudnika, znałem ją wzdłuż i wszerz (nie było to trudne ze względu na jej niewielkie rozmiary), czułem zapach murów, podwórek, stawów i łąk. Było to w latach 70. ubiegłego wieku. Niewiele pozostało wtedy z zapachów egzotycznych przypraw, potraw, towarów, sukna, świec, które dominowały w niej wcześniej. Jeśli stojące przy rynku kamienice mają po 200–300 lat, to wiele z nich pamięta światło świec szabasowych zapalanych w piątkowe wieczory.

Skąd się wzięli Żydzi w Białej? Przybywali z Zachodu i od XIV wieku osiedlali się w śląskich miastach i miasteczkach. Zawsze przychodzi mi na myśl niepewność losu, która wpisana była w społeczność żydowską. Władcy, biskupi czy rycerze nie wiedzieli, jak postępować z Żydami: zwalczać, tolerować czy wspierać? Pogromy we Francji i na zachodzie Niemiec przyczyniły się do osadnictwa żydowskiego w naszej części świata. Ale i tu Żydzi spotykali się z uprzedzeniami. Zakaz pożyczania pieniędzy na „lichwę”, obowiązujący chrześcijan, umożliwiał Żydowi (bankierowi, kupcowi, zarządcy) specjalizację finansową. Pomnażając pieniądze, Żydzi wzmacniali gospodarkę i płacili władcom po-

datki, odgrywając jednocześnie rolę chłopców do bicia. Byli niechciani, inni, obcy. A jednak w kalkulacji możliwych przeważały korzyści. Dlatego otaczali ich opieką, przyznawali przywileje i gwarantowali bezpieczeństwo. Takie wrażenie nasuwa się, gdy czytam historię Żydów w miastach śląskich. A jak było z Żydami w Białej?

W okresie mojego dzieciństwa w Białej ich ślady były jeszcze widoczne. Biegaliśmy po zaniedbanym, dzikim parku, pomiędzy macewami na wzgórzu na obrzeżach miasteczka. Chodziliśmy tam za dnia, paliliśmy pierwsze papierosy. Nikomu nie przyszło na myśl, żeby pójść tam nocą, choć może byli i tacy. Panowało przekonanie, że to jest „inne” miejsce, może nie do końca „zakłète”, ale z pewnością nie całkiem „oswojone”. Wiadomo było, że Hitler zabił Żydów i tyle.

Nie do końca wiedzieliśmy, czy wolno nam biegać po cmentarzu, chować się, krzyczeć? Te macewy były jakieś dziwne i niepokojące. Miały podobny kształt, ale ustawione były w różnych kierunkach, grupami, były przekrzywione. Nie potrafiliśmy odczytać „żydowskiego” pisma. Niektóre napisy były po niemiecku, ale wtedy to nikogo nie interesowa-

ło. Nie znaleźmy niemieckiego, a zresztą czytanie czegoś po niemiecku mogło być wtedy podejrzane. Mieszkańcy Białej rzadko o nich mówili. Nie pamiętali. Ten czy ów wskazywał, że w miejscu, gdzie stoi miejski transformator, służący nam jako bramka do gry w piłkę, stała kiedyś synagoga. Moja oma opowiadała mi, że kiedyś na Białą (Zülz) mówiono Judenzülz, że Żydzi prowadzili wiele kramów, a niektóre urządzone były w piwnicach. Trudno mi było sobie to wyobrazić, bo piwnice w Białej znałem aż nadto, wszystkie były wilgotne i cuchnące. Już chyba więcej o Żydach z Białej nie usłyszałem ani w szkole, ani w domu, ani w kościele. Dopiero na studiach dowiedziałem się o badaczach z Wrocławia, których zainteresowała ich nekropolia. Ktoś postawił przy niej tablicę z napisem „kirkut”. Pamiętam ilość macew – 905. Nie zadałem sobie wtedy pytania, dlaczego akurat tyle i jakie to może mieć znaczenie dla miasta, w którym dorastałem.

Potem wpadła mi w ręce ilustrowana książeczka *Die Geschichte der Stadt Zülz* (Historia Białej) księdza Johannesza Chrzęszcza, wydana na 700-lecie Białej w 1926 roku. Zobaczyłem na zdjęciu, że kirkut obejmował na oko trzy razy większą powierzchnię niż obecnie i rozpościerał się na obszarze dzisiejszych działek pracowniczych. To było dla mnie odkrycie. A więc kiedyś macew musiało być więcej.

Później dowiedziałem się o Białej jako o *makom cadik*, miejscu sprawiedliwym. Moja Biała miałyby być takim miejscem? Przecież o Białej niemal nikt nie słyszał. Kiedy mówię, skąd pochodzę, każdy myśli, że chodzi o Bielsko-Białą. O tym, że pod pojęciem „Judenzülz” kryje się coś więcej, dowiadywałem się stopniowo. Gdybym czytał uważniej, to dowiedziałbym się więcej z książki księdza Chrzęszcza, zawierającej przecież osobną „historię gminy żydowskiej w Białej”. Jej autor, Izaak Rabin, podkreśla wyjątkowość Białej dla społeczności żydowskiej w związku z edyktami o wypędzeniu Żydów ze Śląska.

Przypomnę te fakty: w 1559 roku cesarz Ferdynand I wydał edykt o wygnaniu Żydów z ziem dziedzicznych Habsburgów, czyli m.in. z Czech, Moraw i Śląska. Odtąd Żydzi nie mogli mieszkać na Śląsku, lecz edyktu nie zastosowano ściśle. Dzięki wstawiennictwu właściciela Białej, Jana Krzysztofa von Proskowskiego, miasteczko stało się jedynym miejscem na Górnym Śląsku, w którym Żydzi nie tylko mogli pozostać, ale wciąż się osiedlać. Do Białej przybywali Żydzi z Wrocławia, Brzegu, Świdnicy, potem z ziem czeskich, a nawet z Wiednia. Z czasem Biała stała się Judenzülz.

Cesarz Rudolf II w 1582 roku potwierdził edykt nakazujący Żydom opuszczenie Śląska. Wtedy kolejny właściciel Białej, Christian von Proskowsky, wysłał do niego prośbę: „W związku z tym, że Żydzi



Pocztówki z Białej z przełomu stuleci z kolekcji Józefa Jonika z Zabrze

mieszkają tu od dwustu lat, proszę, ażeby wolno im było pozostać dłużej". Postawa von Proskowskich, których pokolenia dawały dowody życzliwego nastawienia do Żydów, zapewniając im schronienie i opiekę, była wyjątkiem. W rezultacie gmina żydowska w Białej uzyskała szczególne znaczenie, a ktoś wypowiedział dziękczynne *makom cadik* – „miasto sprawiedliwych” lub „miasto godne zaufania”.

Każda synteza dziejów Śląska wspomina o społeczności żydowskiej w Białej, lecz informacje są fragmentaryczne. Dokumenty datują

mieszkało 26 rodzin żydowskich. W 1647 roku Żydzi posiadali w Białej 21 domów, w 1716 już 30, w 1782 nawet 40.

Od połowy XVIII wieku Biała była jedynym miastem Rzeszy, gdzie liczba Żydów przewyższała liczbę chrześcijan. Dane z 1782 roku mówią o 1062 Żydach (wobec 961 chrześcijan). Nawet we Wrocławiu Żydów było niewiele ponad 700. Przez lata Biała była najważniejszym skupiskiem Żydów na Górnym Śląsku. Pozostali Żydzi mieszkali przeważnie po prawej stronie Odry (w Wodzisławiu, Dobrodzieniu, Toszku i Bytomiu) i pochodzili z ziem polskich.



Zobaczyłem na zdjęciu, że kirkut obejmował niegdyś na oko trzy razy większą powierzchnię

obecność Żydów w Białej od 1534 roku. Najpierw to 9 rodzin, które zamieszkiwały na Przedmieściu Nyckim, a potem przeniosły się w obręb murów miejskich. Po edyktach cesarskich liczba ludności żydowskiej rosła. Z biegiem lat Biała stała się w pełni samodzielną gminą żydowską, posiadała drewnianą synagogę, cmentarz, szkołę, zatrudniała rabina. Żydzi bialscy trudnili się handlem tkaninami, wełną, woskiem, miodem i koronkami. Prócz danin pieniężnych dostarczali miastu przypraw korzennych, a co trzy lata byli zobowiązani do przysyłania księdzu materiału na sutannę. W roku 1604 w Białej

Rozszerzenie przywilejów w roku 1601 dało bialskim Żydom możliwość zakładania kolejnych siedzib, a najbardziej pożądanym miejscem była stolica Śląska – Wrocław. Dlatego coraz częściej opuszczali spokojne, lecz peryferyjne miasteczko i osiedlali się we Wrocławiu. W 1737 roku 16 rodzin pochodzących z Białej należało do najbardziej wpływowych Żydów we Wrocławiu. Ich duchowym ośrodkiem stała się synagoga przy placu Karola (Karlsplatz, dziś Plac Bohaterów Getta). Podobno obroty handlowe bialskiej społeczności z Wrocławiem były tak duże, że ustanowiono

w nim stałego reprezentanta Białej nazywanego „białskim szamesem”. Biała nadal bogaciła się, handel przynosił zyski i pomimo restrykcji pozostała *makom cadik*.

Jednak edykt emancypacyjny z marca 1812 roku, uznający Żydów za równouprawnionych obywateli pruskich, doprowadził do rozpadu ich społeczności w Białej. Gdy w 1840 roku w Gliwicach powstał nowy związek żydowskich gmin górnośląskich, Biała weszła do niego już na zwykłych zasadach. Jej uprzywilejowana pozycja była niepotrzeb-

na. Ten ostatni poświęcił się badaniom nad przyczynami cukrzycy. Z rodziny tej pochodziła też aktorka Hertha – Louise Ernst – Zuelzer. W Berlinie mieszkała biolożka Margarethe Zuelzer. Nawet dzisiaj, gdy szukam nazwisk w internecie, odnajduję doktorów Zuelzerów w Wiedniu, San Antonio, a jakąś młodą damą „ćwierka” z Waszyngtonu. Czy wiedzą, skąd pochodzi ich nazwisko?

Znane są nazwiska wielu białskich rabinów. Znajduję także nazwiska rabinów z Białej, którzy wyruszyli w świat. Na przykład Salomon Cohn, rabin gmin żydowskich w Opolu, Schwerinie i Ma-



Macewy kirkutu w Białej na zdjęciu współczesnym Pawła Myszyńskiego

na. Pochodzący z Białej „pionierzy” stanowili teraz trzon nie tylko gminy wrocławskiej, ale też nowych gmin w Prudniku, Opolu, a może też w Gliwicach, Zabrze, Katowicach. Z 1109 osób w 1828 roku liczba Żydów w Białej zmniejszyła się do 411 w 1856 roku.

Gdy król Prus obdarował Żydów wolnością, musieli oni przyjąć nazwiska. Wielu przyjęło nazwiska związane z miastem czy regionem pochodzenia. Znalazło się niemało Zülzerów (Zuelzerów, Zilzerów). Można przyjąć, że oni sami lub ich przodkowie pochodzili z Białej. Znani są berlińscy lekarze pediatrzy Zülzerowie: ojciec Wilhelm i jego syn Georg Lu-

astrichcie, który od 1876 roku kierował jedną z najbardziej wpływowych berlińskich synagog w Tiergarten. Nieco starszy Louis Loewe otrzymał staranne wykształcenie rabinackie, ale zastąpił jako orientalista i podróżnik.

Nie wszyscy wyjechali z Białej do Ameryki. Niektórzy, jak Samuel Fränkel, udali się do pobliskiego powiatowego Prudnika. Tam Fränkel założył (w 1845 roku) fabrykę tekstylną zaliczaną do największych na świecie producentów płótna i materiałów frotté, znaną później jako Frotex. Wnuczka Samuela, Jadwiga, wyszła za mąż za słynnego bio-



Bialski Kirkut – obraz Piotra Myszyńskiego, malarza i pisarza z Białej

loga Paula Ehrlicha. Może dlatego ostatni bialscy Żydzi zazdrościli Prudnikowi?

Przed kilku laty mówiło się o urodzonej w Głogówku Matyldzie Fränkel, prababce Johna Kerry'ego, kandydata na prezydenta USA. Przez chwilę sąsiadujący z Białą Głogówek miał „swoje pięć minut” nawet w Ameryce. Ale wystarczy sprawdzić losy rodziny w internecie: ojciec Matyldy, Jakub Fränkel, urodził się w Białej. Jeśli ta historia jest prawdziwa, to minister spraw zagranicznych USA przodków powinien szukać raczej w Białej.

W czasach emancypacji i wolności każdy rachował dobytek, pilnował koncesji i koneksji. Co chwila przychodziła wiadomość, że młody F. wyjeżdża na naukę zawodu do Wrocławia, B. podobno już tam studiuje, rodzina E. przeprowadza się do Opola, a ktoś kupił dla córki dom w Gliwicach. Jeden wyjechał do Berlina, inny do Hamburga. Dwie rodziny miały krewnych aż w Ameryce, pewnie też niedługo wyjadą. Wielu ogarnęła „gorączka wyjazdów”, choć starszych martwiła ta nowa moda: studia, garnitur, melonik. Zastanawiali się, czy to jeszcze są Żydzi w tym Opolu, Wrocławiu? A co z Białą? Czy szkołę żydowską trzeba zamknąć? A co z kanto-

rem? Czy rabin będzie dojeżdżał z Prudnika?

Wyobrażam sobie żydowskich chłopców biegających po Białej w połowie XIX wieku. Wtedy mieszkało tam jeszcze sporo rodzin żydowskich. Sto lat później biegałem z kolegami po tych samych uliczkach. My też nie chcieliśmy zostać w Białej, nas też ciągnęło do lepszego świata, także naszych rodziców, krewnych. Kto otrzymał już zezwolenie na wyjazd? Sąsiad z bloku, koleżanka z klasy, kierownik chóru – to byli szczęśliwcy! Ale jak wszyscy wyjadą, to kto zostanie? Co

będzie z naszą szkołą, kościołem, cmentarzem? Nikt jednak nie zadawał takich pytań.

Dzisiaj myślę o Białej dzieciństwa. Nie było już wtedy ani Zuelzerów, ani Fränklów. Gdybym miał więcej wyobraźni, to także na miejskim cmentarzu zauważyłbym ich ślady. Z tyłu cmentarza, na dużych czarnych płytach, do dziś widnieją „dziwne” nazwiska: Englisch, Hirsch, Holländer... Daty śmierci z początku XX wieku. W Białej mieszkało już tylko kilka żydowskich rodzin.



Dawna synagoga w Białej

Dla Żydów z Białej rok 1914 był przełomowy. Najbardziej znacząca gmina żydowska przedindustrialnego Górnego Śląska straciła niezależność i przyłączono ją do gminy prudnickiej. A słynna bialska Judengasse

została w tym samym roku zamieniona na Lange-gasse. Już wtedy powoli o niej zapomniano. Dziś w Białej prawie nikt już nie pamięta, gdzie się znajdowała. ■

Andrzej Kaluza – doktor, germanista i politolog, pracownik Deutsches Polen-Institut w Darmstadt, gdzie pełni m.in. funkcję rzecznika prasowego i redaktora rocznika *Jahrbuch Polen*

GRZEGORZ BĘBNIK

W afrykańskich koloniach

Niemieckie oddziały kolonialne w Afryce Wschodniej w walce

Czy można prześledzić losy Górnoślązaków w niemieckich koloniach w Afryce? Jeśli nie wszystkich, to na pewno niektórych. Najczęściej żołnierzy oddziałów kolonialnych i policjantów, którzy pozostawili nierzadko bogatą źródłową spuściznę, ujętą w formę dokumentacji personalnej.

Afrykańskie kolonie niemieckiego cesarstwa zamieszkiwało w 1914 roku około 13 milionów mieszkańców. Białych było jakieś 23 tysiące, a i tak nie wszyscy byli obywatelami niemieckimi. Największą grupę stanowili urzędnicy, policjanci i żołnierze oddziałów kolonialnych. Do podjęcia decyzji osiedlenia się w kolonii skłaniać mogły rozmaite przyczyny – poczynając od żądzy przygód i fascynacji egzotyką, po względy czysto materialne, jako że w cesarskiej służbie dobrze płacono. W cenie byli fachowcy w rozmaitych dziedzinach.

Motywy wyjeżdżających do Afryki Górnoślązaków nie różniły się od przedstawionych wyżej, co dotyczy zwłaszcza żołnierzy, wstępujących ochotniczo do tej czy innej Schutztruppe. Ci zaś, którzy zamierzali podjąć pracę w koloniach, mogli liczyć na gościnne przyjęcie; często dysponowali unikalnym *know how* jako beneficjenci panującej na Górnym Śląsku cywilizacji technicznej. Do rzadkości należeli ci, których do Afryki pchnęła chęć zarobienia na obrocie surowcami i towarami kolonialnymi. Do tego potrzebne były spore pieniądze.

Z pozostałych stron gazet można wyłowić rozmaite przypadki. Zabrzeński „Dziennik Polski” donosił o robotnikach, którzy wyjechali do Afryki Południowo-Zachodniej (dzisiejsza Namibia) znęcani dobrze płatną pracą przy budowie kolei wąskotorowej, łączącej nadmorskie porty z interiorami. „Dziennik” pisał o tym kąśliwie: *zbierano robotników do Afryki Południowo-Zachodniej do budowy kolei. Ogłaszała to w gazecie pewien przedsiębiorca i obiecywał po pięć marek dziennego zarobku, trzy pary galot, trzy żakiety i trzy koszule, dwie czapki i inne udogodnienia. Wielu połąkomiło się na galoty i zostawili żony z drobnymi dziećmi.*

Znacznie więcej powiedzieć można o tych, którzy do Afryki dostali się drogą służbową. Przeważnie ich przygoda rozpoczynała się w jednostce na terenie Rzeszy, gdy zgłaszali chęć wyjazdu do kolonii w charakterze żołnierza Schutztruppen. Dostać się nie było łatwo: kandydatów nie brakowało. Większe szanse mieli ci, którzy legitymowali się już egzotycznymi misjami, np. w Chinach podczas



Grób sierżanta Maxa Glombitzy na cmentarzu w Warmbad w Namibii

tłumienia powstania bokserów. Adeptów czekały drobiazgowe badania lekarskie, potem długie czasami oczekiwanie. Wreszcie ci wytrwali, po miesięcznej podróży statkiem, mogli postawić stopę na afrykańskiej ziemi.

Wyjazd na koszt cesarza wiązał się z pewnymi zobowiązaniami; w niektórych koloniach (zwłaszcza w Afryce Południowo-Zachodniej, ale też w Afryce Wschodniej (obejmującej część dzisiejszej Tanzanii oraz Rwandy i Burundi) trwały nieustanne walki z tubylcami. W Afryce Wschodniej tłumiono je dzięki werbowanym wśród skonfliktowanych z sobą plemion askarysom (tubylczym żołnierzom), w Afryce Południowo-Zachodniej z racji bliskości Burów, niechętnych uzbrajaniu tubylców, polegano niemal wyłącznie na żołnierzach z metropolii.

Jeden z nich, Constantin Jitschin, urodzony w Wierzbicicach (Oppersdorf) w powiecie nyskim jako syn młynarza, we wspomnieniach podawał, że w I batalionie Schutztruppe, walczącym w 1904 roku pod Waterberg, cała niemal kompania składała się ze Ślązaków. Rozpoznał ich po języku, którym się posługiwali; wszystko wskazuje na to, iż pod afrykańskim niebem rozbrzmiewała śląska „godka”.

Pobyty w Afryce Południowo-Zachodniej w latach walk z tubylcami niewiele miał wspólnego

z krajoznawczą wycieczką. Największa pomiędzy zjednoczeniem Niemiec a I wojną światową operacja cesarskiej armii pociągnęła za sobą znaczne straty; szacuje się, iż z 15 tysięcy żołnierzy życie straciło blisko 1700, z różnych przyczyn: zarówno od karabinowych kul i „kieries” (tradycyjnych maczug) tubylców, jak i chorób, nade wszystko tyfusu.

Na rozsianych po Namibii cmentarzach znaleźć można wielu „swoich”: w szpitalu polowym w Windhoek zmarł 4 lutego 1904 roku na tyfus aspirant płatniczy Vinzent Kolodziej, wcześniej służący w 63. Pułku Piechoty (4. Góernośląskim) stacjonującym w Opolu; w szpitalu polowym w Kalkfontein zmarł 23 maja 1905 roku, także na tyfus, jeździec Klemens Szymanski, wcześniej w 5. Batalionie Saperów (Dolnośląskim) w Głogowie; na pokładzie statku szpitalnego „Lulu Bohlen” zmarł ranny jeździec Max Kaluza, wcześniej we wrocławskim 51. Pułku Piechoty (4. Dolnośląskim); gefrajter Stefan Panitz, wcześniej w nyskim 6. Batalionie Pionierów (Śląskim), zmarł 27 marca 1906 roku w szpitalu polowym wskutek zapalenia nerek. Jak widać, choroby potrafiły dziesiątkować skutecznie.

Jednak ofiar kul nie brakowało: jeździec Josef Kosiol, wcześniej w 57. Pułku Artylerii Polowej

(2. Górnośląskim), oddalił się od maszerującej kolumny i 13 lutego 1906 roku znaleziono go martwego w okolicy osady Konus z raną postrzałową głowy, inny jeździec, Karl Schurma, wcześniej w 51. Pułku Piechoty (4. Dolnośląskim), padł 20 czerwca 1906 roku w boju pomiędzy Kalkfontein a Warmbad.

Po upływie czasu kontraktu żołnierz mógł go przedłużyć (o ile trwała jeszcze wojna) lub wystąpić z wojska i powrócić do kraju bądź osiąść w Afryce. Jeśli decydowano się na zawarcie dłuższej zna-



jomości z Czarnym Lądem, wybierano raczej kontynuację służby *pour le roi de Prusse*, aniżeli oferowaną weteranom możliwość poprowadzenia farmy. Zapewne weteranom trudno było odnaleźć się w roli czy to hodowcy, czy rolnika. Nic dziwnego, że chętnie wstępowali do kolonialnej policji.

Z chwilą wybuchu I wojny światowej ponownie znaleźli się oni w armii niemieckiej. Walczyli z różnym skutkiem: w Namibii niemiecka Schutztruppe skapitulowała już w lipcu 1915 roku. Do tego czasu jej szeregi zdążyły się wydatnie przerzedzić. Napomknąć tu można o sierżancie Maxie Glombitz z Rzymkowic (Ringwitz) w powiecie namysłowskim, zmarłym 19 września 1914 roku, Franzu Paterze z Zabrze, który padł 21 marca 1915 roku w okolicach Pforte, czy gefrajtrze Victorze Kleinie z Wielkich Hajduk (Bismarckhütte), poległym 26 kwietnia 1915 roku pod Treckkoppje. Po złożeniu broni weterani dostali się do obozów jenieckich, w których tęsknie wyglądali końca wojny. Nie każdemu było dane go doczekać. Jesienią 1918 roku epidemia grypy „hiszpanki” pozbawiła życia 55 jeńców w obozie w Aus, a między nimi Heinricha Krawietza pochodzącego z Gierałtowic.

Inaczej było w niemieckiej Afryce Wschodniej. Tamtejsza Schutztruppe, dowodzona przez późniejszego generała Paula von Lettow-Vorbecka, stawiała desperacki, acz nader skuteczny opór aż do listopada 1918 roku. Trup padał gęsto – zarówno od kul, jak i chorób. Po rozpoczęciu drugiej alianckiej ofensywy w lipcu 1916 roku w Malangali zmarł kapral Georg Gorysch pochodzący z Rudy. Jakiś czas później, 18 września 1916 roku, zginął w Bigwa zmobilizowany z chwilą wybuchu wojny ślusarz Eduard Stanienda rodem z Królewskiej Huty.

Na afrykańskich rubieżach straciło życie również kilku Górnoślązaków z kajzerowskiej floty – marynarzy zatopionego u wybrzeży Afryki krążownika „Königsberg”. W roku 1916 los taki spotkał starszego marynarza Maxa Czecha pochodzącego z Bytomia i matę Fritza Simenauera z Katowic. Pierwszy zmarł na febrę, drugi zginął pod Lupembe.

Na koniec warto wspomnieć o jeszcze jednym, wyjątkowym przypadku. Otóż wśród kapitulujących w listopadzie 1918 roku żołnierzy von Lettow-Vorbecka znalazł się osobnik o wybitnie swoim nazwisku Musiol, wyszczególniony w składzie 4. kompanii strzeleckiej. Jego historia to bez wątpienia materiał na powieść przygodową. Tuż przed wybuchem wojny mierniczy Stanislaus Friedrich Musiol był członkiem załogi niemieckiego statku hydrograficznego SMS „Planet”. W październiku 1914 roku „Planet”, kotwiczący u wybrzeży wyspy Yap w archipelagu Karolinów Zachodnich na Pacyfiku, zajęty został przez Japończyków, gorliwie likwidujących niemiecki stan posiadania w Azji. Kolejny raz spotykamy Musiola w kwietniu 1915 roku w portugalskim Mozambiku, skąd na pokładzie parowca „Ziethen” – po kilkumiesięcznej ucieczce przed jednostkami brytyjskiej Royal Navy – przybył do Niemieckiej Afryki Wschodniej. Możemy sobie wyobrazić transoceaniczną podróż, jaką odbył mierniczy Musiol do wybrzeży Afryki po – najpewniej – ucieczce z okupowanej przez Japończyków wyspy Yap. To w linii prostej przynajmniej dziewięć tysięcy kilometrów...

Prócz zasygnalizowanych w dużym skrócie przypadków, albo tych najbardziej typowych, albo – jak w przypadku Musiola – najbardziej godnych uwagi, afrykańskimi drogami i bezdrożami wędrowało nieporównanie więcej mieszkańców górnośląskiej krainy. Prześledzenie ich nieraz skomplikowanych losów to wyzwanie czekające na dociekliwego dziejopisarza. ■

Grzegorz Bębniak – doktor, historyk Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach, zajmuje się dziejami Górnego Śląska XX wieku

MIĘDZY PIASTAMI A HABSBUURGAMI



To były strzały, które wybudowały wielką granicę, przecięły nasze miasto w pół i zlikwidowały tramwaje. Z drugiej zaś strony sprawiły, że Cieszyn stał się bardziej polski i bardziej czeski. Niezależnie od punktu widzenia – to był ważny dzień i ważne strzały.

Jeden z wpisów, które z okazji setnej rocznicy zamachu w Sarajewie pojawiły się w mediach społecznościowych na stronach Cieszyna i Śląska Cieszyńskiego zawiera w sobie esencję tego, co można dzisiaj powiedzieć o konsekwencjach upadku starego ładu z perspektywy

położonego na kresach Cesarstwa Austro-Węgierskiego miasta. Pojawia się podział miasta, znika symbol w pamięci zbiorowej regionu niezwykle mocny – cieszyński tramwaj. Rodzi się Cieszyn podzielony, Cieszyn rozdarty, Cieszyn tracący na znaczeniu.



for. Robert Garstka

Do najdawniejszej tradycji cieszyńskiej nawiązuje Studnia Trzech Braci

Rodzi się także kilka dyskursów pamięci zbiorowej, wzajemnie się zwalczających. Co przetrwało próbę tych stu lat, a co na stałe odeszło do meandrów niepamięci?

I Kamienie milowe: Piastowie i Habsburgowie I

W historii Śląska Cieszyńskiego kilka dat i ram wydaje się kluczowych dla zrozumienia tarć między dyskursami pamięci. Księstwo Cieszyńskie, powstałe w 1290 roku pod rządami miejscowej linii Piastów, utrzymało się do 1653 roku, czyli do śmierci Elżbiety Lukrecji, chociaż od XIV wieku znajdowało się pod zwierzchnictwem Czechów. Korona św. Wacława w 1526 roku przechodzi pod panowanie Habsburgów. Gdy zatem umiera Elżbieta Lukrecja, osobistą władzę nad Księstwem Cieszyńskim obejmują Habsburgowie. Księstwo Cieszyńskie istnieje do 1918 roku, czyli do upadku cesarstwa. Jak łatwo policzyć, istniało 628 lat, przechodząc z panowania piastowskiego w lenno czeskie aż po rządy Habsburgów, którzy bezpośrednio zarządzili nim 265 lat.

Równie ważne są wojny śląskie w XVIII wieku, po których prawie cały Śląsk przechodzi pod panowanie Hohenzollernów, a Śląsk Cieszyński pozostaje habsburski. To podstawowe fakty, tworzące ramy, które po 1914 roku musiały zostać poukładane zupełnie inaczej.

Habsburgowie zmieniają Cieszyn. Chociaż nad miastem góruje Wzgórze Zamkowe, które przypomina o Piastach, powstaje Komora Cieszyńska (w 1654 roku), która zarządza dobrami Habsburgów, przynosząc im niemałe dochody.

Pod rządami dynastii habsbursko-lotaryńskiej na Śląsku Cieszyńskim pojawia się przemysł – w 1772 roku w Ustroniu powstaje pierwszy wielki piec hutniczy, co zmienia gospodarkę tej małej, górskiej miejscowości, z kolei w 1836 roku pojawia się wielka huta żelaza w Trzyńcu. Habsburgowie i Komora Cieszyńska przebudowują stolicę Księstwa.

W 1838 roku arcyksiążę Karol Ludwik Habsburg decyduje się na krok z dzisiejszej perspektywy symboliczny – zleca wiedeńskiemu architektowi Józefowi Kornhausowi przebudowę swojej rezydencji na Wzgórzu Zamkowym. Znikają ruiny piastowskiego zamku, a na ich miejscu pojawia się klasycystyczny Pałac Myśliwski. Jedyne pozostałości po Piastach to romańska Rotunda i Wieża Piastowska, stojące pośrodku romantycznego parku. Po pożarze ratusza ten sam architekt przebudowuje kluczowy dla architektury miasta budynek, a także projektuje Arcyksiążęcy Browar Zamkowy (powstały w 1846 roku). W tkance miejskiej pojawia się coraz więcej brył architektonicznych nawiązujących do najlepszych wzorów klasycyzmu wiedeńskiego, w tym neobarokowy teatr i secesyjny nowy budynek legendarnego hotelu „Pod Brunatnym Jeleniem”.



Tramwaj cieszyński na fotografii Heinricha Jandaureka (z ok. 1914 roku)

Dwie ostatnie dekady poprzedzające Wielką Wojnę to zatem, jak wskazuje Irena Frencz w tekście *Moja przygoda z Cieszyńską*, gwałtowny rozkwit Cieszyzna, być może najbujniejszy w całej jego historii.

Wówczas to na Olzie pojawił się drugi most oraz tzw. kładka Kametza, powstały Łaźnie Cesarskie pod zamkiem, wybudowano dom starców, sierociniec, kilka olbrzymich szkolnych gmachów, rzeźnię miejską, cmentarz komunalny, nowy wodociąg doprowadzał wodę z ujęcia na stokach Jaworowego, latarnie gazowe zastępowano elektrycznymi, pojawiła się linia tramwajowa, urządzono Salę Ratuszową, fantastycznie rozwijał się szpital gminy ewangelickiej, elżbietanki przeniosły się do nowej siedziby, na miejscu ich dawnego klasztoru wyrósł gmach poczty, hotel „Pod Brunatnym Jeleniem” otrzymał swą najokazalszą szatę, a Towarzystwo Budowy Teatru ukoronowało swe działania wzniesieniem Teatru Niemieckiego. Ruch budowlany przeżywał wyjątkową koniunkturę, by wspomnieć tylko budowę kilkunastu kamienic czynszowych.

Nietrudno zauważyć, że za większością inwestycji stał kapitał niemiecki. Jeśli nie Komora Cieszyńska, to byli to bogaci niemieccy mieszkańcy, w dużej mierze pełnoprawni mieszkańcy miasta. Przez wybuch wojny i jej następstwa lata bujnego rozwoju zostały przerwane, tak jak nową granicą przerwana została linia kursującego zaledwie kilka lat tramwaju.

Zatem Cieszyńskiemu początku XX wieku może pobudzać wyobraźnię. Współistnienie obok siebie trzech grup narodowościowych: Niemców, Polaków i Żydów, mimo pewnych konfliktów, wydawało się harmonijne, cesarz wzbudzał entuzjazm, powstawały kolejne inwestycje. Nieprzypadkowo Jaroslav Novhava właśnie w tym czasie osadził tekst swojej słynnej piosenki *Těšínská (Cieszyńska)*, ze złowieszcą zapowiedzią trudnego wieku XX:

*Wiatr wieczorami niośby po mieście
pieśni grane w dawnych wiekach.
Byłoby lato tysiąc dziewięćset dziesięć,
za domem by szumiła rzeka.
Widzę tam dzisiaj nas – idących brzegiem,
mnie, żonę, dzieci pod cieszyńskim niebem.
Może i dobrze, że człowiek nie wie,
co go czeka.*

(tłum. Antoni Muracki)

I Dobry cesarz – tworzenie mitu I

Żaden chyba władca państwa zaborczego nie cieszy się w Polsce taką popularnością, jak Franciszek Józef I. Jak wskazuje Renata Hołda (w książce *Dobry władca. Studium antropologiczne*

o *Franciszku Józefie I*), legenda Franciszka Józefa nie poddaje się łatwo historycznym weryfikacjom. Jako że cesarz kilkakrotnie odwiedził Cieszyn i okoliczne miejscowości, dało to podstawy do tworzenia legendy o Franciszku Józefie zakochanym w Śląsku Cieszyńskim.

W lokalnej historiografii często przywołuje się jego wizyty, a jedną z nich, w Ustroniu, tak relacjonowała „Gwiazdka Cieszyńska”: *Rozlegający się huk wystrzałów z moździerzy po wzgórzach prześlicznej okolicy Ustronia w dniu 20 października po godzinie siódmej z rana zwiastował radość, iż cesarz przybył na granice Ustronia. Za kilka minut stanął powóz cesarski przy bramie tryumfalnej wystawionej przez gminę ustrońską.*

Takie wizyty, obserwowane przez lokalną społeczność, były oczywiście legitymizacją władzy cesarskiej na tym terenie, a powszechny w nich udział mieszkańców i – jak się wydaje – szczerzy entuzjazm, dowodzi, że ludność legitymizację przyjmowała.

W tkance miejskiej Cieszyzna nietrudno dzisiaj znaleźć miejsca bezpośrednio związane z „dobrym cesarzem”. Most Wolności, jedno z najważniejszych miejsc Cieszyzna, to w istocie Most Jubileuszowy, otwarty w 1903 roku z okazji 55 lat panowania Franciszka Józefa. Z okazji innego jubileuszu Cieszyńska Kasa Oszczędnościowa ufundowała sierociniec nazwany imieniem cesarza i jego żony Elżbiety. W nowej rzeczywistości politycznej, która nadeszła po 1918 roku, nazwy zostały zmienione, a z czasem pamięć o okolicznościach ich powstania odeszła na dalszy plan.

W 1910 roku, z okazji 80. urodzin cesarza, odsłonięto w Cieszyńskim pomnik Franciszka Józefa. Losy tego pomnika pokazują ścierające się na Śląsku Cieszyńskim różne narracje pamięci – polską i austriacką, a może lepiej powiedzieć – cesarską. Pomnik ten – obelisk z marmurowym popiersiem cesarza – w oryginalnej formie przetrwał zaledwie kilka lat. Po zakończeniu I wojny światowej uszkodzone popiersie cesarza usunięto, a w 1931 roku na miejscu starego władcy stanął pomnik pierwszego księcia cieszyńskiego Mieszka. Miejsce Habsburga zajęło ponownie Piast.

I Tarcia pamięci I

Kiedy w 1918 roku odradzała się Polska, obwołano, że skończyła się trwająca 123 lata niewola. Na Śląsku Cieszyńskim sytuacja wyglądała zgoła inaczej, zaborów tutaj nie było, bo przecież Księstwo Cieszyńskie w momencie rozbiorów dawno należało do państwa Habsburgów. Może dlatego wykształciły się dwa dyskursy historyczne:

pierwszy mówi o polskości, drugi chętnie wraca do panowania Habsburgów.

Wizerunek Franciszka Józefa wykorzystywany jest nad Olzą niezwykle często. Pojawia się na gadżetach historycznych, w folderach promocyjnych, licznych publikacjach, a hitem – jeśli chodzi o gastronomię – są cesarskie naleśniki z czarnego bzu. Jego wizerunek można spotkać na guzikach będących ważnym elementem stroju górali beskidzkich, co zastanawia o tyle, że rządy Franciszka Józefa związane są ze zmianą gospodarki w terenach górskich i upadkiem kultury pasterskiej, a co za tym idzie – z pojawieniem się na tych terenach biedy. Habsburgowie stają się także poważnym elementem promocji turystycznej. Jak mówi znany w Cieszynie historyk Mariusz Makowski: „Cieszyn troszkę wykradł Franciszka Józefa z Krakowa”.

Ale obserwujemy też gwałtowne wypieranie dziedzictwa kręgu kultury niemieckiej z pamięci zbiorowej Śląska Cieszyńskiego. Po 1918 roku stopniowo znikają napisy niemieckie z budynków, a dzisiaj trudno już znaleźć niemieckojęzyczne inskrypcje na grobach, które po II wojnie światowej były niszczone. Do tej przeszłości wraca się dzisiaj coraz częściej, a to z kolei pobudza dyskusję na temat polskiej historii Śląska Cieszyńskiego.

Przy okazji jednej z wystaw zorganizowanych przez Książnicę Cieszyńską Krzysztof Szelong, szef tej instytucji, powiedział dziennikarzom: *Chcemy za jej pośrednictwem pokazać dawny habsburski pijar; jego metody i instrumenty, a także całkiem współczesną politykę historyczną, która powoduje, że w Cieszynie historia stała się polem często bezrefleksyjnej zabawy, zdominowanej przez komercję i kicz, którego głównym tematem, najczęściej eksploatowanym, są właśnie stare austriackie czasy. Bardzo byśmy się cieszyli, gdyby wystawa stała się inspiracją do refleksji nad tym, czy zepchnięcie polskich wątków historii Śląska Cieszyńskiego na trzeci plan, a wysunięcie na plan pierwszy starej Austrii i jej uroków jest rzeczywiście tym, czego najbardziej potrzebujemy.*

To przejaw konfliktu dwóch narracji historycznych, które – mówiąc w pewnym uproszczeniu – funkcjonują w Cieszynie niemal od stu lat. Za jedną z najbardziej symbolicznych można uznać dyskusję na temat portretów cesarzy austriackich w sali sesyjnej ratusza w Cieszynie. Kiedy salę w 2006 roku odrestaurowano, z okazji setnej rocznicy jej otwarcia przez cesarza Franciszka Józefa, na ścianach powieszono zabytkowy herb miasta i repliki obrazów – portrety sygnatariuszy Pokoju Cieszyńskiego, cesarzy i szlachciców. Pojawił się też orzeł biały w koronie.

Jednak ówczesny burmistrz nakazał zdjęcie obrazów cesarzy: *Nie wyobrażam sobie, żebym miał składać ślubowanie pod okiem Marii Teresy, która bra-*

ła udział w rozbiórze Polski. W sali, gdzie podejmowane są uchwały samorządu terytorialnego, nie powinny wisieć portrety obcych władców – powiedział wtedy.

Rozgorzała gwałtowna dyskusja, a miasto podzieliło się na dwa obozy. Nikt nie dyskutował o portrecie Marii Teresy, to wizerunek Franciszka Józefa był przez część mieszkańców Cieszyna żarliwie broniony. Ostatecznie obrazy zniknęły, podzieliły los wielu nośników pamięci historycznej, jak choćby niemieckojęzycznej tablicy wiszącej niegdyś na budynku teatru. Niemniej wizerunki Franciszka Józefa I w Cieszynie spotkać można z łatwością. Napotkać można także negatywne opinie dotyczące promowania pamięci Habsburgów na Śląsku Cieszyńskim.

Jednak samorządy coraz częściej wracają do upamiętniania wizyt Franciszka Józefa w miejscowościach Śląska Cieszyńskiego. W Skoczowie, wykorzystując środki europejskie, zrekonstruowano ostatnio altanę, w której, jak czytamy w materiałach promocyjnych samorządu: *Franciszek Józef dokładnie 128 lat temu podziwiał widok na Beskidy.*

Mimo konfliktów i tarć dyskursów pamięci, na Śląsku Cieszyńskim postać Franciszka Józefa zbliża się w niektórych kręgach wręcz do ikoniczności. Dlaczego? Być może dlatego, że Franciszek Józef przypomina o Cieszynie sprzed 1914 roku – bez granicy, Cieszynie z tramwajem, Cieszynie wielokulturowym. O micie Cieszyna – Małego Wiednia, niezwykle mocnym i atrakcyjnym dla dzisiejszych mieszkańców Śląska Cieszyńskiego. ■

Andrzej Drobik – historyk, dziennikarz i publicysta, autor książki *Rozmowy o Śląsku Cieszyńskim* na temat historii i teraźniejszości Śląska Cieszyńskiego



Przewodniki cieszyńskie znowu nawiązują do Habsburgów

Górnoląscy magnaci

Szpalery gapiów wiwatujących na cześć Najjaśniejszego Pana, karoce, a samochody tak duże, że damy nie mają problemu z ogromnymi kapeluszami, panowie w galowych mundurach, obwieszeni orderami – cały ten blachtr przyciągający kamery, nie jest już udziałem Górnego Śląska.

Szlachta górnośląska uciekła i została wysiedlona po 1945 roku. Najczęściej mieszka w Niemczech, a część rozprzeczła się po najodleglejszych zakątkach świata. Na Górnym Śląsku żyje na forach internetowych. Wiadomo, komu to przeszkadzało.

Jeszcze sto lat temu różnych książąt, hrabiów i pomniejszych herbowych, często nowobogackich, nie brakowało i tutaj, a w mniemaniu wielu komentatorów był to raj dla magnatów i junkrów pruskich. Sam cesarz Wilhelm II zaglądał na Górny Śląsk prawie co roku – czy to do księcia raciborskiego Viktora i jego Rud, czy do księcia pszczyńskiego Hansa Heinricha Hochberga von Pless i jego pięknej żony Daisy, by potem setkami uśmiercać bażanty i inną zwierzynę. A drogi przejazdu cesarza przy takiej okazji odnawiano, jak za zupełnie innych czasów...

Przecież elektryzujących przykładów z życia górnośląskich wyższych sfer, godnych co najmniej seriali brazylijskich, nie brakowało, choćby najślawniejszej historii kilkuletniej sierotki Joanny Gryczik, której swój ogromny majątek, ku rozpaczy siostrzeńców, zapisał w 1848 roku Karol Godula, król cynku i przykład kapitalistycznej kariery w amerykańskim stylu. A Joanna Gryczik, po szybkiej nobilitacji przez króla pruskiego, jako Joanna von Schomburg-Godulla wyszła za mąż za Hansa Ulyka Schaffgotscha, członka jednej z najstarszych rodzin śląskich, skoligaconej jeszcze z Piastami, i stworzyła górnośląską linię tej rodziny. Potem twardą ręką rządziła firmą, przyczyniając się do jej wielkiego rozwoju i pomnożenia bogactwa swego dobroczyńcy. W takiej historii i dla zwolenników gender coś by się znalazło.

Za księdzem Józefem Knosallą, jednym z najpracowitszych historyków górnośląskich XX wieku, powtórzmy pierwsze zdanie z jego opracowania o starych rodach szlacheckich powiatu by-

tomskiego: w dawnych czasach miały one nieporównanie większe znaczenie. System stanowy, którego warstwę górną tworzyła szlachta, kształtował się w pierwszych stuleciach drugiego tysiąclecia. Na rozdrobnionym politycznie Śląsku funkcjonował przynajmniej pół tysiąclecia, zapewniając szlachcie w kilkunastu państewkach śląskich szczególną pozycję, a arystokratom pozycję bez mała równą Piastom czy Podiebradom. Jego ostatnie przepisy zniesiono w 1872 roku.

Na Górnym Śląsku szlachta potrafiła w XIX wieku wykorzystać władzę polityczną. Po ustawach uwłaszczeniowych z czasów napoleońskich, przekazywanie własności gładnym ziemi chłopom przeciągnęła do połowy wieku. Dlatego jej majątki były zdecydowanie większe niż gdzie indziej w Prusach. Był to kapitał wyjściowy do nowego rozdziału w historii tej grupy.

Już ta interesowność mogła wystarczyć środowiskom postępowym do okrzyknięcia tej warstwy mianem pasożytniczej i próżniaczej, żyjącej na koszt ludu. Niemieckie elity liberalne, miejskie i mieszczańskie, już w pierwszej połowie XIX wieku widziały w górnośląskiej szlachcie przyczynę zapóźnienia cywilizacyjnego regionu. Do tego doszły kolejne zarzuty, w tym najpoważniejszy, że to grupa anarodowa i przeciwna zjednoczeniu, podzielany przez państwowe elity pruskie, które po wojnę z Francją w 1870 roku patrzyły podejrzliwie na zazwyczaj katolickie elity górnośląskie, wskazując na ich związki z Habsburgami i koligacje ze szlachtą austrowęgierską.

Pierwszą część argumentacji przejęła później lewica niemiecka, która jeszcze przed Leninem podkreślała, że Łaba dzieliła Niemcy na postępowe i konserwatywne, że w Prusach, a szczególnie na Śląsku, dochodziło do największego wyzysku ludu pracującego.

Również ruch polski, od początku mocno ludowy, podobnie jak w Galicji antyszlachecki, oceniał pryncypialnie negatywnie górnośląską szlachtę. W środowisku „Katolika” podkreślano, że co prawda genetycznie jest ona polska i słowiańska, ale już w średniowieczu Piastowie żenili się z niemieckimi księżniczkami i ściągali rycerzy niemieckich. Przez to polski stał się tylko lud, skoro jego potencjalni przywódcy wynarodowili się i wykluczyli ze wspólnoty narodowej.

Te dwie wiodące narracje obsadziły szlachtę górnośląską i szczególnie magnatów w roli czarnych charakterów dziejów regionu. Zatem zmieszczenie ich ze sceny historycznej przez wojny światowe należy uznać za pozytywne zrzucenie losu. Czy aby na pewno?

Wiele z rodzin, które rządziły na Górnym Śląsku, pojawiło się tutaj stosunkowo późno i nie zawsze z ziem niemieckich. Przykładem takiej rodziny byli Donnersmacksowie, którzy wywodziли się ze Spiszu, a na Śląsku pojawili się w XVII wieku. Wcześniej Donnersmarckowie byli bankierami cesarzy, w czym nie przeszkadzało im protestantyzm, z którego starsza linia (bytomsko-siemianowicka) zrezygnowała za tytuł książęcy na początku XVIII wieku. Młodsza linia, świerklańsko-tarnogórska, dostrzegała do przyjscia protestanckich Prus, ale tytuł książęcy Guido Donnersmarck otrzymał dopiero na początku XX wieku za zasługi gospodarcze, a nie za wyznawaną wiarę.

Znaczącą rodziną, o krótkim i mało niemieckim stażu, byli Ballestremowie, władający na dobrach rudzko-biskupicko-pławniowickich. To rodzina północnowłoskich kondotierów, którzy dopiero w czasie osiemnastowiecznych wojen śląskich trafili na Górny Śląsk. Akurat katolicyzm nie przeszkadzał im w służbie u areligijnego Fryderyka Wielkiego, króla Prus, choć w kolejnym stuleciu stali już na czele obozu katolickiego w Niemczech (Franz Ballestrem został nawet marszałkiem Reichstagu w Berlinie).

Obie rodziny zadają też kłam tezie o próżniaczej naturze grupy, a nawet wręcz pokazują doskonałe jej dostosowanie się do przemian gospodarczych XIX wieku. W cieniu sukcesu Karola Goduli stał Karol Ludwik Ballestrem, który stworzył potęgę finansową rodziny.

Prawdziwym fenomenem przedsiębiorczości był jednak Guido Henckel von Donnersmarck. W 1848 roku obejmował obciążony hipoteką majątek rodzinny. Po zaciągnięciu w Paryżu pożyczek zaczął inwestować w przemysł ciężki, tworząc w trakcie długiego i pracowitego życia kilkanaście różnych firm na terenie całego państwa, przede wszystkim na Górnym Śląsku, rezerwując zazwyczaj dla siebie stanowisko przewodniczącego rady nadzorczej.

Gdy umierał, już w XX wieku, tylko Alfred Krupp, król stali, płacił w Niemczech wyższe podatki. Do tego obie linie Donnersmarcków słynęły ze stadnin rasowych koni, a ich gospodarstwa rolne pierwsze wprowadzały nowoczesne maszyny, nawozy sztuczne i inne nowinki swego czasu.

Co jak co, ale magnatom górnośląskim gnuśność trudno zarzucić. Nie wydaje się też zasadne oskarżanie ich o nastawienie na maksymalizację zysku. Dzisiaj znamy najczęściej Giszowiec i Nikiszowiec, twory firmy Giesche, lecz przecież każda z rodzin arystokratycznych budowała patronackie osiedla robotnicze, komfortowe na owe czasy, z których wzory brało państwo niemieckie, tak dbałe od czasów kanclerza Bismarcka o sferę społeczną. Ballestremowie założyli wokół Rudy kilka takich osiedli, każde wyposażając w przedszkole prowadzone przez siostry zakonne. Z kolei Donnersmarckowie dbali o szkoły zawodowe, a Joanna Schaffgotsch fundowała szkoły dla młodych matek i wspierała je finansowo.

Niemal wszystkie kościoły przełomu wieków, licznie stawiane dla rosnącej populacji górnośląskiej, powstawały przy wsparciu miejscowych arystokratów (bez względu na wyznanie). Wiele można powiedzieć o sferze charytatywnej, z symboliczną rolą Matki Ewy z nowobogackiej rodziny Tiele-Wincklerów i jej diakonatu żeńskiego w Miechowicach, gdzie zajmowano się bezdomnymi.

Krytycy kapitalizmu wskazywali, że takie działania społeczne magnatów górnośląskich prowadziły do zjawiska wtórnego patriaralizmu, że górnicy, ich rodziny i wspólnoty lokalne były zależne od woli przemysłowego magnata. Niewątpliwie tak bywało. Trudno jednak zarzucać magnatom wyalienowanie ze wspólnot lokalnych. Bywało częściej wręcz przeciwnie. Dlatego gdy w 1910 roku chowano do grobu Joannę Schaffgotsch, trumnę jej nieśli górnicy, a asystowali hutnicy. Na pogrzebie w Kopicach pojawiły się nieprzebrane tłumy.

Zawieruchy wojenne zmiotły i arystokratów, i szlachtę. Historia skazała ich na zapomnienie. Przyszło państwo ze swoimi bezdusznymi biurokratami i równaniem. Niestety w dół...

Dopiero lata po przełomie 1989 roku przywróciły ich pamięci górnośląskiej, stawiając przy okazji zupełnie współczesne i potrzebne pytania o miejsce elit regionalnych, ich role społeczne i zobowiązania wobec wspólnoty. ■

Bernard Linek – doktor, historyk Instytutu Śląskiego w Opolu, sekretarz redakcji „Studiów Śląskich” w Opolu, zajmuje się historią Górnego Śląska XIX i XX wieku

Podczas „angielskiej pielgrzymki” z 1992 roku, opisaney w *Pierścieniach Satuna*, pisarz niemiecki W.G. Sebald peregrynował po podupadłych rezydencjach angielskiej szlachty w hrabstwie Suffolk w Anglii Wschodniej. Obserwował „zanikanie w mroku” świata arystokracji i gentry, który jeszcze pół wieku wcześniej wydawał się doskonale stabilny. To, co w Wielkiej Brytanii było powolnym rozkładem rozpisany na dekady, na Górnym Śląsku miało charakter gwałtowny i jednoznaczowy.

W swym *Roku 1913* Florian Ilies przypomniał wydaną w przededniu wybuchu pierwszej wojny światowej książkę *Szlacheccy milionerzy w północnych Niemczech*. Wymieniono w niej 927 szlachciców z Pomorza, Śląska, Prus Wschodnich, Saksonii i Brandenburgii dysponujących majątkiem powyżej miliona reichsmarek.

Na czele listy milionerów stał pan na Świerklańcu, Guido książę Henckel von Donnersmarck, z majątkiem, który w pierwszym roku wojny szacowano na 290 milionów marek i rocznym dochodem w wysokości 19 milionów marek. W pierwszej dziesiątce lokowali się też książę Ujazdu Christian Kraft hr. von Hohenlohe-Oehringen ze Sławięcic, książę pszczyński Hans Heinrich XV i Hans Ulrich hr. von Schaffgotsch z Kopic. Tuż za nimi plasowali się Ballestremowie. Zaś obok potężnych magnatów spotykamy liczne drobne rody szlacheckie i mieszczańskie, dysponujących pojunkierskimi majątkami, dominiami, które nabyli bądź w których posiadanie weszli przez mariaże.

Do przełomu lat 20. i 30. XX wieku majątki ziemskie, nazywane obszarami dworskimi (Gutsbezirk), tworzyły odrębne jednostki administracyjne, trzeci typ lokalnych struktur terytorialnych obok miast i gmin wiejskich. Władzę zwierzchnią sprawowali w nich właściciele ziemscy, zatwierdzani w tym charakterze przez landrata. W Prusach w przededniu likwidacji obszarów dworskich było ich ok. 12 tysięcy (wobec 29 tys. gmin wiejskich i ok. tysiąca miast). Reforma ustroju terytorialnego Niemiec z grudnia 1927 roku zapoczątkowała koniec tej specyficznej jednostki. Jednak dobra szlacheckie istniały jeszcze kilkanaście lat, a zniesiono je z końcem niemieckiego panowania na Górnym Śląsku w 1945 roku. Wraz z nim skończyła się definitywnie swoista subkultura życia codziennego w pałacach i dworach.

KRAJ OBRAZY PERYFERII

Dawny Górny Śląsk był także ziemią szlachty i arystokracji. Jego godzina zero wybiła w styczniu 1945 roku: niemal z dnia na dzień przestał istnieć. Z nim rozpadł się pewien typ krajobrazu kulturowego, równie istotny dla oblicza regionu, co przemysłowe uniwersum hut, kopalń i kolonii robotniczych.

Dla magnatów i bogatszej szlachty był pałac, czyli Schloss. Dla drobniejszych właścicieli ziemskich – dworek, czyli Herrenhaus, „pański dom”. Każde z gniazd szlacheckich miało swój indywidualny kształt, piętno odcisnięte przez kooperację zleceńodawcy i architekta. Razem wzięte stanowiły przegląd stylów architektonicznych i gustów epoki, wysepki ekscentryczności i oryginalności wśród monotonii drobnego budownictwa wiejskiego.

Życie w tych rezydencjach naznaczone było ostentacyjną konsumpcją, paradygmatyczną cechą opisaną przez Thorsteina Veblena „klasy próżniaczej”. Schloss i Herrenhaus stanowiły zawsze najbardziej okazały budynek wioski, wyposażony w udogodnienia, jakich nie znali „zwykli” mieszkańcy, jak na przykład elektryfikacja. Gdy na początku XX wieku po raz pierwszy zapłonęły żarówki w pałacu Ballestremów w Pławniowicach, drobnomieszczański obserwator z Westfalii był wstrząśnięty: *Trzysta lamp! Bajkowy pałac na pustyni i piachu Górnego Śląska!*

Często rezydencje szlachty wznosili wybitni (i drodzy) architekci. Piękny pałac w Starych Reptach (obecnie Repty Śląskie) zbudował dla Guido Henckla von Donnersmarcka w latach 90. XIX wieku Gabriel Seidl, w tym samym czasie projektujący Bawarskie Muzeum Narodowe w Monachium.

Majątek ziemski był firmą: rolniczą, hodowlaną, z własną produkcją w niewielkich zakładach, jak gorzelnia, młczarnia, piaskownia, wapiennik czy cegielnia. Właściciel przedsiębiorstwa oddawał się zatem bynajmniej nie próżniaczemu gospodarczemu menedżerowaniu: samodzielnie, jeśli majątek był niewielki, a za pośrednictwem urzędników, jeśli folwarków i dóbr rycerskich było więcej lub były duże.

Zazwyczaj władający majątkami junkrzy, magnaci czy mieszczańscy (czasem żydowscy) właściciele poddawali się feudalnej partycypacji w mikrokosmosie wioski. Patronowali wiejskim szkołom i kościołom, współfinansowali ich budowę, utrzymanie, remonty. Zamieszkujących obszar dworski pracowników i ich rodziny traktowali trochę jak poddanych. Zasiadali podczas mszy św. wraz z „ludem”, co prawda zwykle w wydzielonych ławkach kolatorskich. Byli tyleż częścią społeczności wiejskiej, co ciałem w niej obcym. To przeplatanie się kastowego wyobcowania i fraternizacji powraca

w niektórych wspomnieniach – jak w będących świetnym źródłem do poznania codzienności junkrów memuarach księdza Hubertusa Krafta hr. von Strachwitza, których fragment zamieszczamy obok.

Postfeudalne kontredanse chłopstwa i szlachty składały się z gestów rozciągających się od wrogości, poprzez rywalizację, po współpracę. Junkier stał na silniejszej pozycji. Ale słynna fryderycjańska figura chłopca wykrzykującego do króla: *Są jeszcze sądy w Berlinie!* znajduje potwierdzenie w archiwaliach. Ciągące się latami procesy sądowe między szlachcicem a gminą wiejską, chociażby o finansowanie szkoły, nie zawsze kończyły się wygraną junkra.



Dawny spichlerz na prowincji (Ziemięcice)

Jeśli krajobraz przemysłowy – i jego kulturowe konotacje – uznać (jak to się zwykle czyni) za centrum górnośląskiego świata symbolicznego, to realia majątków ziemskich, wiejskich rezydencji i folwarków stanowią tegoż świata peryferie. Są to jednak peryferie o wielkiej skali, którą oddają przywołane dane statystyczne: 12 tys. obszarów dworskich, a w składzie każdego z nich znajdowało się zwykle kilka odrębnych folwarków. Jak to często z peryferiami bywa – wydają się światem skrojonym na ludzką miarę, bardziej nadającym się do zamieszkania i szczęśliwego *otium et negotium* niż rozdrągana industriada.

Krajobraz spod znaku dóbr szlacheckich ma wyraziste kontury. Wszędzie sednem majątku była

fot. Jan Rémka

Fabryka Silesia 2/2014

rezydencja „pańska” albo przynajmniej budynek administracji folwarcznej. Wokół park lub ogród, komponowany wedle uznania i zasobności właściciela, zwykle z oryginalną i rzadką roślinnością. W parkach lub w ich pobliżu mała architektura: pawilony, „świątynie dumania”, sztuczne ruiny, antyczne figury, fontanny, czasem rodzinne „miejsca pamięci”, jak pomniki założycieli rodu, a nawet niewielkie nekropolie. Dalej merkantylne serce dominium, czyli kompleks budynków gospodarczych: stodoły, chlewy i spichlerze, masztalarnie, czasem gorzelnie i inne małe zakłady przetwórcze. Obok domy dla parobków i służby, niekiedy w formie małych osiedli. Alejki drzew, topól, lip, kasztanowców, z geometrycznym wyuczuciem proporcji wiodące do Herrenhausów czy folwarków. Wreszcie rozciągające się wokół tego kompleksu pola, łąki, pastwiska, przecinane ciekami wodnymi, czasem upstrzone stawami rybnymi czy piaskowniami.

Nawet kościół farny, służący całej wiosce, da się wpisać w porządek dworski: przy świątyniach zwykle powstawały krypty z rodzowymi grobowcami, albo też dziedziców grzebano w samym kościele, zazwyczaj w krypcie „pod ołtarzem”.

Jadąc przez wiejski Górny Śląsk, z dala od hut, kopalni, fabryk, w każdej wiosce powraca, jak nieśmiertelny szlagier, ten sam układ odniesienia: rezydencja, park, alejka, folwark i tak dalej. Międzywojenie było czasem znaczących przemian, także ekonomicznych. Drobne majątki podupadały, szły na „supastę”, lądowały w rękach kilku-kilkunastu „rekinów”, jak Donnersmarckowie. Ale trwał rytm krajobrazu, wypełniony życiem, z własną dynamiką i żywotnością.

Rok 1945 wysadził w powietrze całe to uniwersum. Ucieczka właścicieli, reforma rolna, parcelacja majątków i/lub tworzenie w ich miejsce PGR-ów były wielką społeczną rewolucją. Nowi władarze regionu, wraz z potępieniem wszystkiego co niemieckie, wydali też symboliczny wyrok na świat junkierski, potępiając go (nie bez racji) za wyzysk i germanizację. Taniec nad jego grobem odtańczył Wilhelm Szewczyk w *Skarbie Donnersmarcków* (1956).

Zniszczenia i szaber oznaczały ciosy, po których nie dało się powrócić do *status quo ante*. Zrujnowane pałace i dwory stały latami jako ruiny, rozkradane przez miejscową ludność i szabrowników zza rzeki. Rozpadały się folwarki i zabudowania gospodarcze, porastające samosiejką drzew i krzaków. Jesli tworzone państwowe gospodarstwa rolne, oznaczało to zwykle przedłużenie agonii. Bo chociaż prowadzono działalność gospodarczą, i to całkiem



Pałac Strachwitzów w Kamięńcu na przełomie stuleci

rozwinęta, rzadko dbano o substancję budowlaną, o parki, ogrody, aleje. Decyzje o wyburzeniach zapadały niekiedy wiele lat po zakończeniu wojny. Pałac w Reptach Śląskich wysadzono w powietrze dopiero w latach 60., decyzją Jerzego Ziętka.

Topos palimpsestu jest mocno wyświechtany, ale trudno go nie przywołać: na starym, wymazywanym krajobrazie zaczęto pisać nową opowieść. Nie sposób nie zauważyć, bez popadania w naiwną idealizację, że nowa opowieść opisywanemu krajobrazowi niczego dobrego nie przyniosła. Przetrwały resztki tego, co materialne, podczas gdy dawne życie „zaniknęło w mroku”, jak pisał przywołany na początku Sebald. Niemniej palimpsest ma to do siebie, że starą treść (w tym wypadku – stary krajobraz) da się odkryć i odczytać, a tym samym choć w drobnym stopniu przywrócić do życia. ■

Sebastian Rosenbaum – historyk Instytutu Pamięi Narodowej w Katowicach, tłumacz, zajmuje się historią Górnego Śląska XIX i XX wieku, ostatnio opublikował książkę *W obcym kraju*

Dzieciństwo junkra

Mój ojciec zdecydował o rezygnacji ze służby państwowej i przeniósł się z rodziną do Kamieńca. Dotąd kierowanie powiatem toszecko-gliwickým pozostawało niemal dziedzicznie w rękach rodziny Strachwitzów. Mój dziadek był ostatnim pruskim landratem, któremu wolno było rządzić powiatem ze swojego pałacu. Świadomie używam słowa »rządzić«; bowiem wtedy landraci, szczególnie na Śląsku, sprawowali swoją władzę niczym udzielnicy książęta. [...]

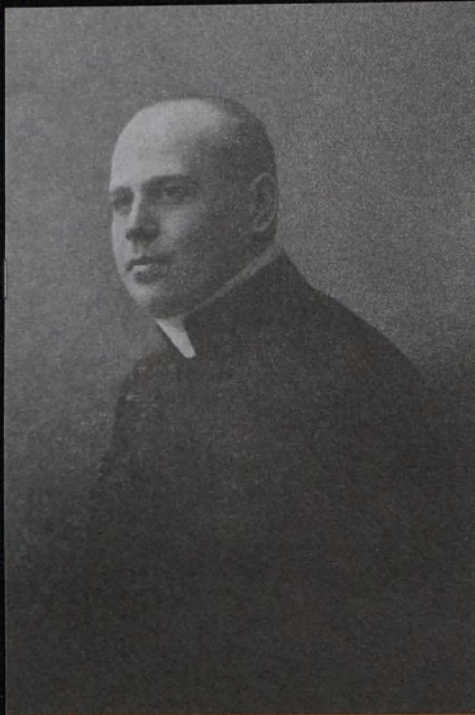
Po przeprowadzce do wielkiego feudalnego pałacu w Kamieńcu zmieniło się nie tylko moje dotychczasowe skromne życie, ale i skład rodziny. W Gliwicach miałem do czynienia z szóstką starszego rodzeństwa, trójką siostr i trójką braci, w Kamieńcu w zasadzie już tylko z dwójką. Dwie starsze siostry, Menni i Martha, były w tajemnicy po słowie z oficerami gliwickiego regimentu piechoty, a na koniec, dzięki pomocy mojej babki Hohenthal i mojej ciotki Aglaji, hrabiny Hoverden z Hünern [Psary, Dolny Śląsk], a wbrew woli ojca, wyszły za nich za mąż. W gwałtownym gniewie ojciec zerwał rodzinne więzy i zabronił córkom na przyszłość odwiedzin w ojcowskim domu. Dlatego nie przybywały już więcej do nas do Kamieńca. Obaj starsi bracia, Karl i Kurt, chodzili do odległych szkół i pojawiali się w gościnie tylko w ferie. Pozostali na miejscu tylko moja czternastoletnia siostra Wilma i brat Emil, znajdujący się pod ścisłym nadzorem guwernera. Ja zaś otrzymałem własny dwór w postaci opiekunki, która dobrze się mną zajęła.

W pałacu zastaliśmy moją ciotkę Sidonię, hrabinę Saurma-Jeltsch-Laskowitz, młodszą siostrę ojca, mającą przywilej dożywotniego mieszkania w Kamieńcu, pewnego kuzyna mego ojca, na życzenie spadkodawcy przypisanego do inwentarza pałacu – również do brego, co grubego wujka Maksa. Ciotka i wujek byli bardzo zaprzyjaźnieni i starali się zachować starą ścisłą katolicką tradycję rodzinną. Dziwowałem się na początku mnóstwu służby, która kłębiła się w pałacu. Przecież wedle ówczesnego obyczaju tak zwany personel miał do dyspozycji trzy różne stoły, stół komory, pierwszy i drugi stół gościnny, dla ponad 20 osób. Ale te wspaniałe zmiany przyjąłem jako zrozumiałe same przez się i wnet zaprzyjaźniłem się ze wszystkimi słu-

żącymi rozmaitych rang. Rozmach trybu życia sprawił w każdym razie, że innych członków rodziny widziałem na oczy niemal tylko przy okazji posiłków.

Moja matka zajęta była prowadzeniem tak wielkiego gospodarstwa domowego, ponadto psychicznie gnębiła ją rozdzielenie z córkami, wreszcie ugięła się pod mnóstwem towarzyskich zobowiązań. Ojciec wrósł w pozycję górnośląskiego magnata i prowadził dom otwarty. Wciąż napływały zaproszenia na mniejsze lub większe uroczystości, polowania, strzelania czy partie wista. Jadano na ogół o piątej wieczorem. Także w tych latach, czyli osiemdziesiątych [XIX wieku], obyczajem było, że damy zakładały wieczorem toaletę i szeleściły potem powłóczystym trenem. Lubiłem bardzo te dni spotkań towarzyskich, w które zjawiałem się po posiłku w śnieżnobiałym ubranku marynarskim, podawałem rączki na powitanie i pozwalałem podziwiać się jako późna, acz krzepka lato-rośl moich rodziców. Potem wolno mi było proponować cygara i papierosy, a przed dziesiątym rokiem życia dolewać likieru i stawiać przed gośćmi kieliszki.

Moje dziecięce lata o tyle były osobliwe, że wyra- stałem pośród dorosłych, zaś rzadko spotykałem się z rówieśnikami. Siostra Wilma, starsza ode mnie o dziesięć lat, czasem się ze mną bawiła, ale to wszystko. Brat Emil szybko przeniósł się do gimnazjum. Żyłem więc z dorosłymi, słuchałem ich wypowiedzi, łowięc czasem uchem takie słowo, którego wedle ówczesnych wyobrażeń nie powinienem był znać. Wychowanie nasze było bardzo surowe. Nie wolno nam było odezwać się jako pierwszym do ojca, nie wolno nam było mówić kiedykolwiek przed drogim papą lub drogą mamą. Wychowywano nas, stosując, gdy było trzeba, chłostę dla wyrobienia punktualności, umiłowania prawdy i bezwzględного posłuszeństwa. Nie istniało »dlaczego« i »jak«, nie istniały pertraktacje i zwlekane. Każdą minutę spóźnienia karano policzkiem, każde kłamstwo, nieposłuszeństwo – laniem aplikowanym przez ojca. Gdyby moja opiekunka nie zabezpieczyła mi tyłka i oprócz watowanych spodnek nie zakładała potrójnych majtek, pewno nie potrafiłbym tak spokojnie stać podczas bolesnej procedury, co zresztą skłaniało zwykle ojca do przerywania



Ksiądz Hubertus Kraft hrabia von Strachwitz (1879–1957) był potomkiem starego, junkierskiego rodu śląskiego. Jego ojciec Arthur i dziad Carl byli panami dóbr Kamieniec (obecnie pow. tarnogórski) i landratami toszecko-gliwickimi. Pierwsze sześć lat życia spędził w Gliwicach, od 1885 roku przez dekadę mieszkał w Kamieńcu, by po śmierci ojca wraz z matką przenieść się do Drezna. Przerwał karierę prawniczą, by przyjąć święcenia kapłańskie i pracować jako ksiądz katolicki, głównie w Bawarii. Napisał książkę wspomnieniową o swej rodzinie i gnieździe rodowym Kamieńcu (tytuł fragmentu od redakcji).

ciągow. Jakkolwiek bardzo ojca szanowałem, stosowana przezeń metoda jest fałszywa. Budzi w człowieku ducha przekory, miłość zmienia w strach, a nawet w sprawach erotycznych pozostawić może najgorsze spustoszenia. Ale u steru był jeszcze stary feudalny świat, z arystokratycznymi nawykami. Panowie władali na swoich zamkach i we własnych rodzinach w sposób tyrański. Aż po lata dziewięćdziesiąte trwały te nawyki feudalizmu, dopiero na przełomie stuleci pokonane zostały przez dorastające młode pokolenie.

Rodzice mieli nastawienie konserwatywne, utrzymywali wiele kontaktów z domami panującymi, szczególnie moja matka, która podczas pobytu w Poczdamie blisko przyjaźniła się z żoną ówczesnego następcy tronu Fryderyka. Całymi dniami omawiano wieści z dworu [cesarskiego]. Gdy tylko wzmiankowano starą parę cesarską, używano przy tym nabożnego i feudalnego określenia »Majestat«. Jeśli zmarł członek rodziny panującej, zarządzony przez dwór berliński okres żałoby w wielu pałacach, także w Kamieńcu, utrzymywany był co do dnia i godziny. Po śmierci władcy damy pojawiały się wieczorem przy stole w długich żałobnych trenach, z głowami przykrytymi krepą. W roku, w którym zmarli obydwaj cesarze [1888], damy niemal nieustannie nosiły żałobne stroje. W dniu urodzin cesarza organizowano galowy posiłek rodzinny. Wszyscy członkowie rodziny zakładali swoje order, mój ojciec wygłaszał na stojąco przemowę i wznosił toast na cześć Jego Cesarskiego Majestatu. Tego żądała tradycja. Dorastając, byłem świadkiem stopniowego obumierania tych starych feudalnych obyczajów. W dzieciństwie przy takich okazjach mój nastrój zapewne był podniosły, ale przecież nie w takim stopniu, by zanik tych obyczajów jakoś szczególnie mocno mną wstrząsnął. Gdy w melancholijnym blasku zmierzającego systemu feudalnej arystokracji wyrastałem powoli z moich dziecięcych ubrań, otwały się przede mną drogi, które na przełomie stuleci zaprowadziły mnie ku nieznanym przestrzeniom wolności.

Moje wychowanie, od chwili, gdy ku memu ubolewaniu oddzielono mnie od opieki, spoczęło w rękach guwernerów, którzy albo postępowali brutalnie i twardo, albo zbyt miękko i ulegli. W tych latach niejakiego duchowego osamotnienia i zdziwienia zajęta się mną szczególnie moja siostra Wilma. Dbała też, bym co dzień odmawiał modlitwy i dorastając, zachował zdrowe poglądy pomiędzy rozmaitymi wpływami religijnymi. A kwestie wyznaniowe przedstawiały mi się w latach chłopięcych – myślę tu o okresie między 7. a 14. rokiem życia – w najwyższym stopniu osobliwie. Niemal każdy mieszkaniec pałacu jawił mi się przyodziany w odmienną religijną szatę. Rzecz jasna, ojciec, jak typowy górnośląski właściciel ziemski, na zewnątrz stosował się do starej tradycji rodzinnej. Co niedziela udawał się do kościoła na wzgórze, siadał w ławce patronackiej, a w Boże Ciało postępował w procesji za Zbawicielem w Eucharystii, odziany w strój galowy. Ale ja wiedziałem, z treści niektórych jego marginalnych uwag, jak też z pewnych nieprzemyślanych wypowiedzi cioci Sidonii, że w głębi ducha nie był przekonany katolikiem, uważał, że religia istniała jedynie w celu wychowania ludu. Natomiast moja matka, głęboko pobożna, wygłaszająca z pamięci podniosłe pasáže z Pisma Świętego, uchodziła za protestantkę, chociaż i ona co niedziela udawała się do naszego miejscowego kościoła. W niej rozwiązywał się problem ponownego zjednoczenia podzielonych chrześcijan: była zarazem katoliczką i protestantką. To ona nauczyła moje siostry pierwszych modlitw katolickich i przerobiła z nimi katechizm. Być może ojciec z obojętnością przyjąłby teraz, w Kamieńcu, jej przejście na katolicyzm, ale nie zdecydowała się na to, z powodu oddzielenia od córek, które w swoim oderwaniu od domu rodzicielskiego przyjęły wyznanie protestanckich mężów. [...]

(Hubertus Kraft Graf Strachwitz, *Eines Priesters Weg durch die Zeitenwende. Erlebnisse aus 50 Jahren*, Dresden 1935, tłumaczenie: Sebastian Rosenbaum)

HENRYK WANIEK

Teofila biorą na wojnę



Dziadek autora, Wincent Waniek z Sośnicowic (w środku, oznaczony krzyżykiem) wśród marynarzy cesarskiej marynarki wojennej

Niewiele tego. Ani jednego porządnego źródła, liche dokumenty i żadnego żyjącego świadka. Tylko dwie opowieści, fotografia, strzęp gazety. Kilka domysłów. Z tego prawie niczego spróbuję wyciągnąć, ile się da. Przede wszystkim z pamięci.

Bo przecież pamiętam, co opowiadano mi o tych sprawach sprzed przeszło stu lat. Jak każdy składał się również z cudzych opowieści. Ale zacznę od głównej rzeczy, którą w tym przypadku jest miejsce. A raczej różne miejsca Śląska, jeszcze niepodzielonego, trwającego w swej wewnętrznej jedności. Gdzie się człowiek wtedy nie ruszył – wszędzie Śląsk. Nawet za austriacką granicą było go trochę, choć za ruską chyba już nie. Innych granic nie było.

Znam przecież imię i nazwisko. Teofil Słebioda. Miało być pewnie Ślebioda, ale tak to urzędnik czy wikary napisał i już pozostało. Przynajmniej do czasu, gdy na odwrocie fotografii, przedstawiającej junaków w marynarskich mundurach, ktoś – może nawet on sam – napisał: Schlebioda.

Wiem jeszcze, że urodził się w 1892 roku. Data dzienna i miesiąc nieznane, musi mi wystarczyć, że był rówieśnikiem mojego dziadka. Miejsce urodzenia – Sośnicowice. A właściwie Kieferstädtel, choć w XIX wieku w użyciu pewnie były obie nazwy.

Sympatia, jaką go darzył mój dziadek Winzent, i fakt, że tak długo trzymali się razem, mogły mieć związek z tym samym imieniem, jakie miał jego ojciec, a mój pradziadek. A może coś jeszcze innego, o czym nie wiem. Nie tylko wspólnie dokazywali jako smarkacze, lecz razem odbywali naukę u szewca. Jednak ostatecznie żaden z nich szewcem nie został. Chyba na szczęście, bo w Sośnicowicach/Kieferstädtel była silna konkurencja. Warsztatów szewskich więcej niż gospodarstw rolnych. I jeszcze blachownia z kuźnicą, gdzie ciągnięto druty i wyrabiano gwoździe. Tam także można się było uczyć zawodu. Ale starszy z braci Ślebiodów (tak już będę pisał) pojechał uczyć się do dalekiego Essen, gdzie w najlepsze rozkwiwały zakłady Kruppa, czyli metalurgia z prawdziwego zdarzenia. O reszcie jego rodu nie mam żadnej wiedzy.

Na dyplomie mistrza szewskiego, wystawionym mojemu pradziadkowi Theophilowi Wańkowi w Sośnicowicach 30 sierpnia 1882 roku, widnieją podpisy trzech przełożonych cechu. Pierwszy to Joseph Czech; następny Dworski (bez imienia); wreszcie August Boguth. Może to u któregoś z nich jego syn, młodociany Winzent, z rówieśnikiem Teofilem uczyli się wycinać zelówki i trafiać szydłem w otwory. Byli też pomocni na targach w okolicznych miastach: Gliwice, Rybnik, Toszek. A nawet odległe Mysłowice, gdzie mieli przeciw sobie szewców miłkołowskich. Bo i to miasto słynęło z cholewkarzy.

Ta część Śląska miała w tym czasie dość gęstą sieć kolejową. Ale nie w Sośnicowicach,

gdzie kolej nigdy nie dotarła. Pozostawał transport konny, albo *per pedes*. Każdy szewc, z wyjątkiem skrajnych biedaków, żeby dotrzeć na jarmark, musiał być równocześnie woźnicą. Istniała co prawda poczta konna do Raciborza i Gliwic, ale kto by wyrzucał pieniądze na dyliżans. Więc jeśli nie własnym (lub wynajętym) wozem, to piechotą szło się do Pyśkowic lub Bytomia, by wrócić stamtąd z zarobionym groszem.

A w drodze czyhały pokusy i zasadzki. Gdzie człowiek nie trafił – wszędzie gospoda pachnąca piwem lub innym sznapsem, którego szewcom zawsze mało. Stąd chyba „szewskie poniedziałki”. Nie mówię już o drobnych rabusiach i wielkich zbójach. W dodatku w każdej miejscowości miało się jakichś krewnych, powinowatych, a ostatecznie znajomych. Z takich wypraw wręcz nie chciało się wracać do Sośnicowic.

W tych z pozoru nieruchomych czasach ludzie byli ruchliwi. Z ośmiu braci mojego dziadka (nie wspominając o trzech siostrach) tylko jeden pozostał w Pawłowie, gdzie się urodził. Reszta rozpieczęchła się po świecie: Koźle, Erfurt, Hamburg i bóg wie co jeszcze. O starszym z braci Ślebiodów już wspominałem – Essen. Może nawet i samego Teofila Ślebiodę przeznaczenie zaprowadziłoby gdzieś na Morawy albo do Linzu, gdyby nie stało się inaczej.

W każdym razie on, podobnie jak jego koleżka, czyli mój dziadek, w nauce szewskiej pozostali czeladnikami. Co prawda, stopień mistrza można było już dostać, mając dwadzieścia dwa lata (na przykład mój pradziadek, urodzony w 1860 roku). Ale dla rocznika 1892 dwudziesty drugi rok życia wypadał akurat w 1914, który jednak zamknął kurtynę starego świata i odtąd nic już nie było takie same. Nawet szycie butów.

Wtamtym starym świecie, mając dwadzieścia dwa lata, myślało się już o założeniu rodziny; o stabilnym zawodzie, o stałym zarobku, o miejscu w społeczności i o powadze związków – religijnych, rodzinnych, obywatelskich. Każdy chciał być traktowany poważnie. Ale ci dwaj pewnie nie zdążyli z mistrzowskim egzaminem do lipca, a później to już było po ptokach. Dworski – ten bezimienny – jesienią pojechał na front w Prusach Wschodnich i już więcej go nie widzieli. Możliwe, że z Josephem Czechem i Augustem Boguthem było podobnie. Mojego pradziadka Teophila wzięli do Flandrii, do artylerii, ale na froncie dalej był szewcem i może nawet armaty nie widział. Przeżył i miał 76 lat, gdy umarł w Kończycach.

Ale tu zajmijmy się Teofilem Ślebiodą, znanym mi tylko z opowieści dziadka Winzenta. Wersje tych opowieści różniły się nieznacznie, lecz powtarzają-



fot. ze zbiorów autora

Po skróconych i przyśpieszonych – jak sądzę – kursach chłopcy, mający dotąd na głowie sprawy wyłącznie szewskie, otrzymali awans na niskie stopnie podoficerskie i odpowiednie naszywki na rękawach mundurów. Rejsy, na jakie wypływali, mogły być najwyżej szkoleniowe, bo nie pamiętam, żeby mi dziadek wspominał o chrzcie bojowym (wśród kolegów marynarzy: Teofil Ślebioda w drugim rzędzie w środku, obok niego Wincent Waniek)

ce się szczegóły dowodziły ich prawdziwości. W jednej majster wysłał terminatorów po skórę do umówionych garbarzy. Austriacka była tańsza, więc ją przemycano. I gdzieś pod Cieszynem, a raczej Opawą, ktoś to skupował od przemytników. Siedemnastoletni Teofil z pomocą Winzenta, mojego dziadka, zaopatrzony w pieniądze, miał kupić i przynieść z takiego źródła czterdzieści funtów skóry. Ale gdzieś w raciborskich lasach trafili na Cyganów, którzy podjęli ich hojnie. Gdy następnego dnia dotarli do sprzedawcy, okazało się, że w sakiewce Teofila pieniądze zamieniły się w podarte papiery. Cyganie!

W lesie nie było już po nich śladu. W tym trudnym położeniu nie przyszło biedakowi nic lepszego do głowy, tylko żeby, korzystając z tego, że znał szopę, gdzie ów dostawca trzymał skóry, wdrzeć

się tam w nocy. Wyniósł dwadzieścia kilo dobrze wyprawionego surowca i na długo przed świtem wraz z moim dziadkiem ile sił w nogach gnali ku Sośnicowicom. Podobno kupiec nawet nie zauważył kradzieży. Ale za jakiś czas dotarła do Sośnicowic wiadomość, że tutejszych terminatorów okradli Cyganie, których lichy przynosiło z Moraw. Czy to się wtedy wydało, czy przeciwnie, tego nie wiem.

Nie pamiętam już, ile ich było i czego dotyczyły opowieści, w których główną rolę grał Teo jako tęgi hultaj. Dziadek opowiadał to bez moralnego osądu; raczej z podziwem dla odwagi i sprytu koleżki, o którym zresztą miał jak najlepsze zdanie. A w ogóle wszystko to było mi obojętne. Miałem właśnie siedemnaście czy osiemnaście lat, nie chodziłem na naukę do szewca i pojęcia nawet nie

miałem, gdzie są Sośnicowice. Co innego szumiło mi w głowie. Co mi tam jakiś Ślebioda sprzed przeszło pół wieku.

Jedna z tych opowieści jednak zrobiła na mnie takie wrażenie, że – przynajmniej w ogólnym zarysie – zapadła mi w pamięć. Chodziło w niej o cud (chyba nie jedyny), jaki miał miejsce w życiu mojego dziadka Winzenta. Więc nie jakieś młodzieńcze hultajstwa, pijackie awantury, próby uwodzenia panienek i drobne karciane szachrajstwa; ale coś, co raz na zawsze zatrząskuje młodości drzwi przed nosem i – wóz albo przewóz – stawia człowieka przed bezapelacyjnym przeznaczeniem.

Więc tak się zdarzyło, że tego samego dnia, miesiąca i roku wezwała ich przed swoje oblicze rezydująca w nieodległych Gliwicach wojskowa komisja uzupełnień i w moim dziadku oraz jego rówieśniku Teofilu dostrzegła znakomity materiał na marynarzy.

Był rok 1915, mieli po dwadzieścia trzy lata i kolejowe bilety do odległej Kilonii, gdzie czekał na nich liniowiec pancernik SMS „Pommern”. Fotografia tego żelaznego kolosa, oprawiona w złotą ramę, wisiała między innymi obrazkami w salonie mojego dziadka aż do jego śmierci. Później zawieruszyła się, a pozostało tylko kilka jego zdjęć zarówno w mundurze galowym, jak i bojowym. Na jednej fotografii stoi obok Teofila tutaj nazwanego Schlebioda.

Po skróconych i przyspieszonych – jak sądzę – kursach chłopcy, mający dotąd na głowie sprawy wyłącznie szewskie, otrzymali awans na niskie stopnie podoficerskie i odpowiednie naszywki na rękawach mundurów. Rejsy, na jakie wypływali, mogły być najwyżej szkoleniowe, bo nie pamiętam, żeby mi dziadek wspominał o chrzcie bojowym. Wspomniana fotografia została wykonana gdzieś pomiędzy ich rekrutacją a 20 maja 1916 roku, gdy mój dziadek przebywał na tygodniowym urlopie w Zabrze na Śląsku. Miał tam poślubić Marię z domu Kaiser i czym prędzej wracać do Kiel. Nie dawano wówczas urlopów dłuższych niż tygodniowe, więc ślub i wesele w górnośląskim formacie odbyły się w tym czasie, a mówiąc dokładniej, w niedzielę 28 maja. W międzyczasie „Pommern” wypłynął w morze.

Z tego ślubu-urlopu mój dziadek wrócił późniony o dzień, gdy jego jednostka była na morzu, więc na razie nie spotkała go kara. Może byłaby potem, gdy już „Pommern” wróci do portu. Ale dziadek 2 czerwca 1916 roku był już w Kiel i mógł przeczytać w „Nachrichten aus See” komunikat, który wyciął i zachował. Wymiętoszony w różnych portfelach, podklejony taśmą, trzymał w teczce:

Podczas przełamania floty niemieckiej przez brytyjską Grand Fleet w nocy 1 czerwca krótko po 2 w nocy „SMS Pommern” został trafiony przez torpedę z brytyjskiego niszczyciela. Po jednym z uderzeń torpedy doszło do silnej eksplozji, prawdopodobnie magazynu amunicji, który znajdował się w środku okrętu, statek załamał się i w krótkim czasie zatonął. Z 829 załogi nikt nie ocalał.

Zdarzenie to zapisało się jako bitwa morska pod Skagerrakiem. Tak oto jednej nocy mój dziadek stracił kilku kompanów, ale przede wszystkim Teofila Ślebiode, który byłby świadkiem na jego ślubie, gdyby dostał urlop. Ale mu urlopu odmówiono. W nagrodę znalazł się na liście poległych bohaterów Wielkiej Wojny. Ładna mi nagroda. Dodać tylko można, że wbrew gazetowym komunikatom uratowało się pięciu, którzy pozostali na lądzie. Mój dziadek i jeszcze czterech chorych, którzy nie uczestniczyli w rejsie.

Później było jak było, ale gdy jesienią 1918 roku skończyła się ogólnowiatowa rzeźnia, mój dziadek Winzent wrócił na Górny Śląsk. Ale już nie do Kieferstädtel. Może go powstrzymał ból po stracie przyjaciela, choć może raczej żona w Zabrze-Pawłowie. Leć i tam nie zagrażał miejsca, przeprowadzając się rychło do Katowic. Nie znam powodów, domyślam się tylko, że miało to związek z nerwowością, wspólną wszystkim niemieckim kombatanom marynarzom. Mimo że już było po wojnie, paradowali w mundurach czasem upstrzonych czerwoną kokardką. To oni podbijali Berlin i Hamburg, a w Bremie, Lubece i w Monachium rozpoczęli rewolucję. Ale jeśli tam chodziło o komunizm, to nad Śląskiem rozpięła się wizja kraju wolnego od pruskich porządków.

Polska, która Polska, jaka Polska, dlaczego Polska? Takie pytania nie miały wtedy znaczenia, a ze wszystkiego mógł się najwyżej liczyć język – przez Niemców, chyba bardziej niż przez Polaków, uznany za polnisch. W każdym razie dziadek, jak wielu marynarzy na Górnym Śląsku, poszedł za tą mglistą jeszcze Polską (mimo że żona niemiecka) i wziął udział w trzecim powstaniu śląskim, o którym zresztą później niewiele dobrego miał do powiedzenia. Gdy już Katowice stały się polskie, Kieferstädtel, wraz z garstką krewnych, sąsiadów i kumotów, znalazło się po drugiej stronie. Wtedy w życiu dziadka zaczęły się schody, należące już jednak do innej i nie tak odległej historii. ■

Henryk Waniek – malarz, grafik, pisarz, publicysta, krytyk artystyczny i literacki, znawca filozofii i literatury mistycznej

ALEKSANDRA KUNCE

Czasy będą coraz zimniejsze.
Sándor Márai (przeł. Feliks Netz)

ŚLĄSK I MASA

fot. Robert Garstka

Żółć melancholii każe mi spojrzeć na płynny ruch masy jako ten, który nigdy nie zakończy się i nie przyniesie ukojenia. Nie da się uniknąć impetu cywilizacji. Jednak nie sposób stać się wielbicielem totalności, systemu i siły masy. Powszechność i zrównanie są nieuchronne, lecz nie dodają witalności.

Nie mogę powiedzieć, że Śląsk na przełomie wieków stał się masowy, to byłoby nadużycie, ale widzę masowość, która wlewa się z różnych stron, kształtując go jako namacalną cywilizacyjną całość. Postęp cywilizacyjny, technologiczny, postęp wiążący niskie i wysokie sfery kultury, staje się projektem emancypacyjnym masy. Jednak z każdym pożytkiem kulturowym coś tracimy.

I Powszechna edukacja I

Kluczowe wydarzenie dla powszechności szkoły to nakaz króla Prus Fryderyka I z 1717 roku, zgodnie z którym wszystkie dzieci mają uczęszczać do szkoły powszechnej. Mają uczyć się pisania, czytania, rachunków, historii. Będzie to miało znaczenie dla Śląska, gdy po wojnach śląskich zostanie włączony do państwa pruskiego. Cesarzowa Maria Teresa powtarza nakaz, wprowadzając w 1774 roku obowiązek szkolny w monarchii Habsburgów, co ma przełożenie na szkolnictwo na Śląsku Cieszyńskim. Dlatego Śląsk końca XVIII wieku, a zwłaszcza XIX i początków XX wieku to cywilizacja pisma.

Kiedy zarządza się obowiązek powszechnej piśmienności i umiejętności rachowania, z odrobiną słusznej historii, to pracuje się na korzyść mocnego państwa. Obywatele czytający rozkazy, podpisujący dokumenty, to sprawni i karni obywatele. Pismo to system kontroli i zarządzania na służbie władców. Powszechne pismo, niczym straż, opasuje terytoria.

A jednak w tym pochodzie oświeconej masy może zostać wydobyta indywidualność. Mieszkańskie dziecko zostaje włączone w system wiedzy, a potem dzięki splotowi wydarzeń, pasji i trafu kształci się już indywidualnie, wymykając się sztafpowemu myśleniu. W potencji jest miejsce na osobę, chociaż planowo formuje się masę.

Wraz z podziwem, że ludzie czytają, piszą, rachują, rozwija się lęk o to, co czytają i co piszą. Twierdził Nietzsche w *Tako rzecze Zaratustra*, „że każdemu wolno nauczyć się czytać, to psuje z czasem nie tylko pisanie, lecz i myślenie”. Powszechna edukacja produkuje powszechne i uśrednione potrzeby duchowe, ale też zostawia zbawienny margines, w którym – przy dobroczynnym zbiegu rzeczy – mogą uchronić się duchy niespokojne.

I Powszechne ubezpieczenie I

Równie kluczowe kulturowe doświadczenie tamtego Śląska to kasy brackie, które zabezpieczały osoby zatrudnione w górnictwie na wypadek choroby i wypadku, a także dawały ochronę rodzinie. I chociaż jedno z pierwszych ubezpieczeń brackich powstało w XVI wieku (książę opolski wydał

stosowne przepisy w górnictwie), to jednak dopiero rok 1769 przynosi przywileje króla Fryderyka II, które regulują zakładanie i rozwój spółek brackich.

Z powodzeniem kasy brackie działają na terenie Dolnego i Górnego Śląska. Powstają liczne lazarety. W 1922 roku, już po przyłączeniu części Górnego Śląska do Polski, nastąpił podział majątku między Spółkę Bracką w Tarnowskich Górach a Oberschlesische Knappschaft w Gleiwitz.

Zawsze lazarety kojarzyły mi się z masowością, zasmucając ideą porządkowania i kontroli. Lazarety pochłaniają i wiedzę, i pojedynczego człowieka. Szpital, system leczenia, ubezpieczenia to zdobywcze człowieka masowego. Nie mam wątpliwości, że to masa i impet medycyny wygrywają. Masa pozyskująca przywileje i grupowe ubezpieczenie staje się solidarną masą.

I Masa czyta I

Masa czyta, czyta regularnie, przyzwyczajając się do powtarzalnego czytania otaczającego świata. Rozwój prasy przygotowuje grunt pod czytelnictwo masowe końca XIX wieku. W dziewiętnastowiecznym Wrocławiu wychodzi chociażby „Schlesischer Nouvellén – Courier”, ukazuje się zastrzyżony „Schlesische Zeitung” aż do 1945 roku. Jednocześnie powstają pierwsze polskojęzyczne periodyki. Z pewnym zawstydzeniem, z uwagi na dzisiejsze doświadczenie mizerności tytułów prasowych, przyjmuję informacje, że we Wrocławiu w XVIII wieku ukazywało się ponad 80 periodyków. W okolicznych miastach po kilka czy kilkanaście. Na Górnym Śląsku gazety wychodziły w Nysie, Raciborzu, Opolu czy Gliwicach (np. gliwicki „Oberschlesischer Wanderer” aż do połowy XX wieku).

W drugiej połowie XIX wieku pojawiają się dzienniki, a zatem masowość wkracza z impetem. Dziennie czytać, to wyrabiać w sobie gotowość do metodycznie rozwijanej ciekawości świata i siebie. Regularność czytania to gotowość do przyjęcia standardowej wiedzy. Politycy wiedzą, że czytelnik daje się prowadzić ideologicznie i chłonie metodycznie propagandowe słowo. Czytamy po niemiecku, czytamy po polsku. Następuje wysyp polskich periodyków z „Katolikiem” na czele. Wojna propagandowa polsko-niemiecka nie odbyłaby się w XX wieku, gdyby nie siła czytającej masy. Wraz z nadejściem masy nadchodzi masowa propaganda.

I Masowa architektura I

Jeśli najstarsze kolonie robotnicze powstały w XVIII wieku, jak kolonia Królewskiej Huty, to jednak gęstość urbanizacyjną Śląsk notuje

w XIX i na początku XX wieku. Można powiedzieć, że Śląsk staje się „gęsty” od osiedli i kolonii robotniczych. Kolonia Ficus, Giszowiec, Nikiszowiec, Kaufhaus do dziś pozostają znakami cywilizacyjnymi tej przestrzeni. Rody Donnersmarcków, Schaffgotschów, Ballestremów finansują plany zagospodarowania najbliższej przestrzeni, wyznaczając trajektorię życia między zakładem pracy, domem, ogródkiem, bankiem, szkołą, urzędem, sklepem, targiem. Masowe rozwiązania dla pracowników to z jednej strony troska o człowieka, z drugiej intratna i przemysłna inwestycja wiążąca człowieka z pracą. Masowość to masowe standardy mieszkaniowe i obyczajowe, które na skalę powszechną wyznaczają miejski styl życia, nawet przy jego otwarciu na wiejskie przyzwyczajenia.

I Szybkość dla mas I

Nie byłoby masy bez maszyny parowej. Masowa komunikacja kolejowa wiązała przestrzeń ludzką, przyspieszyła człowieka. Z dumą człowiek masowy odnotowuje rok 1842, gdy narodziła się kolej żelazna na Śląsku. Nagle trasy do Brzegu, Opola, Koźła, Gliwic, Świętochłowic, Mysłowic i Raciborza okazały się możliwe. A Wrocław, połączony z Wiedniem, Krakowem, Warszawą, Berlinem i Pragą, jest ważnym punktem potężnej sieci komunikacyjnej. Dworce stały się pomnikami nowoczesnego ducha, w których człowiek masowy przeglądał się z poczuciem dumy.

Do tego człowiek masowy jeździ tramwajami, doświadcza miasta, miejskiego stylu życia. Kiedy powstają pierwsze linie tramwajowe, rozpoczyna się zbliżenie na linii Gliwice – Zabrze – Chebzie – Królewska Huta – Bytom – Piekary Śląskie. Miejski obszar Górnego Śląska zostaje złączony. Dlatego ze smutkiem przyjęłam informację, że dzisiejsze Gliwice zawiesiły kursy tramwajowe.

I Masa i fotografia I

Fotografia nie dokumentuje świata, lecz tworzy osobną opowieść o człowieku, który utrwala siebie niczym dawni królowie na portretach. Dzięki niej zastanawia się nad opowieścią o swoim życiu wymyśloną przez obce spojrzenie. Dla mnie wraz z fotografią rozpoczyna się masowy człowiek nostalgiczny, także opowieść o Śląsku staje się opowieścią nostalgiczną.

Fotografie wykonywane w zakładach fotograficznych w drugiej połowie XIX wieku nie są masowe, ale obiecują już dostępność dla Każdego. Mieszczanie chodzą do fotografa, by portretować siebie, to jednak wydarzenie odświeżające. Zdjęcia

oprawione w piękną tekturę zdobią wertikoły. Są oznaczone ze skrupulatnością mieszczańskiego świata sygnaturą atelier fotografa, datą powstania. W miarę jak rozwija się technika fotograficzna, zdjęcia stają się powszedniejsze. W końcu ze zdjęć wydobywa się opowieść o codzienności, pracy, ulicy, targu, zdjęcia przybliżają się do masowego stylu. Rodzi się masowa, amatorska fotografia.

Zdjęcia z pierwszej wojny światowej są masowe i nobliwe, utrwalają wizerunki wojny na usługach władców. Są i te przesyłane przez synów i ojców z frontu, równie nobliwe, ale osobiste i pojedyncze, wnoszące obraz wojny w przestrzeń domu. Młodzieńcy w mundurach, towarzysze broni. Te fotografie są świadectwem włączenia pojedynczego losu w masową opowieść o wojnie. A jednak z tych fotografii przedostaje się opowieść o tym, co indywidualne, o przyjaźni na froncie i kruchości życia. Doświadczenie zniszczenia tego, co indywidualne i włączenia w masowość działań wojennych przyniosło totalność. Masowa śmierć wydobywa odmienny wymiar cywilizacyjnej masy. Dzisiaj już do tego przywykliśmy.

I Masowe obrazy I

Z końcem XIX wieku rozpoczyna się pochód kina, mają miejsce pierwsze pokazy filmowe. Pojawiają się na Śląsku kina wędrownie. Początki wieku XX to kina stacjonarne. Pierwsze kino „Fata-Morgana” we Wrocławiu powstało w domu towarowym „Victoria”, a potem nastąpił wysyp kolejnych sal kinowych. Dla Katowic ważne jest kino „Rialto”, które rozpoczęło działalność w 1913 roku jako „Kammerlichtspiele”. Początki kin stacjonarnych, którym towarzyszy woń cygar, smak piwa, dźwięki orkiestry, hałas, rozwijają masowy styl życia. Kino na Śląsku to pochód cywilizacji, która przez dostępność techniki wiąże niskie i wysokie, elitarne i egalitarne, jednostkowe i masowe. Kino to masowe i kruche wzruszenia.

Nie byłoby cywilizacyjnego Śląska bez pochodzącego masy. Nie byłoby impetu społecznego bez siły standardów. Nie byłoby skuteczności bez powszechności. Nie byłoby społecznego rozumu bez dyktatury średniości. Nie byłoby wspólnoty cywilizacyjnej bez planowych rozwiązań dla Każdego. Ale ze zdobyczą projektu cywilizacyjnego, jakim stał się Śląsk w XIX i na początku XX wieku, wyważono drzwi, które przestały go chronić przed inwazją nieobliczalnego umasowienia po 1945 roku. ■

Aleksandra Kunce – profesor, kulturoznawca, wykładowca Uniwersytetu Śląskiego, redaktor naczelna periodyku „Anthropos?”

CZAS

sprzeczności

Pisanie o literaturze Górnego Śląska przełomu stuleci nie jest proste. Trzeba poruszać się po przestrzeni, która podlegała wielu ideologicznym i politycznym manipulacjom, także ze strony piszących. Słusznie pisano w ostatnich latach o Górnym Śląsku jako o „rzeczywistości wyobrażonej”.

Z Górnym Śląskiem łączy się wiele mitów, jeszcze więcej sprzecznych opinii, co oczywiście nie jest wyłącznie fenomenem przełomu stuleci. Mamy do czynienia z obszarem wielokulturowym i wieloetnicznym, przez który przebiegały i przebiegają podziały polityczne, religijne i językowe – rejestrowane także przez teksty literackie. Mity i interpretacje, które wówczas zapełniły dzieła piszących, okazały się nad wyraz trwałe.

I Euforia przemiany I

Najpierw teksty literackie dokumentują nadzwyczajne wręcz pokłady pionierskiego optymizmu i euforii rozwoju cywilizacyjnego. Dzieje się tak szczególnie z powodu rozwoju górnośląskiego przemysłu, który, choć nie dla wszystkich,

zrodził jednak ogromne szanse społecznego awansu. Wymownym przykładem literackiej materii są Katowice, które zaskakiwały błyskawicznym tempem rozwoju. Dlatego słusznie napisał Henryk Waniek w książce *Katowice – blues albo Kattowitz – Polska* o tym przedziwnym mieście: *Trzysta, a nawet dwieście lat temu był tutaj tylko las miesany, z lichą sosną i dębem; rzeka Roździanka, późniejsza Rawa, która często opuszczała swoje koryto; trochę wzgórz z lewa i prawa. Kto mógłby wtedy przewidzieć, że w przyszłości, nie znów tak odległej, w Katowicach rozpanoszą się domy i uliczne bruki, rzeka zniknie bez śladu, drzewa zostaną wydarte z korzeniami, a cały ten prawie bezludny wygon zamieni się w regularne miasto. Zadziwienie ogarnęło także wyobraźnię świadków cywilizacyjnych i kulturowych przemian tamtego czasu.*

Wśród utworów Arnolda Ulitz-
za (1888–1971), niemieckiego ka-
towiczana, znajdujemy w po-
wieści *Der grosse Janja* (*Wielki
Janja*) poruszający opis miasta
z pionierskiego okresu rozwoju
(Kattowitz to Nowy Jork Górnego
Śląska). Równie entuzjastyczny
wizerunek przemian na Górnym
Śląsku znajdujemy w reporta-
żach Antona Oskara Klaussmanna
(1851–1916), w wydanej w 1911 ro-
ku książce *Oberschlesien vor 55
Jahren und wie ich es wiederfand*
(w tłumaczeniu Antoniego Halora
ukazała się w 1997 roku pod tytu-
łem *Górny Śląsk przed laty*). Także
Klaussmann zauważał w Katowi-
cach cywilizacyjny skok od mieści-
ny, której centrum przed 50 laty wy-
znaczała wielka kałuża i podłużny,
podobny do szopy budynek, pod-
kreślając, że miejsce należy do naj-
bardziej przedziwnych, na jakie
w Niemczech możemy się natknąć.

Na przywołanie zasługuje
świadczenie pisarza Arnolda Zwei-
ga (1887–1968), który urodził się
wprawdzie w Głogowie na Dol-
nym Śląsku, ale w Katowicach spę-
dził ważne dla niego lata formacji
intelektualnej i artystycznej. W la-
tach 1896–1907 uczęszczał do
katowickiego gimnazjum i był
swoistym *spiritus rector* literackiej
grupy gimnazjalistów wydają-
cych ekspresjonistyczne czasopi-
smo „Die Gäste” („Goście”). W na-
pisanym w 1945 roku esej *Die Fe-
stungen meiner Jugend* (*Twierdze
mojej młodości*) Zweig szkicuje
portret Katowic nie jako centrum
przemysłu, lecz duchową – tak,
duchową! – stolicę całego Śląska.

Z jednej strony literackie opi-
sy zachwyty nad cywilizacyjnym
rozwojem Górnego Śląska. Z nimi
zrodził się mit roli, jaką w procesie
modernizacji regionu odegrało
państwo pruskie. Z drugiej strony
mamy pogłębiające się różnice
społeczne, obecne nie tylko
w przemyśle górnośląskim, lecz
także na wsi. Jeśli sięgniemy do
Karola Miarki i późniejszych auto-

ARNOLD ULITZ



Wielki Janja

*Domy nie były jeszcze gotowe, a już przybywali pierwsi najemcy, pełni
obaw, że w małych Katowicach nie znajdą kwaterek. Najwięcej przyby-
wało ich z Wrocławia, i nawet ci na niższych stanowiskach urzędniczych
nosili dźwięczne tytuły, które robiły na Janji wrażenie. Byli wśród nich ase-
sorzy biurowi, asystenci Zakładów Kolei Żelaznej, kanceliści 1. i 2. klasy, se-
kretarze, wyżsi sekretarze, urzędnicy do spraw rachunkowości, administra-
cji wyższego i niższego stopnia oraz radcy budowlani. Większość z nich
nosiła piękne brody; starsi panowie nosili brody na wzór cesarza Wilhelma,
inni pielęgnowali obfite brody niczym cesarz Fryderyk, ale najliczniejsi bro-
dacze stylizowali się na młodego cesarza, i to właśnie ci najmłodsi, dyspo-
nujący największym temperamentem urzędnicy nie ukrywali, że służbowe
przeniesienie do Katowic traktowali jak karę.*

*Oburzali się, że były tu jeszcze niewybrukowane ulice, w których głę-
bokim po kolana błocie przy deszczowej pogodzie grzązł transport z ich
ciężkimi, kosztownymi meblami. Widzieli, jak mężczyźni, a nawet kobiety,
na bosaka przechadzali się po Grundmannstrasse, ulicą uchodzącą za
główną i reprezentacyjną; słyszeli, jak w wyszynku Arnolda Cohna „jakiś
bezczelny motłoch” wyśpiewywał po polsku piosenki, i byli świadkami, jak
w tym przybytku jakaś pijana kobiecina runęła ze schodów. Na dworcu
wpadli prosto na tłum ubranych w kaftany Żydów z rosyjskiej Kongresówki,
którzy dwa razy dziennie napływali tu przez bliską granicę. Ktoś nawet do-
kładnie wiedział, o ile przestępczość na Górnym Śląsku jest wyższa od śred-
niej krajowej, i zapytywał, czy po mieście można przechadzać się nocą bez
bronii. Tak jakby żyli tu wciąż jeszcze słynni rabusie Pistulka i Elias. Podeks-
cytowani panowie obciążali biednego Janję odpowiedzialnością za wszel-
kie katowickie niedostatki. Smutno mu było, że jego ukochane miasto mia-
ło tak mierną opinię [...].*

*Katowice to Nowy Jork Górnego Śląska, a on, Josef Janja, był jednym
z pierwszych, którzy w tym nowym mieście cudów postawili pierwsze do-
my [...]. Cóż to był za rozwój! [...] Całe miasto wygląda jak nowe. Cementu-
je się chodniki, a fabryka cementu musiała sprowadzić dwudziestu pięciu
robotników z Włoch, bo inaczej nie poradziłaby sobie z robotami. Szklarz
Trapp tylko tego lata wstawił więcej szyb niż w ostatnich dziesięciu latach,
powstały cztery nowe firmy malarskie i są zawałone pracą, wielki wrocław-
ski sklep z kawą otwarł właśnie w Katowicach swoją filię, jest też nowy księ-
garz, który robi teraz konkurencję Siwinnie. [...] Tak, to się nazywa rozwój,
a ten, kto sprytny, rzuca się na ten katowicki ugó i rozsiewa talary. Nawet
interesy z produkcją trumien przy Emmastrasse idą wysmienicie, bo wkrót-
ce do Katowic przybędzie pięćset rodzin, w Katowicach będzie się więc wię-
cej żyło, ale i więcej umierało.*

(Arnold Ulitz, *Der grosse Janja*, Stuttgart 1953, s. 53, 98, przekład: Marcin Wiatr)



Twierdze mojej młodości

Druga dekada mojej młodości zaprowadziła mnie z Głogowa [...] do nowiutkiego miasta kolonialnego Katowice, [...] Pierwotnie Katowice, położone wśród kopalń rud należących do hrabiów von Donnersmarck i otoczone lasami księcia von Pless i panów von Tiele-Winckler, były kuźnią do wytopu żelaza. [...] Gdy po raz pierwszy zobaczyłem to miasto, składało się ono w zasadzie z trzech długich ciągów ulic, biegnących równolegle do kolei na południe i północ, oraz wielu krótkich, poprzecznych uliczek biegnących ze wschodu na zachód [...] i prowadzących w kierunku lesistej i pagórkowatej, szczególnie uroczego krajobrazu w części południowej, w której miasto mogło się rozwijać. A w ciągu kolejnej dekady czyniło to wręcz z nadmiarem, [...] Sytuowało się ono pomiędzy Wiedniem a Berlinem, tymi dwoma centrami środkowoeuropejskiej duchowości, i ignorowało wszystkie inne ważne miejsca, które znajdowały się między nimi [...], na przykład stolicę prowincji Wrocław. W rzeczy samej do Katowic docierały gazety wiedeńskie i berlińskie dość równocześnie, a wpływy Karla Krausa krzyżowały się w naszych umysłach z wpływami Maximiliana Hardena i Siegfrieda Jacobsohna.

(Arnold Zweig, *Die Festungen meiner Jugend*, w: *Essays. Krieg und Frieden*, t. 2, Frankfurt a. M. 1987, s. 290–297, tu: s. 292, przekład: Marcin Wiatr)

rów piszących po polsku, to kreślą oni zgoła inny obraz górnośląskiej prowincji – pełnej niesprawiedliwości społecznej i konfliktów o podłożu narodowościowym. Na ich aspiracje wpływ miała polityka germanizacyjna kanclerza Bismarcka. Prowadziła ona do wzmocnienia wśród Górnoślązaków poczucia alienacji wobec państwa pruskiego i podniesienia atrakcyjności polskiego ruchu narodowego, przekonującego z kolei Górnoślązaków, że to dyskryminacja okresu Kulturkampf jest źródłem nierówności.

I Krytyczne opisy I

Jednak krytyczne oceny spotykamy także w literaturze pisanej w języku niemieckim. Pochodzący z Lublińca Isak Schlackow (1837–1890), lekarz w powiecie bytomskim, pisze w 1876 roku tekst *Górnośląski okręg przemysłowy ze szczególnym uwzględnieniem stosunków kulturowych i sytuacji zdrowotnej*. Jego reporterski niemalże szkic można zaliczyć do pierwszych literacko-socjologicznych portretów regionu. Pełno w nim plastycznych obrazów i cennych obserwacji, ale i raczej prymitywnych stereotypów, np. w stosunku do polskojęzycznych Górnoślązaków. Mamy tu informacje, których można się jak najbardziej spodziewać – opisy zanieczyszczenia wód i gleby, a przede wszystkim powietrza. To efekty procesu industrializacji.

Ale, co ciekawsze, są też opisy warunków mieszkaniowych i warunków pracy robotników przemysłowych, także poziomu wykształcenia. Gorzej, powiada autor, jest w Prusach tylko w Królewcu i w Gdańsku (sic!). Napotykamy wstrząsające informacje o umieralności dzieci w przemysłowej części regionu, gdzie – w porównaniu z innymi częściami Prus – była ona nawet o 100 procent wyższa. Znajdujemy próby wyjaśnienia zjawiska, z podkreśleniem zanieczyszczenia środowiska. Ale skąd Schlackow wziął informację, że na Górnym Śląsku niemowlęta – zamiast mlekiem – karmiło się żurem, śledziem czy kapustą?

W podobnych sensacyjnych relacjach odnajdujemy ślady stereotypowego postrzegania Górnoślązaków, szczególnie tych polskojęzycznych. Wiadać to choćby w stwierdzeniu autora, że stosunki etniczne/narodowościowe w przemysłowej części Górnego Śląska (powiat bytomski) przypominają mu relację pomiędzy zawartością tlenu i zanieczyszczeń w tutejszym powietrzu: 22% – to mieszkańcy niemieckojęzyczni (to niby ten tlen...), natomiast aż 78% to mieszkańcy polsko-/śląskojęzyczni (no, wiadomo co, zanieczyszczenie...). Znajdujemy więcej tego typu obrazów, więc czyta się ciekawie, a gorzki uśmiech rzadko znika z twarzy. Autor,

w końcu lekarz, narzeka na praktyki znachorskie rozpowszechnione na Górnym Śląsku, gdzie sznap-sik, czyli gorzałka, zajmuje pierwsze miejsce jako środek leczniczy, aplikowany nawet dzieciom. *W takiej sytuacji lekarz sam musi wybierać – pisze Schlackow – czy badać objawy właściwej choroby, czy też skutki zatrucia alkoholem.*

Ponury obraz Górnego Śląska odnajdujemy w wielu innych szkicach, już typowo literackich. Górnoślązak Max Ring (1817–1901), swego czasu popularny pisarz i publicysta, z zawodu także lekarz, opublikował w 1898 roku wspomnienia z pobytu na Górnym Śląsku w okresie industrializacji. Zapisał obrazy górnośląskich chłopów, zagłodzonych i żyjących w prymitywnych warunkach, ale też pałace i rezydencje niemieckich właścicieli ziemskich. Wypełniony kontrastami krajobraz Górnego Śląska przypomina Ringowi Irlandię. Bardziej od zacofania społecznego niepokoją go konflikty na tle narodowościowym, których na taką skalę przedtem nie notowano.

I Na becze prochu I

Na przełomie stuleci Górny Śląsk siedzi okra-kiem na becze prochu. Lont jest krótki, a chętnych do podpalenia niemało. Narastające konflikty odnotowali także niemieckojęzyczni pisarze, np. urodzony w Kluczborku Gustav Freytag (1816–1895), autor powieści *Soll und Haben* (1855), nazywany przez polskich krytyków „polakożercą” i „epikiem nienawiści”. Przecistawianie niemieckiej swojskości Górnoślązaka obecnej w nim też „polskiej obcości” posłużyło Freytagowi i jego licz-nym naśladowcom zdefiniowaniu składników toż-samości Niemca i Polaka, których na górnośląskim pograniczu jakoby nie dało się pogodzić. Narodził się podtrzymywany przez dziesięciolecia – i trwają-cy nadal – mit, iż trzeba się opowiedzieć po którejś ze stron i że Górnoślązak nie może być Polakiem i Niemcem równocześnie. Tymczasem tak tu prze-cież bywało.

Zabrzański dramaturg, pisarz i publicysta Sta-nisław Bieniasz pisał w eseju z 1994 roku o konse-kwencjach trwających do dziś „tożsamościowych równoczesności” następująco: *Biografie Górnoślą-zaków, w których mieszczą się okresy polskie i nie-mieckie, polskie i niemieckie kompromisy, wybory mniejszego zła i powiązane z nimi porażki – politycz-ne, moralne i osobiste – są najbardziej dobitną ilu-stracją problemów, które tu nadal występują, a które nawet najzyczliwszych Niemców i Polaków wprawiają w stan dezorientacji.*

Modelowo opisuje Bieniasz te górnośląskie rozterki w powieści *Niedaleko Königsallee* (z 1997

roku). Jego bohatera dręczyła niepewność, czy jako Ślązak jest bardziej Polakiem czy Niemcem. Jedni i drudzy uważali go za swojego, lecz dla obu stron był ubogim krewnym w niemczyźnie lub w polszczyźnie. Nie było to przyjemne. Zanotował też dalej Bieniasz we wspomnianej powieści: *Walka o dusze Górnoślą-zaków trwała nadal, nikomu chyba nie przynosząc korzyści.*

I Poszukiwanie symbiozy I

A jednak na Górnym Śląsku przełomu stuleci zdarzały się znamienne wyjątki. Oto Vale-ska von Bethusy-Huc (1849–1926), pisarka pocho-dząca z okolic Olesna, stała się bezstronnym kroni-karzem przemian społecznych i obyczajowych wsi górnośląskiej. Uwiedziona niejednoznaczną pro-wincją, nakreśliła wizję harmonijnego współżycia jej mieszkańców. Autorka utrwaliła przeobrażenia krajobrazu i procesy migracyjne ludności, lecz w jej tekstach Górny Śląsk jawi się jako obszar symbiozy kultur, jako „przestrzeń dialogu”, co stanowi o jej ży-wotności, wynikającej z fenomenu chwiejnej tożsa-mości mieszkańców.

Jej literackie zapisy są ważne i dlatego, że w li-teraturze niemieckojęzycznej przełomu stuleci nie-wiele było miejsca dla pozytywnego „żywiołu sło-wiańskiego”. Na scenę literacką wkraczał nowy nurt, określany mianem „skrajnie ojczyźnianego”, propagujący możliwie nieskażoną słowiańskością niemieckość i przywiązanie do ojczystej ziemi. Je-go przedstawiciele, np. Elisabeth Grabowski (1864–1929) czy Robert Kurpiun (1869–1943), uzasadniali przynależność Górnoślązaka wyłącznie do nie-mieckiego kręgu kultury.

Coraz popularniejszy Kurpiun – w powieściach *Der Mutter Blut* (1909) i *Das schwarze Weib* (1915) – przedstawił polskich Górnoślązaków jako ludzi pry-mitywnych, niezdyscyplinowanych, leniwych, skłon-nych do anarchii. Sportretował też niemieckich osadników oraz tzw. Polakoniemców – uczciwych i pracowitych, wyposażonych w cechy słowiańskie i germańskie, ale przekonanych o wyższości kultury pruskiej nad słowiańską i przyjmujących w konse-kwencji tożsamość wyłącznie niemiecką.

Dziś wiemy, dokąd zaprowadziły tego typu narracje – do upadku świata Górnego Ślą-ska z przełomu wieków i do utrwalenia mitów, które wciąż nas nawiedzają i nieraz na nowo prowadzą w ślepe zaułki. ■

Marcin Wiatr – germanista, literaturoznawca, tłumacz, pracownik naukowy Instytutu Georga Eckerta w Brunzswiku



LIPINSKY- -GOTTERSDDORF

Rodzina Lipińskich wywodziła się ze szlachty, która na Górny Śląsk przywędrowała w XVII wieku z Litwy. W domu posługiwano się do 1921 roku polskim i niemieckim. Nic dziwnego, że świadomość polskich czy przynajmniej słowiańskich korzeni odciśnęła piętno na twórczości pisarza.

Hans Lipinsky-Gottersdorf urodził się 5 lutego 1920 roku w Leśnicy pod Górą św. Anny. Lata dzieciństwa spędził na Pomorzu. W 1932 roku Lipińscy przeprowadzili się na Górny Śląsk, do będącego w posiadaniu rodziny od 200 lat majątku Gottersdorfa (dziś Gotartów w powiecie kluczborskim).

Przyszły pisarz uczęszczał do szkoły w Kluczborku (w latach 1932–1936), lecz zrezygnował z nauki, by przyuczyć się do upragnionego zajęcia, jakim było rolnictwo. Umiejętności rolniczych nabywał w kilku górnośląskich majątkach. Brał udział w II wojnie światowej jako żołnierz piechoty, walczył m.in. na froncie wschodnim, do 1947 roku był jeńcem wojennym. Po wyjściu z obozu zajmował się rolnictwem w Szlezewiku, po czym osiadł w Kolonii.

Jako autor opowiadań należał w latach 50. i 60. do najbardziej znanych pisarzy w Niemczech. Zdobył uznanie krytyków i czytelników, czego wyrazem były nagrody literackie. Współpracował wtedy z prasą („Frankfurter Allgemeine Zeitung”, „Die Welt”, „Akzente”) i z radiem, dla którego przygotował m.in. wiele audycji poświęconych Polsce i polskiej literaturze. Był również zaangażowany w działalność mającą na celu integrację tzw. późnych przesiedleńców. Zmarł 3 października 1991 roku w Kolonii.

Pod koniec lat 50. Lipinsky-Gottersdorf zaplanował edycję cyklu z panoramą historii górnośląskiej od 1907 do 1945 roku. Podjął wtedy intensywne studia w zakresie historii Polski, Niemiec, a przede wszystkim Górnego Śląska. W rezultacie stworzył własną teorię pruskości, odbiegającą od tej zakorzenionej w świadomości zarówno Polaków, jak i Niemców. Przedstawił ją najpełniej w powieści *Nad Prosną* (*Die Prosnapreußen*), wydanej po raz pierwszy w 1968 roku.

Jego nowy obraz pruskości stał w opozycji do idei narodowosocjalistycznych, a opierał się na za-

sadach rewolucji konserwatywnej. Istotne były antymieszczkańskie afekty, odwoływanie się do ducha, który „nieustannie trwał w ludziach i tradycjach” i „sprzeciw wobec liberalizmu i indywidualizmu, jaki panował w ówczesnych Niemczech”. Nowy obraz Prus tworzył pisarz także w opozycji wobec państwowości polskiej, lecz z afirmacją polskiej czy słowiańskiej ludności i tradycji. Akcenty polsko-sarmackie były podkreślane w jego dziele i biografii.

Północny Górny Śląsk, gdzie toczy się akcja powieści *Nad Prosną*, jawi się jako wielonarodowościowy konglomerat posługujący się językiem „wasser-polskim”, „nad którym zarówno Niemcy, jak i polscy etnografowie łamali sobie głowę”. Idea pruska to rodzaj eksperymentu, który rodzi pytanie, czy dzięki liberalnemu i tolerancyjnemu stanowisku można było uniknąć walk narodowościowych w XX wieku.

Należy dodać, że właśnie w okresie fascynacji „ideą pruską”, czyli w latach 60. XX wieku, nastąpiła zmiana postrzegania rzeczywistości politycznej przez pisarza. Jeśli przedtem Lipinsky-Gottersdorf uważał siebie za pisarza lewicowego, to odtąd widział siebie jako kontynuatora i piewcę „idei pruskiej”, tworzącego mit wielonarodowościowego i wielokulturowego Górnego Śląska. Zmiana politycznych zapatrywań przyczyniła się do jego późniejszego wyparcia z mainstreamu literackiego Republiki Federalnej Niemiec. Powodzeniu jego twórczości nie sprzyjały też podejmowane tematy (losy wiejskiej ludności przesiedlonej ze Śląska do Dolnej Saksonii).

Powieść *Nad Prosną* to najważniejsze, najbardziej interesujące dzieło pisarza, także wzbudzające największe kontrowersje. Można w niej widzieć podsumowanie jego meandrycznej drogi literackiej. Zamiarem autora było napisanie powieści, w której historyczne przyczyny bratobój-

czych walk na Śląsku ukazane byłyby z dala od ideologii i retoryki politycznej. Taka koncepcja wpisywała się w założenia jego idei pruskiej.

Praca nad powieścią przebiegała etapami, a sama powieść była przez autora zmieniana i reinterpretowana. W ostatecznej wersji pisarz skupia się na płaszczyźnie egzystencjalnej, sytuując bohaterów „w dusznej przestrzeni moralnych wyborów, w której albo musieliby wytrzymać próbę albo ponieść klęskę”, jak to skomentował w późniejszym czasie.

Intencją autora było napisanie powieści historycznej w konwencji realistycznej, nawiązującej do tradycji powieści chłopskiej. Istotną rolę odgrywa w niej czas. Życie społeczności zdeterminowane jest przez naturalny, cykliczny rytm przyrody, czyli zmieniające się pory roku, a ponadto przez zmieniający się rytm dnia i nocy. W literaturze polskiej doskonałym przykładem tego typu powieści są *Chłopi* Władysława Reymonta.

Jednak w powieści *Nad Prosną* chodzi o konkretne lata. Jej akcja rozpoczyna się w czerwcu 1907 i trwa do jesieni 1908 roku, a właściwie obejmuje lata 1907–1912, jeśli wziąć pod uwagę również późniejszy tom drugi. Czas organiczny, którego wyznacznikiem jest natura i który organizuje rytm życia, spleta się z linearnym czasem historycznym. Wydarzenia historyczne określone są precyzyjnie i organizują wymiar światopoglądowy, czyli „przesłanie” powieści. Istotnym wydarzeniem jest w niej uchwalenie przez parlament pruski w marcu 1908 roku ustawy wyłączeniowej wobec Polaków, co Lipiński postrzega jako pogwałcenie prawa i koniec wielonarodowościowej pruskiej idylli, przedstawionej przez niego na przykładzie majątku Łowkowice w powiecie Kontschenburg (chodzi o powiat kluczborski).

Centralną postacią jest Olga Rewen, właścicielka majątku ziemskiego, która po śmierci męża postanawia powrócić do rodzinnego majątku i nim zarządzać. Relacje dworu i wsi układają się dość familiarnie. Idea wielkiej rodziny, która nie zna ani społecznych, ani narodowościowych barier – bez względu na to czy jest ona osadzona w historii, czy autentyczna, czy funkcjonuje tylko jako fikcja literacka – odgrywa istotną rolę w świadomości pisarza jako symbol osadzenia w historii wspólnoty ludów środkowoeuropejskich, która na skutek wojen XX wieku bezpowrotnie minęła.

Jeśli patrzeć na dzieło z tej perspektywy, to staje się dostrzegalna opozycja pisarza wobec nowoczesnej brutalności, wraz z którą na skutek nacjonalizmów, walk narodowościowych, narodowego socjalizmu, wojny i wypędzeń został zniszczony „pień Wasserpolek” ze swoim kolorytem i oryginalnością.

Autor zgromadził raz jeszcze tragiczne, dziwaczne i oryginalne postaci wcześniejszych utworów, by dać im nowy dom w pojednawczej przestrzeni nowej powieści, dom, na który zabrakło miejsca w historycznej rzeczywistości.

Wydarzenia zostały tak z sobą powiązane, by wyjaśniały przyczyny katastrofy. Nie chodzi bynajmniej o sielankowe przedstawienie przeszłości. Opowieść o przeszłości służy i zmierza ku wyjaśnieniu także późniejszych wydarzeń. Powieść jest tak skonstruowana, że obok wydarzeń z lat 1907–1908 otrzymujemy wgląd w dalsze losy bohaterów, na przykład w przebieg nocy kryształowej czy deportacji. Dlatego należy ją odczytywać z dzisiejszej perspektywy. Jest to zgodne z intencją autora, który w jednym z listów wyjaśnia: „naszkicowałem obraz, jakim go widzę z dzisiejszej perspektywy: obraz, w którym zarysowują się linie przeżytej przez nas tragicznej porażki”.

Jednak intencje autora nie do końca zostały należyte zinterpretowane. Publikacja *Nad Prosną* spowodowała fale turbulentnych dyskusji, zwłaszcza wśród autorów pochodzących z Górnego Śląska. Niektórzy, np. August Scholtis, stawiali ją w jednym szeregu z wizjami Heinza Piontka i Horsta Bienka, gdy inni zarzucali mu fałszowanie i wypaczanie historii Górnego Śląska.

Z dzisiejszej perspektywy można ocenić, że Lipiński okazał się nie tyle epigonem, ile prekursorem. O ile „idea pruska” i Prusy były w latach 60. kojarzone zdecydowanie negatywnie, o tyle zmiana nastąpiła w latach 80., gdy w obu państwach niemieckich podjęto na nowo rozważania o nowoczesności pruskiej. Można pisarzowi zarzucić epigonizm, zwłaszcza w opowiadaniach mających być dalszym ciągiem powieści, epigonizm w stosunku do *Marsza Radeckiego* Josefa Rotha. Jednak pisarz potrafił oddać taki Górny Śląsk, jaki znał najlepiej z autopsji: wiejski, z mieszaną ludnością, do tego protestancki, trwający na krawędziach religijnego i narodowego konsensusu.

Gdzie upatruje Lipiński źródeł historycznego zła, które zmiotło jego ojczyznę? W nacjonalizmie, ale nie przede wszystkim i nie tylko polskim – w nacjonalizmie niemieckim traktującym Górny Śląsk jako przestrzeń jednolicie narodową, negującym wielonarodowość Prus, wprowadzającym ustawy wyjątkowe wywłaszczające polskie majątki.

Dlatego warto przypomnieć napisany ładnym, spokojnym językiem, pełen plastycznych opisów, urokliwy fresk historyczny sięgający w głąb dziejów naszej fascynującej krainy. ■

Nad Prosna

(fragmenty)

General

Powiat Kontschenburg leży w północno-wschodnim zakątku górnośląskiej prowincji; pola, łąki, lasy, rozległe niebo, a pośrodku małe miasto o trzech wieżach. Lasy, iglaste i liściaste rozciągały się głównie na południu powiatu w stronę Opola i Lublińca; na wschód i północ od miasta leżała otwarta przestrzeń, łagodne wyniesienia gruntu pokryte nieregularnymi czworobokami pól, poprzecinane rozległymi dolinami potoków, gdzie wśród sadów skrywały się wioski. Dopiero idąc ku Prośnie, znów napotkać można było pojedyncze splechcie lasu. Tu leżały Łowkowice wieś i majątek, niegdyś tworzące jednolitą całość.

W odległości kilometra od Proсны żółtobrzowe strzechy opierały się ciężko jak karki wołów niebu i wiatrom. W lecie wyglądało to tak, jakby tam w sadach pasło się stado krów nieustannie trwające w bezruchu; pociemniała ze starości wieża drewnianego kościółka tępo i płasko sterczała ku niebu jak brudny chłopski kciuk. Dwa tuziny małych bezładnie rozrzuconych gospodarstw, bielony budynek gospody „Pod hrabiowską arendą”, nieco oddalony,

znajdujący się niemal wśród pól, szeroko rozciągnięty czworokąt stajni i obór majątku, ażurowe rusztowanie motoru napędzanego wiatrem, wreszcie ciemnozielony park z żółtawo prześwitującym wśród drzew jednopiętrowym dworem – to było wszystko. Od granicznej szosy odchodziła wiejska droga; szeroka, niebrukowana – w lecie szarobiała, rozmięczona kopytami i kołami ziemia, na przedwiośniu i jesienią czarny bagnisty szlam – biegła wzdłuż muru parkowego, mijała kościół, zawadzała licznymi zakolami o każdą zagrodę. O wszelkiej pogodzie bawiły się na niej bosonogie dzieci wśród kwiczących prosiąt i gdaczącego drobiu; jedynie zimą, w dni surowych mrozów i głębokiego śniegu, dzieci pozostawały w izbach, a wówczas wszystko było jednakowo puste i ciche. W takie dni wrony tak niespokojnie kołowały nad wsią i polami, jakby poszukiwały zatopionego w śniegu i zatrzymanego koła czasu.

Jak tylko sięga pamięć ludzka i od czasu jak trwają w księgach kościelnych i w archiwach zapiski sporządzone w językach łacińskim, morawskim, polskim i niemieckim o losach tej ziemi:

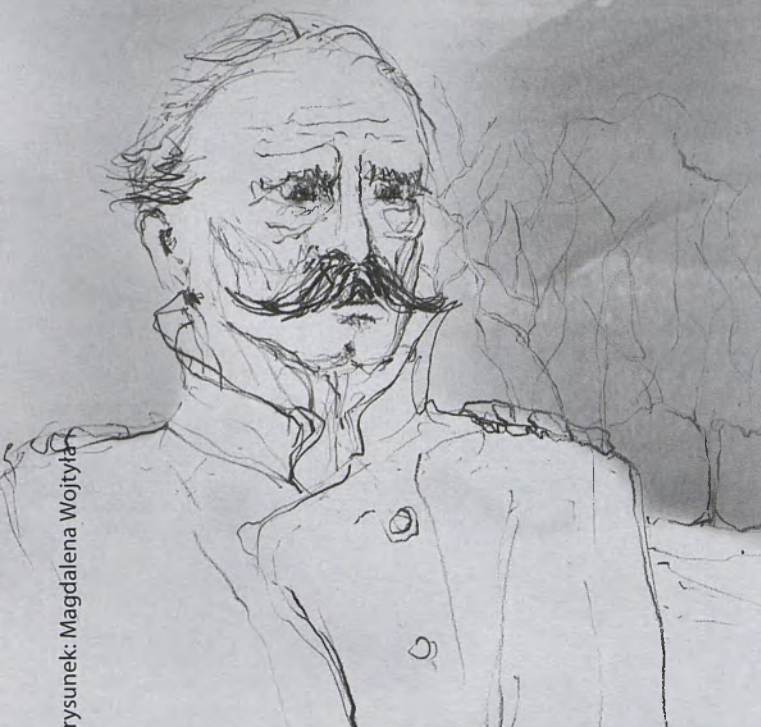


rysunek: Magdalena Wojtyła

w Łowkowicach zawsze mieszkały te same rodziny. Zmieniali się władcy, zmieniali się książęta piastowscy w Opolu, Oleśnicy, Wrocławiu, Legnicy i Brzegu, zmieniali się królowie i cesarze w Pradze, Krakowie, Wiedniu i w Berlinie: a chłopci i panowie łowkowiccy trwali nadal. Nurt dziejów biegł gdzieś mimo, w oddali, zalewając od czasu do czasu ten kraj; Ogorzelscy i Grusze, Wawrankowie, Cyrolowie i Kuszelni odbudowywali zniszczone zrobione ze słomy i gliny domostwa, z uporem i cierpliwie wykonywali swe prace. Tu się urodzili: żyli i umierali w tej samej miejscowości; jedynie dwór stał niekiedy przez całe dziesięciolecia pusty. Panowie Rewen-Silewski herbu Poraj byli zarządcami i oficerami, spali w wielu łóżach, walczyli w wielu wojnach; niektórzy umierali tam na obczyźnie, inni powracali na starość, wzbożaceni, do swych stron rodzinnych, a o wszystkich zapomniano. Pierwszy, który trwał jeszcze w pamięci, nazywał się Karl Moritz Stanislaus; opuścił w wieku dziesięciu lat Łowkowice, by jako kadet wstąpić na służbę króla Prus i zakończyć karierę w randze generała. Mając sześćdziesiąt lat, o czerwono-brzowej twarzy z wąsami, powrócił do swego majątku w ostatnich trzech dziesiątkach minionego wieku,

kazał wyremontować podupadły – przez ten czas równy okresowi życia ludzkiego – dwór i od tej pory w nim mieszkał. Przywiózł z sobą dwoje dzieci w wieku sześciu i siedmiu lat; chłopca i dziewczynkę, do tego angielską guwernantkę, która była ich wychowawczynią. Jego powrót dokonał się nieoczekiwanie. Nikt nie wiedział, czy dobrowolnie zrezygnował ze służby, czy też zwolniono go z niej w niełasce cesarza i króla. Tak więc wiele o nim mówiono; już ta dwójka dzieci dostarczała wielu tematów do rozmowy. Generał, opowiadano, ożenił się w podeszłym wieku z młodszą panną wysokiego rodu, która jednak po kilku latach uciekła od niego; inni wiedzieli jakoby, że podobno sam ją posłał do diabła, a łowkowiccy chłopcy słuchając, wierzyli we wszystko. Mieli ku temu wystarczające powody.

Gdy w umazanych gliną butach z cholewami, z laską w dłoni, z rozpiętą litewką nad owłosioną piersią szedł wśród zabudowań i pól, nikt nie powiedziałby, że jest już tak stary. Miał twarde, szare, nieco wylupiane oczy i prawie dwa metry wzrostu, szerokie, nieco zwisające ramiona kogoś, kto dźwiga worki, a przy tym łatwo wpadał w gniew, w dziekie ataki wściekłości, równie nieposkromionej jak



rysunek: Magdalena Wojtyła

jego śmiech. Gdy szalał we dworze albo cieszył się z prymitywnego żartu, wówczas można to było słyszeć aż nad Prosną. Nie zależało mu wcale na stosunkach sąsiedzkich z pobliskimi dworami, nadzwyczaj rzadko jeździł na polowania, a jeszcze rzadziej go odwiedzano; po pierwszych nieudanych próbach, gdy chętnych szybko odprawiono z kwitkiem na tarasie, nie garnęli się doń także wścibscy. Za to już od początku interesował go majątek; nie znał się wprawdzie na tym w ogóle, ale był ustawicznie na nogach, wypytywał chłopów i pacholków o najdrobniejsze czynności, niecierpliwie angażował się tam, gdzie brakowało człowieka do pomocy, lub gdzie praca ustawała. Pierwszej jesieni, gdy pola już zbierały od śniegu, kazał przywieźć sobie z miasta książki, a od Nepomuka, właściciela delikatesów, beczkę czerwonego wina i dwie kufy dubeltowej wódki; wieczorami siedział w swojej pracowni, pił i czytał. Aż do późnej nocy światło z okna przenikało przez zdziczały, przyprószony śniegiem park.

W tym czasie polecił młodej dziewczynie Wadzi Wawranek, której ukochany – woźnica Fryderyk Grusza – odbywał jeszcze służbę u wrocławskich kirasjerów, by zajęła się posługami domowymi. Wadja była bardzo piękna delikatną urodą chłopskich dziewcząt tego kraju, niezbyt wysoka, jednak smukła i o łagodnych kształtach. Miała szeroką smagłą twarz, gładko uczesane włosy, ciemne oczy z białkami, w których pływały niebieskawe światła. Miała wówczas dziewiętnaście lat, potrafiła

przyrządzić to, co stary lubił: ciężkie, ostro przyprawione dania, żur z dużą ilością grzybów i chudą słoniną gotowany na zacierze z chleba, karpie w pierniku i piwie, ociekające tłuszczem udźce baranie w wieńcu czosnkowych główek i nieustannie barszcz, polski barszcz z przefermentowanego soku z czerwonych buraków i z kwaśną śmietaną. Wadja gotowała; wcierała spirytus kamforowy w jego szerokie plecy i śpiewała mu swe piosenki; kołysanki, piosenki żołnierskie, piosenki o miłości, pobożne, smutne i dzikie – musiała śpiewać dużo piosenek. Generał nigdy nie miał ich dosyć, a w obcowaniu z Wadją nauczył się ponownie polskiego dialektu mieszkańców wsi, którym niegdyś jako chłopiec posługiwał się podczas rozmów z innymi chłopcami, a który stał się dlań obcy w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Wkrótce słyszano, że Wadja śpiewała swe piosenki z przyjemnością – i czy szła do zamku chętnie, czy nie, kobiety widziały po niej, że nie czuje się zbyt nieszczęśliwa; zaczęły krążyć nieżyczliwe plotki, szeleściły jadowicie jak jesienny wiatr w opadłym listowiu. Pewnego dnia garbata Koszelna wczesnym rankiem przyniosła kurczaki do dworu; wówczas Wadja wyszła z sypialni pana, nie mając pod koszulą niczego jak tylko swą białą gładką skórę. Nawet się nie zawstydziła; jej oczy były brązowe i lśniące jak naczynia z kamionki i pokazała rozeźlonej Kuszelniej swe białe zęby w uśmiechu. Była bezwstydną i szczęśliwą, bezwstydnie szczęśliwą i być może wierzyła, że zawsze już będzie tak, jak jest.

Ale wiosną wrócił woźnica Grusza, zakończywszy swą służbę u kirasjerów, dumny, wysoki mężczyzna, podoficer, a miesiąc później generał obojczy ożenił. Podarował im jako wiano trzysta marek w złocie, dorzucił jeszcze starą owczarnię z otaczającym ją sadem w północnej części parku; rozkazał, by tam mieszkali przez resztę życia i byli szczęśliwi. Sam wedle własnych przyzwyczajęń wszystko zarządził, rozkazał, by na wesele zabito cielaka i dwa barany, ufundował do tego trzydzieści litrów dubeltowej wódki. Ustalił, jakie pieśni nauczyciel wiejski winien grać podczas ceremonii zaślubin, i sam śpiewał dudniącym głosem: *Ośmielcie się o pobożni, a także Cudowny królu, władco nas wszystkich*. Dzięki takim przejawom łaski wesele było jak na stosunki wiejskie bardzo bogate; niczego nie brakowało i mimo nieśmiało podnoszonych zastrzeżeń pastora narzeczona miała na głowie zamknięty wieniec. Ku oburzeniu wszystkich nie okazała jednak wdzięczności. Nie śmiała się, nie promieniowała radością, miała czerwone plamy na policzkach i zapłakane oczy; Grusza miał wciąż złość na twarzy, nieporuszonej i sztywnej jakby z drewna. Generał siedział z groźnie zmarszczonym

czołem w ławce kolatorskiej koło kazalnicy; po nabożeństwie składał parze życzenia „stu lat” życia, jak to jest w zwyczaju. Rękę Gruszy przytrzymał dłużej w mocnym uścisku:

– Słuchaj chłopie – zaburczał – jeśli będziesz ją bił, wówczas poczujesz jej ból także na własnym karku.

Parobek wyprostował się; był niewiele niższy od generała, a jego oczy zaczęły słać groźne błyski.

– Jako że wasza ekscelencja daje mi za żonę to ścierwo, to wedle boskich przykazań staje się ona moją własnością, a ja mogę uczynić z nią, co zapragnę.

– Ja ci... – krzyknął generał i zacisnął potężną pięść, po chwili jednak znany wszystkim śmiech przetoczył się nad chłopskimi głowami.

– Właściwie – powiedział, śmiejąc się – właściwie masz rację Grusza. Rób z nią, co ci się podoba, to jej nie zaszkodzi. Jeśli jednak ją zabijesz, to mimo wszystko będziesz siedział.

Chichot przebiegł przez gęsty tłum, a narzeczona, piękna Wadja, stała na pylistej drodze z drżącymi wargami przed drzwiami kościoła. Pod wielobarwnym haftem polskiej sukni ślubnej wysklepiały się kształty jej ciała i wszyscy dostrzegli z gniewem, że była ciężarna. Gdy w świetle słonecznym z twarzą zwróconą ku ziemi szła za Gruszą przez tłum do gospody, dobiegły ją grubiańskie okrzyki i jadowite przekleństwa kobiet. Nie broniła się, a jej mąż nie zatroszczył się o to; nawet nie odwrócił głowy.

[...]

Generał umarł, mając ponad osiemdziesiąt lat. Był gorący lipcowy dzień, a on stał ze swym zarządcą na wąskiej trawiastej drodze przy bażanciarńi, tam, gdzie po lewej stronie przebiega ku Prośnie rów odwadniający. Wśród wzdychań i rozmów przeciągała przed nimi kolumna kobiet uzbrojonych w motyki ku pobliskiemu polu buraków. Wzrok generała obojętnie ślizgał się po nich, zatrzymując się raptownie na Wadii, która w milczeniu i z matowymi oczyma szła na końcu grupy.

– Postarzała się – powiedział z zadumą – a jednak jej nie zabiłeś, Grusza, co? Czas... czas... całkiem o tym zapomniałem.

Zarządca milczał. Z ponuro przymrużonymi oczyma wpatrywał się w ziemię; czubek buta wwierał w kępkę trawy. W pobliżu czternaście zaprzęgów bronowało kartoflisko; długie welony kuru wisiały w rozpalonym powietrzu.

– Czas...czas... – pomyślał głośno generał. – Była taka młoda..., a teraz jest starą babą...

Potrząsnął głęboko zdumiony głową i rozgniółł muchę końską, która opita krwią siedziała pod jego

lewym okiem; ssawka szarej muchy aż do ostatniej chwili była wczepiona w skórę. Kobiety oddaliły się i zniknęły za krzakami. W gąszczu bażanciarńi zatrzeszczały suche gałęzie, sikorka poderwała się do lotu. Na kartoflisku jeden z zaprzęgów pozostawał wyraźnie w tyle, para młodych koni podnosiła się i wierzgała w tył i w przód. Łańcuchy zaprzęgu lśniły i tryskały przez kurz oslepiającymi błyskami odbitego światła. Cicho dobiegało aż tutaj gniewne nawoływanie woźnicy. Zarządca jęknął i spojrzał na pustą drogę między krzakami, gdzie jeszcze przed chwilą widać było białą chustę.

– Czy śpiewa jeszcze swe piosenki, Grusza? – zapytał generał – Przypominam sobie jedną, to tak leciało: hmm hm hmmm dadana... albo nie, nie tak... pomóż mi Grusza, widzisz, ja też zapomniałem.

Krew uderzyła zarządcy do głowy. Ścisnął pięści i nagle odwrócił się całym tułowiem. Przed uszami, pod poplamioną czapką z płótna wiły się brązowe włosy.

– Ekscelencjo – zasapał załamującym się głosem. – Ach, panie, co też mówisz... ty psie...

Generał go nie słuchał. Wyprostował się, spoglądając uważnie na zaprzęgi poruszające się w polu.

– Patrz tam, zarządco – powiedział grubiańsko. – Brona, do diabła, brona! Moje piękne konie... Żeby tylko nie... o ty przeklęty drabie...

Gniewnie parsknął przez nos. Woźnica tam w oddali stracił panowanie nad swymi młodymi bułankami. Jeden zaprząg się wyrwał, pędząc w dzikim, nieuladzonym galopie ku drodze, skręcając w znanym sobie kierunku. Za nim wlokły się cugle i sprzęt. Brona, hamowana kępkami trawy, podskakiwała i opadała; ostre, długie na łokieć żelazne kolce groźnie zaślśniły przez chwilę nad mokrymi od potu końskimi grzbietami. Między rowem a gęstwiną, zajmując całą szerokość drogi, pędził zaprzęg w stronę obydwu mężczyzn. Generał zmarszczył czoło.

– Zatrzymaj je, Grusza – rozkazał – pokaż kirasjerze, na co cię jeszcze stać.

Zarządca zawahał się chwilę; a później rozpostarł ramiona i wyszedł powoli naprzeciw wibrującemu dudnieniu kopyt. Oparty na lasce generał pozostał w miejscu, szary jak kamień, ale wciąż ogromnego wzrostu i nieprzygarbiony. Zarządca szedł i szedł, lekkim, prawie tanecznym krokiem, luźny w biodrach, kołysząc ramionami szedł wciąż, a metr przed parszającymi nozdrzami odskoczył w bok, olbrzymim susem przesadził rów, wpadając w wysokie do bioder kwitnące zboże i jeszcze w skoku obejrzał się półobrotem do tyłu. Generał stał w miejscu i nie ruszał się; opuścił tylko łaskę, nie była mu już potrzebna. Na krótką chwilę zmierzli

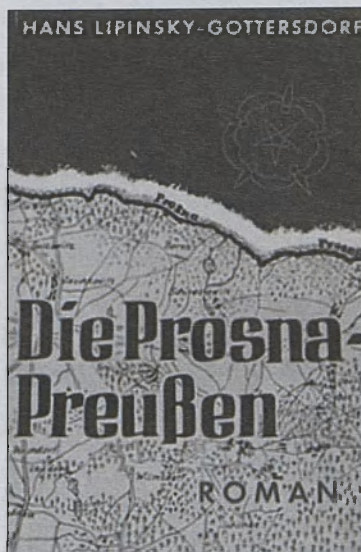
się wzrokiem. Dziki, nienawistny śmiech wykrzywił oblaną potem twarz zarządcy, ale i pan się śmiał, pogardliwym, bezgłośnym śmiechem, a później konie i brona przetoczyły się przezeń w kurzu, błysku łańcuchów, grzmocie kopyt i brzęku uprzęży.

Na klekocącym chłopskim wozie jechał po raz ostatni do swego dworu cesarsko-królewski generał leutnant, pan dziedziczny na Łowkowicach, patron na Lipinach, Karl-Moritz von Rewen-Silewski. Podścielono pod nim kilka worków, w dwu lub trzech miejscach juta lśniła czarną wilgocią; tam zbierały się szare i zielone muchy, trwały w bezruchu lub pełzały to tu to tam. W płócienniej poplamionej czapce jakby przyrośniętej do ciała kroczył za wozem zarządca, aż do parkowej bramy; przy wrotach porośniętych bluszczem skrzył i nie oglądając się, poszedł do swego domu.

Sobota Zielonych Świąt była w tym roku jasnym, przenikniętym blaskiem słońca dniem. Brzozy na skraju łąk nadprośnieńskich lśniły śnieżną bielą w jasnym jak woda powietrzu, a świąteczną ciszę przenikał dźwięk chorału dobiegający z olchowego wzgórza. Przybyło wielu ludzi, uniformy błyskały wśród czarnych garniturów, długimi rzędami stały powozy i bryki na drodze i w podwórzu. Pastor z Lipin pobłogosławił grób i przemawiał przyciszonym, pełnym żałoby głosem ponad godzinę; nikogo jednak nie było, kto by zapłakał.

Płakała jedynie żona zarządcy; płakała i modliła się przez całą noc. Jej mąż zbił ją za to i wypędził z izby; skulona, w progu za drzwiami oczekiwała poranka. Od dawna już nie mogła oczekiwać niczego dobrego. W ciągu pierwszych dwunastu lat swego małżeństwa urodziła dwanaścioro dzieci, później jeszcze czworo, ale jej łono już było pozbawione mocy: ostatnie przyszły martwe na świat. Zmarszczki i plamy pokryły wychudzone, zniszczone cierpieniem oblicze Wadii; jej piersi zwisały jak puste worki, a plecy garbiły się ku ziemi. Jej najstarszy syn rozpoczynał dwudziesty pierwszy rok życia; dawno już oddał woły i otrzymał swą pierwszą parę koni. Miał duże, szare oczy i najbardziej ze wszystkich dzieci podobny był do matki; ona też darzyła go pieszczotliwą miłością; on jednak niezbyt się o nią troszczył i chadzał własnymi ścieżkami.

Wadja przeżyła generała tylko o dwa lata; ciężka męzowska ręka zdusiła przed czasem resztki jej sił. W październiku, podczas deszczowego, ponurego wieczoru umarła na polu. Bez skargi pracowała



wraz z innymi kobietami cały dzień przy pieleniu buraków; ale gdy przed kolacją jeszcze raz poszła do domu, by przynieść kartofle z deputatowego pola jej męża, nie wróciła już więcej. Poszukiwania w ciemnościach trwały długo, zanim ją znaleziono. Upadła w bruzdę i leżała w niej w mokrych od deszczu sukniach, z ziemią w ustach i we włosach, obok do połowy wypełniony kosz. W blasku stajennych latarni nie rzucała się w oczy bardziej niż garść łętów. Zarządca Grusza roztrzącił swych synów, którzy w milczeniu przy niej stali, podniósł ją ostrożnie i zaniósł na rękach do domu. Opłakiwał ją bez hamulców i opamiętania

jak ranne zwierzę. Od tego dnia szybko się zaczął zmieniać i wkrótce stał się starym człowiekiem.

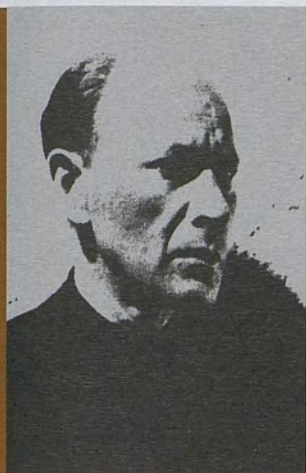
Wiele kobiet płakało przy grobie Wadii i rzucało ziemię na trumnę. Z powodu jej losu, a także dlatego, że przed laty jedna z młodych Wawrankówek utopiła się w Prośnie, mawiano potajemnie we wsi, że piękne dziewczęta z tej rodziny nie mają szczęścia; ich gorące serca zamarzają w świecie jak młode gołębie w śniegu.

Czas jednak przychodzi i odchodzi, a o Wadii zapomniano. W Łowkowicach nie zapomniano jednak o generale. Za życia był surowym i twardym panem swych ludzi, który poczynił wiele niesprawiedliwości i mało dobrego; lecz we wspomnieniach wszystkie te nieczyste cechy jego charakteru odchodziły w niepamięć; pozostało silne męskie oblicze, takie jak Bóg tego chciał, gdy je stworzył, a ludzie wybaczały mu, bez powodu, jak Bóg wybacza, ba, nawet zaczęli opowiadać o nim swym dzieciom, zaczęli go kochać jak fragment mrocznie połyskującej przeszłości. Był, mawiali, jak orły beskidzkie, krążące w jasne jesienne dni po niebie; brał to, co mu się podobało, i zginął też jak orzeł, padając okrwawiony w pył.

Na trawiastej drodze do bażanciarń, tam, gdzie zaprząg powalił generała, leżał wielki szary kamień, głaz ze szwedzkiego granitu, na którym wryto nazwisko i datę śmierci. Olga, synowa, znalazła kamień w parku; zamówiła kamieniarza i szła za sześciokonnym zaprzęgiem, który zawiózł głaz na miejsce.

przełożył: Wojciech Kunicki

Dziękujemy Alfredowi Theisenowi z Bergstadtverlag Wilhelm Gottlieb Korn z Görlitz za zgodę na zamieszczenie fragmentu powieści.



Monsieur Hans Bellmer

Godło kowadła i młota jest dosadne i trafne, zakorzenione w przeszłości. Ktoś je z niej wydobył i przedstawił do zatwierdzenia przez wizjonerów nowego świata: młyńskie koło napędzające kuźniczą aparaturę. To udana, męska i rzeczowa alegoria wykuwania nowego, choć wyrażająca też opresję bycia między młotem a kowadłem.

Ojciec Bellmera, bardzo przez swego syna zmitologizowany – i to w stylu przesadnie freudowskim – choć przybył z Nadrenii, był typowym mężczyzną tej okolicy, chcącej stać się bastionem siły, przeciwstawionej wschodnioeuropejskiej nędzy materii i ducha. Jego patriarchalny despotyzm okazał się jednak chybiony. W szkicu *Der Vater*, napisanym w 1936 roku, Hans przedstawia swe dziecięce i młodzieńcze lata jako proces zmagania z zasadą posłuszeństwa i ojcowskiego autorytetu. Aspołeczny syn wyrastał na zaprzeczenie swego rodziciela – pragmatycznej głowy rodziny, zamieszkającej w mieście (a przecież tylko mieścinie), której ciasnota przyprawia o ból.

Kojarzenie Hansa Bellmera z Katowicami, gdzie urodził się późniejszy ekstra-nadrealista i gdzie spędził kilkanaście pierwszych lat swego życia, można uzasadniać głównie tym, że to chyba lokalne okoliczności wytworzyły ciśnienie, które wypchnęło go tak daleko i tak wysoko. Katowice musiały pozostać na zawsze w jego świadomości więzieniem, z którego dokonał pomyślniej ucieczki.

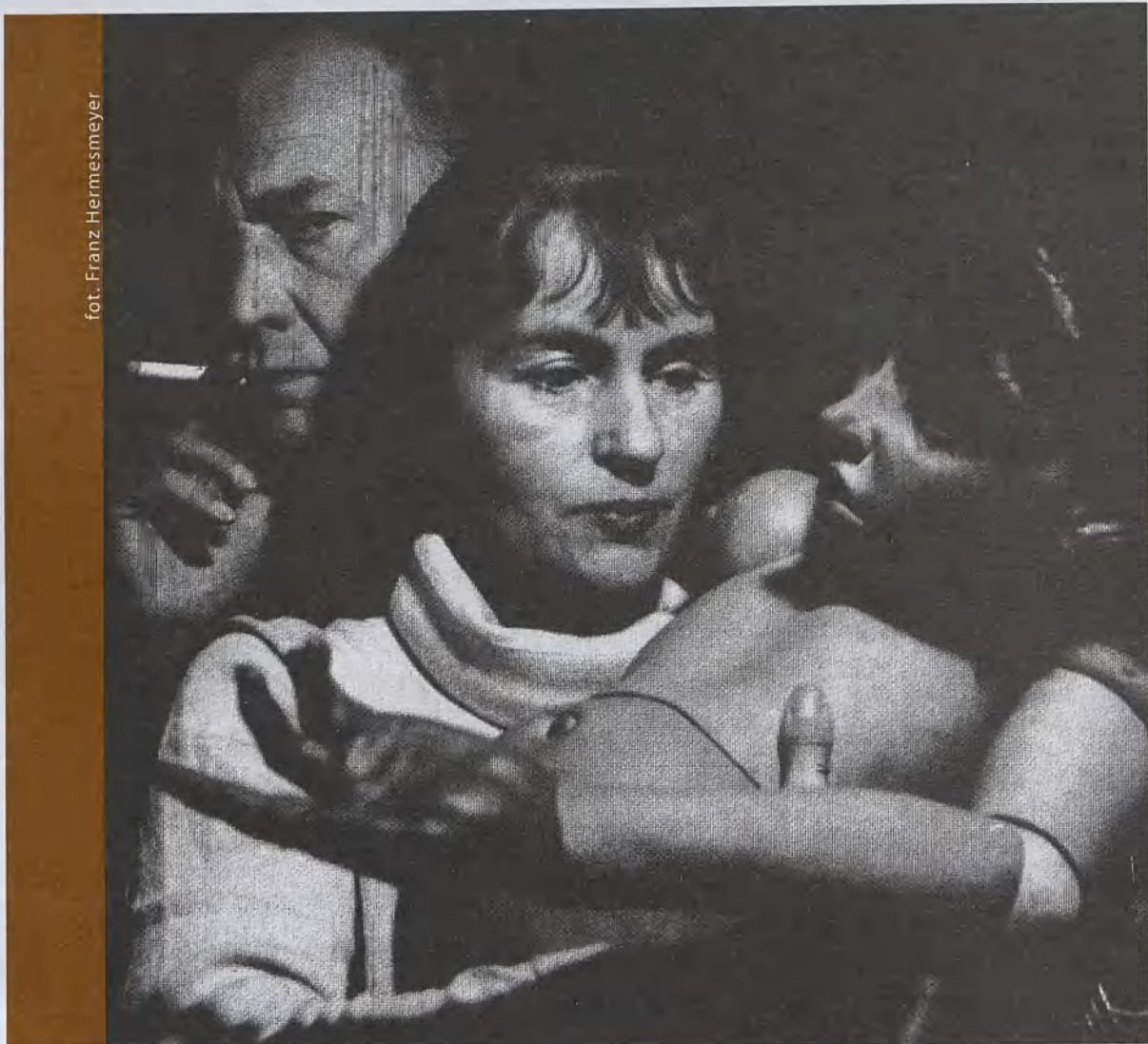
Trafnie to ujął Konstanty Jeleński w eseju *Bellmer albo anatomia nieświadomości*, pisząc, że dzieło

prawdziwie wyzwalające rzadko kiedy jest dokonaniem człowieka prawdziwie wolnego, przeciwnie, najczęściej rodzi się w umyśle człowieka udreźzonego przegrodami, które powstrzymują, udaremniają lub wynaturzają jego pożądanie. To praca więźnia, która żłobi wymyśloną drogę do wolności.

To nie tylko metafora, bo przecież pierwszy samodzielny krok artystyczny Bellmera, wystawa jego prac malarskich i rysunkowych w Katowicach (1922), zakończył się likwidacją ekspozycji i krótkotrwałym aresztowaniem młodocianego twórcy. Niewiele wiadomo o tym incydencie, ale sam fakt wystarcza, by uświadomić sobie pragnienie ucieczki na wolność. Dziwnym trafem to samo zdarzyło się dwa lata wcześniej w Bonn jego późniejszemu kompanowi Maxowi Ernstowi, którego wystawę zamknęła policja pod identycznym zarzutem naruszenia moralności.

Stan rzeczy sprzyjał pragnieniu ucieczki o tyle, że nobliwe i patriarchalne Kattowitz stało się miastem polskim. Dla buntowniczego młodzieńca perspektywa polityczno-narodowościowo-gospodarczego bałaganu, jaki pociągnęła za sobą ta nowość, mogła być nawet nęcąca. Ale Bellmer pozbawiony był chyba wrażliwości na barwę teatru ludzkiego,

fot. Franz Hermesmeyer



Hans, Unica i Lalka, rue Mouffetard, ok. 1955

na ludowe osobliwości, które otaczały miasta i miejscowości Górnego Śląska. Dla Hansa, dobrze zapowiadającego się krnąbrnego introwertyka, nagła zmiana dekoracji społecznej naruszyła krajobraz jego dzieciństwa, pełnego bolesnej tajemnicy. Domy, szkoły, zakłady pracy, ulice, ich nazwy, język ulicy, dosłownie wszystko stało się nagle karykaturą tego, co znał i wśród czego wyrastał. Wątpliwe zresztą, czy w tej nowo powstałej Polsce miałby szansę stać się późniejszym Hansem Bellmerem, szczególnym ulubieńcem papieża nadrealizmu André Bretona.

Należy pamiętać, że pierwsza wojna światowa, która w znaczeniu dosłownym nie dotknęła Katowic, miała jednak i tutaj swoje ofiary. Przyzwoci niemieccy i żydowscy mieszcianie utracili przywileje i poczucie tożsamości. Dotychczasowym gospodarzom miasta zmiana musiała wydać się katastro-

fą. Niemieccy Żydzi z niesmakiem przyjęli swych współplemieńców ze wschodu – z dawnej Rosji, czyli Kongresówki, czy Galicji, zaboru austriackiego. Obywatele upadłego cesarstwa niemieckiego rychno też odczuli nieprzychylną nową władzę. Doprawdy, nie było już tutaj czego szukać.

Ze swą rodziną Bellmer udał się najpierw do Gliwic, a następnie do Karlsruhe (Pokój) na ziemi opolskiej, by ostatecznie wylądować w Berlinie. Zaniebdał wymuszone przez ojca studia techniczne i zachłystnął się tam trucizną powojennej rewolty, sprzyjającej awangardowym ideom artystycznym. Nie tylko jemu jednemu słuszną reakcją na skompromitowany pruski dryl wydał się marksizm. A może tylko to, co za wzorem rosyjskiego bolszewizmu pod marksizm się podszywało? Także rewolucja w sztuce wydała mu się pociągającą perspektywą.

Mniejsza jednak o lata berlińskie i specyficzną edukację, jaką zawdzięczał kontaktom z Georgiem Groszem czy dadaistą Walterem Sernerem. Berlin różnił się od Katowic głównie skalą i wielkością, ale w obu duch policyjnie gwarantowanego ładu i porządku był taki sam. To nie było dla Bellmera miasto wolności.

Jak przedtem i potem wielu uwiedzionych przez sztukę Bellmer śnił o Paryżu. Jeździł tam wielokrotnie, aż po ten ostateczny raz w roku 1938, gdy po śmierci żony nic go już nie wiązało z Berlinem. Bo chyba o to chodziło najbardziej w tej wszechobecnej rzeczywistości, która – jak to radykalnie stwierdził – jest skandalem. O azyl dla intelektualnej odmienności i swobodę twórczej decyzji. Jednym słowem – Paryż.

Tak to sobie – mniej więcej – wyobrażam, na podstawie tego, co napisał on sam i jego biografowie, z wyjątkiem tego, co pozostaje tajemnicą. Więc pomińmy tutaj rozdział przygody wojennej Bellmera; jego internowanie jako obywatela Niemiec w słynnym obozie Milles w okolicy Aix-en-Provence (gdzie również, choć krótko, więziony był Max Ernst), jego ucieczki do Castres, niefortunne małżeństwo i ojcostwo, wraz z całym szeregiem komplikacji tamtego czasu. Przeskoczmy od razu w ostatnie lata jego życia, które spędził w Paryżu jako ceniony, choć niezbyt popularny (bo też popularność nie była jego celem) artysta *emeritus*, a także niesforna umysłowość, dobrze wpisująca się w aspiracje Bretona, również podstarzałego.

Paryż był wtedy żywym muzeum, w którym wszystkie eksponaty ramię w ramię sąsiadują z sobą i są z sobą na ty: Paul Eluard i Georges Bataille, Roger Caillois z Benjaminem Péretem, Jean Cocteau z Jeanem Marais i tak dalej. Tam Frédéric de Towarnicki mógł z nienacka zatelefonować do Denisa de Rougemont, aby namówić go na przeznaczoną dla „Elle” rozmowę o diablach. A ten, z racji poufałości, jaka ich wiązała, nie śmiał odmówić. Podobnie jak ja sam, gdy zaproponował mi, żebym dla tej rozmowy zrobił ilustracje. Bo Frédéric o każdej porze mógł wpaść do Jean-Paula Sartre’a, Michela Butora, Jean-Luc Godarda czy Maxa Ernsta. Bo wszyscy znali wszystkich, a Paryż wydawał się im całym światem.

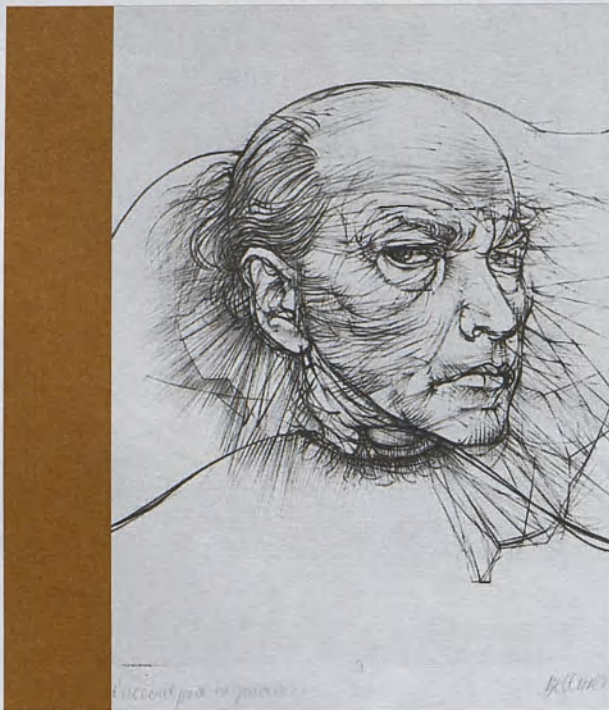
Aby wyjaśnić, jak poznałem Frédérica, muszę cofnąć się do Katowic, z których do Paryża pojechałem. Właśnie w Katowicach, skąd czterdziści osiem lat wcześniej tak chętnie umknął Hans Bellmer, rozpoczyna się przyczynowo-skutkowy łańcuch osób, które miały udział w moim wyjeździe. Dopiero co skończyłem studia i chciałem zobaczyć życie artystyczne w innym systemie politycznym.

Z pomocą dr Haliny Katz, świeżo upieczonej emigrantki, i jej rodziców – na podstawie fikcyjnego zaproszenia z Paryża – cudem (bo w tamtych czasach było to cudem) otrzymałem paszport. W Polsce dobiegała końca gomułkowska dyktatura, czego jednak nikt nie przewidywał, więc wielu uważało, że najrozsądniej jest znaleźć się na Zachodzie; uciec tam takim czy innym sposobem. Tak uczyniła kilka lat wcześniej moja znajoma Zosia (Sonia) Mierzyńska. Po dawnej znajomości przygarnęła mnie, ubożego rodaka, w skromnym paryskim apartamencie w dzielnicy Marais.

Pracująca w tygodniku „L’Express” Sonia знаła oczywiście wszystkich w Paryżu i może nawet była na ty z Coco Chanel. Jakkolwiek przybyła tam także z Katowic, była już pełnokrwistą paryżanką. To następna osoba w szeregu wspierających mnie duchów. Uważała, że rysunkami, jakie wtedy robiłem, powinienem zawojować cały świat, czyli Paryż, i nakierowała mnie na kogoś jej życzliwego w redakcji czasopisma „Les Pléiades” czy też „Plexus”, już nie pamiętam. I w tej redakcji akurat gościł zagadkowy nerwus, który rzucił okiem na te rysunki, wyciągnął mnie do pobliskiej knajpki i zaskoczył, oświadczając, że ma dla mnie poważne zamówienie. Dał mi numer telefonu i spodziewał się, że to potraktuję serio. A na dowód, że nie żartuje, natychmiast nabył za przywoitą cenę rysunek przedstawiający homunkulusa ukrytego w trumnie.

Trzeba było trafu, że jakiś tydzień później Sonia zabrała mnie do Olimpij na promocję książki *Ave Lucifér*, napisanej przez jej redakcyjną koleżankę i pisarkę Elisabeth Antébi. Wśród obecnych tam osób był również ów zagadkowy nerwus, którym okazał się być Frédéric de Towarnicki. Pewne idiotycznie ubarwione detale komitywy, jaka się między nami rozwinęła, znalazły się w tekście niegdyś opublikowanym w krakowskim piśmie „Na Głos”. Pisałem tam o faktach, które miały miejsce dwadzieścia lat z hakiem wcześniej i dziś wstydzę się, że zamiast docenić jego bezsprzecznie wielkie czyny, dałem wyraz niemądrym pretensjom. Tymczasem to Frédéric, zaraz po II wojnie światowej, był inicjatorem pojednania Martina Heideggera z Jean-Paulem Sartrem. Zdaje się, że wtedy nic z tego nie wyszło poza książkami, które o tym napisał. Ponadto Frédéric odbył rozmowy z Ernstem Jüngerem, z czego również powstała książka. *Aventures de Harry Dickson* – taki tytuł nosił scenariusz filmowy, który napisał dla Alaina Resnais. I tak dalej. Inna sprawa, że wtedy o tym wszystkim nie wiedziałem.

Tak, wszyscy się tam znali ze wszystkimi, a Frédéric miał chyba przyjemność w przybliżaniu mi paryskiego kosmosu. Pewnego dnia zabrał mnie do

Hans Bellmer, *Autoportret*, 1971

Maxa Ernsta (który mieszkał na południu Francji, a do Paryża zaglądał tylko w potrzebie), gdzie słowo Katowice, a raczej Kattowitz, okazało się zakłębciem, otwierającym zawory przestrzeni i czasu. Jeszcze tego samego wieczoru pojawił się jego kompan, którego nazwisko ani sława nie były mi znane. A to, że urodził się w Katowicach, nie mogło zagłuszyć tej niezwykłości, że jestem gościem wielkiego Ernsta, który wcale nie jest tak spiżowy, jak myślałem.

Wszystko co wiem o Bellmerze, poznałem dopiero kilka lat po tamtym spotkaniu, które pamiętam niedokładnie, jak w ogóle cały ten Paryż. Zatem pisząc wspomniany tekst, uciekłem się do bałamutnej stylizacji i gdy go dziś czytam, odnoszę wrażenie, że nie przynosi mi chluby. Ale pewne jego fragmenty muszę tu zacytować. Myślę, że przynajmniej oddają kilka szczegółów, których *de facto* było zbyt wiele. Nigdy więc nie rozstrzygnę wątpliwości, jakie wzbudziła we mnie lektura tego tekstu w jakiś czas po jego napisaniu. Czy Bellmer pojawił się u Ernsta, bo mieszkał gdzieś blisko, czy też byli umówieni wcześniej? Czy to nie Frédéric, zostawiając mnie z gospodarzem i nie bacząc na to, że był porządnie zawiany, przywiózł Bellmera swoim samochodem?

Nowy gość – jego nazwisko nic mi wtedy nie mówiło – to Hans Bellmer. Poruszał się jak kot dotknięty

reumatyzmem. Miał spojrzenie podstarzałego spiskowca. Niewątpliwy Niemiec. Trudno byłoby nazwać jego maniery kordialnymi. Przyglądał się uważnie Frédiowi i mnie, jakby zamierzał rozpocząć formalne przesłuchanie. Aż tu nagle dowiaduję się, że... Bellmer urodził się w mieście, z którego przyjechałem do Paryża... jest katowiczanie. Katowice. Kattowitz. Oberschlesien. Nie zaskoczyło mnie to aż tak bardzo, jak odkrycie w pamiętnikach Geneta, że w 1938 roku, gdy uciekał z Czechosłowacji, trafił do więzienia w Katowicach [...] O wielkości Geneta wiedziałem choćby poprzez Sartre'a, wiele. O wielkości Bellmera nie miałem pojęcia... Roztkliwił się. Przestał się nam przyglądać podejrzliwym wzrokiem. Ernst klepnął go raz czy dwa po plecach, tak jak to tylko Niemcy praktykują. Może chciał tym sposobem wypędzić z Bellmera resztki prokuratorskiego zacięcia. Jestem z Katowic – powiedział Bellmer, a ja nawet bez zaglądania mu w metrykę urodzenia wiedziałem, że w jego czasach przynajmniej co drugi mieszkaniec Katowic był Niemcem.

Po latach, gdy stopniowo uświadamiałem sobie, co właściwie miało miejsce tamtego jesienno popołudnia, dowiedziałem się, że w 1970 roku Bellmera dotknęło zdarzenie, które musiało zostawić głębokie ślady psychiczne: Unica Zürn, od sześciu lat jego towarzyszka, popełniła samobójstwo, wyskakując z okna. Jak dowiaduję się z literatury, stało się to rankiem 19 października. Według notatki w moim kalendarzu wizyta u Ernsta miała miejsce około połowy tego miesiąca. Nie przeceniam jej dokładności, bo tuż obok znajduje się inna o manifestacji Jean-Paula Sartre'a, który żądał uwolnienia lewaka Alaina Geismera, wymachując czerwoną książeczką towarzysza Mao. Ale manifestacja miała miejsce z początkiem października. Nieważne. Niepokojące jest już samo wyobrażenie, że za kilka dni miało spotkać Bellmera dramatyczne wydarzenie. Napisałem „poruszał się jak kot dotknięty reumatyzmem”, żeby po przeszło dwudziestu latach dowiedzieć się, że to wylew spowodował częściowy paraliż Bellmera i zaburzenia w jego ruchach.

Jeszcze inna kwestia, nad którą zachodzę w głowę, to języki, jakie były wtedy w użyciu: Francuski Bellmera był chyba niewiele lepszy od mojego. Ernst sporadycznie korygował jego błędy, choć moje nie robiły na nim żadnego wrażenia. Podsuwał mu stosowne słowa. Czasem na krótko wdzierał się w ich rozmowę niemieckimi... Więc Bellmer opowiedział swoją karkołomną francuszczyzną, jak to z powodu starczej czułości i dawnych sentymentów prawie każdej nocy śnił mu się Katowice..., a widział je po raz ostatni jakieś pięćdziesiąt lat temu, gdy wyruszył do Berlina. Były dla niego znienawidzoną prowincją, pipidową, gdzie żadne zdobywanie świata nie

wchodzi w grę. Uciekając – bo to była ucieczka – czuł się szczęśliwy. Podobne szczęście, po latach, odczuwał uciekając z Berlina. Mógłby ewentualnie przeżyć to szczęście raz jeszcze, uciekając z Paryża. Ale dokąd? Dokąd można uciec z Paryża?

Nie mogę przysiąc, że rzeczywiście padły takie słowa. Na równi z chęcią rozumienia, chciałem być rozumiany, ale – obawiam się – każdy tam rozumiał jedynie siebie, jak to w Paryżu. Przez kilka miesięcy nie opuszczało mnie wrażenie, że tkwię po uszy w zdarzeniach, które nie były zwyczajne. Przez cały czas byłem jak gdyby na osobliwym rauszu (zresztą, nie-rzadko dosłownie) i wszystko było zbyt niezwykle, by to po prostu rozumieć:

Ale cóż to mogło obchodzić Fredzia... lub Maxa Ernsta, który już należał do nieśmiertelnych. W tym towarzystwie tylko Bellmer i ja, gdyby nie ta nasza francuszczyzna, mogliśmy dyskutować to dziwne poplątanie ludzkich losów w świecie, który znajduje się na antypodach Paryża. Ale też „moje” Katowice nie mogły być

tym samym co jego. W naszym stuleciu różnica dzielących nas trzydziestu lat liczyć się musi co najmniej podwójnie.

Doprawdy, sam chciałbym wiedzieć, czym to wszystko było i jak naprawdę wyglądało. Czy w ogóle byłem w tym Paryżu? Z całą pewnością jednak jakiś czas później znalazłem się w Katowicach, realnych jak nic na świecie. A jak się mają do siebie te dwa miasta, to wyraża opisane zdarzenie.

Chyba już pierwszego dnia po przyjeździe do Paryża udałem się pod adres byłej żony mojego przyjaciela z Katowic, Zbyszka Uramowicza. Tamarę, z którą w jednej parze przystępowałem do pierwszej komunii w katowickim kościele Mariackim (wtedy jeszcze była Zieleniakówną), mieszkała



Hans Bellmer, *Połowa Lalki*, 1972

przy rue de la Glacière pod numerem, zdaje się, 36. Bardzo charakterystyczny, nowoczesny dom. Niestety, nie było jej. Bawiła gdzieś w Afryce.

Ostatniego lub któregoś z ostatnich dni w Paryżu chciałem odebrać od Frédérica należne mi pieniądze. Nie mógł wyjść z domu, więc pojechałem tam po raz pierwszy. Gdy wysiadłem z taksówki, okolica wydała mi się (ale skąd?) znana. Dopiero później, gdy gawędziliśmy przy winie, przypomniałem sobie. To była właśnie rue de la Glacière 36. Naturalnie, że Frédéric dobrze znał Tamarę. Twierdził nawet, że w związku z Katowicami mówił mi o tym u Ernsta. Dałbym głowę, że nic takiego nie było. ■

Henryk Waniek – malarz, grafik, pisarz, publicysta, krytyk artystyczny i literacki, znawca filozofii i literatury mistycznej

Ojciec

Ten dom, w którym życzliwie przenikały się epoki koziego gnoju i żarówki, ten kiepski dom był przecież jakimś schronieniem, a jego rozległość oferowała swego rodzaju skupienie.

To oczywiste, trzeba było co jakiś czas rzucić okiem w głębie skrzyń i starych rupiec, w których piętrzyły się pozostałości wydarzeń, latami układające się w geologiczne warstwy, a w końcu pałące słońce najlepszych miesięcy lata przenosiło naszą obecność na dach, pomiędzy komin a dymnik, z dala od poczucia powszedniości. Wraz z bratem nie mieliśmy szczególnych trudności, aby owocnie wykorzystywać także i te okoliczności, które nie były przyjemne.

Lecz z radością wspominam tylko te dni, które nie łączą się z zimnym cieniem tego, który promienności naszych zabaw, być może hermetycznych, czyni obrzydliwością, tego, którego stopy obute w grube buciory bezlitośnie rozdeptywały nasze miejsce zabaw, tego, który nie umiał ograniczyć władzy ojca w ramach przyjętego mieszczańskiego obyczaju.

Oczywiście, jego zachowanie wspierał pretekst kształcenia, wyrabiania posłuszeństwa i nadzorowania pilności. To jasne, że mimowolnie pojawiło się pytanie, na ile wpływało ograniczenie reprezentowanej przez niego klasy, która nie dostrzegała, jak takie przerywanie zabaw jest szkodliwe dla dobra i poczucia zrównoważenia.

Naszym wyostrzonym dziecięcym słuchem wyczuwaliśmy w jego zachowaniu zająknięcia się i poślizgi również wtedy, gdy nie nas dotyczyły. Jakiś może nawet nikczemny, ale poprzez to bardziej wzniosły znak swobodnej i nieumotywowanej woli, mniej by rozczarował nasze wyobrażenia o możliwościach ludzkiej wielkości niż to odwoływanie się do tanich wzorców.

Wcześniej nauczyliśmy się bronić, a nawet więcej. To, o czym myśleliśmy, zgrzytając zębami, trwało nawet we śnie: bunt, obrona, atak. Na jego szali spoczywał ciężki tłuszcz martwego serca i pełne jelita kasty dorobkiewiczów, na naszej nieuszkodzony instynkt i nieomylna strategia niewinnego dziecka. Każda broń była dla nas dobra, nauczyliśmy się symulować działania pożyteczne, aż stawały się skandalicznymi, aż ich skandaliczność przeistaczała się w patetyczną odrzę. Potrafilimy stać się wszystkim: gumą, brudem lub szkłem, drutem żelaznym lub miedzią. W istocie wyglądaliśmy raczej miło, bardziej dziewczęco niż groźnie, czego przecież pragnęliśmy. Chodziło przede wszystkim o to, aby wywabić bestię z jego pozycji w zastawione sidła. Dosięgaliśmy go nawet dziecinną piosenką, która wraz z jego nieoczekiwanym pojawieniem się nagle gasła podług naszej woli. W naszym cierpieniu tkwiła obelżywa drwina ułamków szkła; z jasnym wycuciem kwaśnej ironii, udając wzburzenie, opluwaliśmy i plamiliśmy wszystko. Wreszcie ułaskawienie od ojcowskiej zasady zbudziło nas swym pocałunkiem. Nadszedł czas, nauczyliśmy się obłudy. I pozostało nam jeszcze do osiągnięcia ostateczne szczęście. Atakowaliśmy bez wytchnienia aż do pierwszego wylewu krwi. Byliśmy niedosięgli.

przełożył: Andrzej Urbanowicz



Hansi

(fragmenty)

Pułk był zgrabnym tworzywem pułkownika Siegenbacha, który od przyjazdu do Kattowitz był już von Siegenbachem, należał do najmłodszych oficerów korpusu cesarza Wilhelma II. Nie pamiętał wojny francuskiej, chociaż francę złapał, będąc jeszcze porucznikiem w Strasburgu. Siegenbach nie lubił Francuzów, trudno się dziwić, franca była chorobą brzydką, chociaż typowo żołnierską. Siegenbach się wstydził, a jako taki był człowiekiem rykliwym, bo armia pruska miała drugie miejsce w Europie, jeżeli chodzi o rykliwość, po Rosjanach oczywiście. Rosjan Siegenbach też nie lubił, tak więc przyczyn do wybuchu Wielkiej Wojny było aż nadto. Żołnierze, na których się dra, muszą iść do walki, bo inaczej zgłupieją i staną się socjalistami. Wedle Siegenbacha wojna wisiała na włosku, pogląd ten podzielał Hansi, jego napięcia seksualne były tak wielkie, że coś musiało wybuchnąć.

To byłem ja, Hansi, mówiący o sobie w pierwszej osobie czasu przeszłego. Stawałem się dwuznacznym człowiekiem, którą to skórę narzucił mi ojciec, a nie żona pułkownika Siegenbacha. W związku z tym czuję się zwolniony z dwuznaczności, w którą to, co podkreślam z całą siłą, wsadził mnie mój ojciec. Dziewictwo jest pozbawione dwuznaczności, a erotyzm jest przyrodzony jak przyrodozienie i nic w tym dwuznacznego, patrząc na to z perspektywy lat, to wszystko, co się stało, to też nie była wina żony von Siegenbacha. Ja rozbudzony – wcale niedwuznacznym erotyzmem młodzieńca, na poły swawolnego, na poły zachwyconego. A to co się wyrabiało, to był czas inicjacji na każdego

przychodzący, a ten być może przyszedł później, ale że niechybnie nadchodziły dziejowe burze to i chłopcy rozwijali się szybciej, aby jeszcze mogli polec na przyszłej wojnie.

Park w Pless był tak piękny, że nie widziałem nigdy piękniejszego, chyba że był to Süd Park, w którym moje zaspanie budziły dopiero jedynie promienie, gdzie widziałem górników idących na szychtë do Oheimgrube albo wracających z ognikami lampek. Tak było kiedy wyslizgiwałem się z domu przed świtem. Górnicy byli brudni, wyjeżdżali z głębi ziemi i szli do swoich domów kąpać się. Cesarza chyba w Pless nie było, pułkownik von Siegenbach patrzył na swą żonę z przyjemnością właściciela pięknej klaczy, tak mi się w każdym razie wydawało. Tedy patrząc na kształt nawoskowanych wąsów pułkownika, widziałem go, jak całuje żonę, co wydawało mi się absolutnie niemożliwe, wszak Irmina była delikatna tak bardzo, tak słodka i tylko jej połączenie z feldgrau Jurgena zabijało we mnie poczucie piękna, ale już wówczas wiedziałem, że wszak piękno bez brzydoty staje się odpychające, lepkie, słodkie.

– Hansi – głos Jurgena von Siegenbacha uderzył mnie w ucho. – Tylko wojsko mój drogi Hansi – wojsko – zarygłował moje ucho zupełnie – daje mężczyźnie absolutne szczęście. Dawno nie wojowaliśmy, gnuśność zżerała nasze dusze.

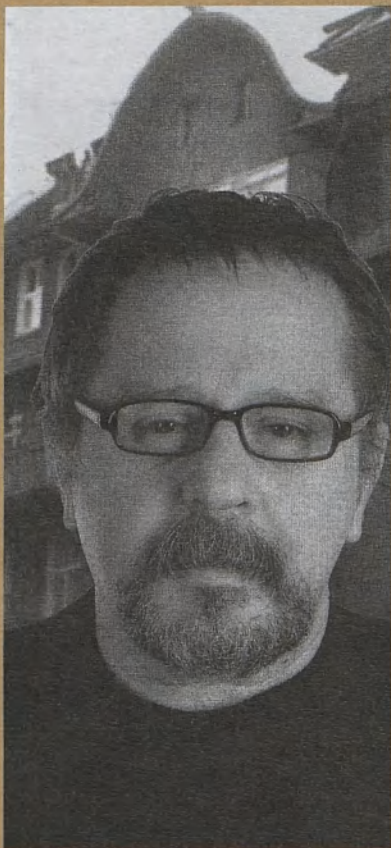
Irmina wyglądała na uszczęśliwioną. Jorgen będzie miał to co chce – myślała.

Jarosław Maria Lewicki (1948–2011) był katowiczanie z urodzenia i zamiłowania. W młodości studiował prawo i dziennikarstwo. W 1980 roku należał do grona inicjatorów Komitetu Odbudowy Muzeum Śląskiego w Katowicach. Jako pisarz objawił się późno, dopiero w latach osiemdziesiątych, najpierw na łamach śląskiej prasy. Potem wydał trzy książki prozatorskie: *Antrakt. Opowiadania katowickie* (1998) oraz powieści *Decadence* (1997) i *Sługa dzielnicy* (2002), które najchętniej odtwarzały klimaty katowickie z okresu powojennego.

Przez niemal dekadę (w okresie 2003–2010) redagował nieregularne czasopismo „Kościszki i okolicę...”, poświęcone najczęściej modernistycznej dzielnicy południowej Katowic, którą nazywał Nowym Miastem. Wydał bodaj 21 numerów charakterystycznego (w tonacji sepii) gazetowego pisma propagującego modernistyczną architekturę i w ogóle zagadnienia architektury i urbanistyki (wraz ze Stowarzyszeniem Architektów Polskich w Katowicach).

Na jego łamach opublikował także kilka fragmentów powieści o katowickiej młodości Hansa Bellmera (1902–1975), której nie zdążył wydać w postaci książkowej. Zmarł 7 listopada 2011 roku. Zapewne powieść *Hansi* traktował jako najważniejszą. Nie mogło być inaczej, skoro przez wiele lat mieszkał w kamienicy przy ulicy Kościszki 47, w tej samej, w której na początku XX wieku mieszkał przyszły sławny surrealista Bellmer. Zafascynował się nim tak dalece, że nawet ufundował poświęconą mu tablicę pamiątkową (odsłoniętą w 2008 roku na bocznej ścianie kamienicy).

Przy tej okazji opowiadał chętnie o swej powieści o Bellmerze: *Chciałbym stworzyć portret dojrzewającego chłopca, który w skrajnie trudnych warunkach zaczyna wchodzić w istotę sztuki. To już w latach chłopięcych zaczyna się kształtować przyszły skandalista Hans Bellmer. Powieść rozpoczyna się w 1914 roku, w pruskich jeszcze Katowicach, wchodzących w lata Wielkiej Wojny. Drukujemy z niej kilka fragmentów odnoszących się do wspomnianego czasu.*



JFL

– Nie, ja nigdy, ależ tak pułkowniku, chciałbym być żuawem śmierci i zginiąć za cesarza, choć jak mówił mój ojciec, to szczęście mnie jeszcze nie spotka.

Pułkownik Jurgen von Siegenbach został moim przeciwnikiem erotycznym, co mi się podobało i chciałem go poniżyć, wywyższając jego głupotę. Zresztą żołnierze są podobni do mojego ojca, opowiadał nam o swoich bojach w wojnie burskiej. Nie wiem dlaczego, nie znośli Anglików. Ale pojechał na wojnę, zaciągnął się, może uciekał, bo wtedy ja miałem się urodzić, prawdopodobnie nie lubił mnie i mojej matki. Jurgen klepnął mnie w ramię:

– Hansi, idź z Matyldą do parku, tam jest dla was obiad.

Popatrzyłem na Irminę, zrobiło mi się miękko i pomyślałem o mojej biednej matce. Była brzydka i ojciec był brzydki, a ja byłem ładny.

Matylda położyła rękę delikatnie na mojej głowie, wówczas stwierdziłem, że kobiecość jest kłista, w okrągłym przytulającym ruchu ręki wyczuwało się opiekuńczość, obok zaś armia, coś na kształt mechanicznej lalki z ruchami kancystymi pozbawionymi wszelkiej czułości. Jurgen von Siegenbach schodził w moich oczach pod poziom człowieczeństwa, tak jak mój ojciec, który miał w wojnie burskiej, w której dziwnym trafem uczestniczył, trzech czarnych służących do posług zwykłych i dwie czarne służące im do zabaw erotycznych. Po latach się tego wstydził i wówczas prał mnie po gębie i krzyczał:

– Hansi ty obłokszałtny zewłoku! – co mnie doprowadzało na skraj apatii, bo cóż miałem robić, był silniejszy ode mnie, brutalny i miał sztywną nogę, w której tkwiła brytyjska stalowa kula. To chyba zatem ten kawałek stali w nim osadzony i nieprzeparta chęć do czarnoskórych kobiet stworzyła mi ojca, który tak naprawdę nie lubił wszystkiego, co stworzył Bóg.

Pod pergolą w parku podano ananasy z bitą śmietaną i bezami,

posypano to wszystko wiórkami z czekolady, do tego była limoniada w kryształowych dzbankach i woda sodowa w syfonach. Była więc wojna, Hansi obserwował swoich rówieśników, którzy jak gdyby nie dostrzegali wojny, a Hansi wiedział, bowiem oficerowie i żołnierze mieli feldgrau kapy na pikielhau-bach. Wszystko więc było piękne. Ananasy okazały się lodami ananasowymi, a te białe bezy były lodami, których środek był tiramisu. Hansi siedział i wsłuchiwał się w park, który brzmiał głosami prawie już jesiennych ptaków. Tylko krzyki pawy były trochę drażniące. Wydarzenia ostatnich godzin były gwałtowne. Uświadczenie męskości to było za wiele. Oszałamiające wizje drżały pod powiekami jak obrazy filmowe, które widział w kinoteatrze Rialto u początku Beatestrasse. Te jednak były nasycone zapachami pułkownikowej. Było chyba trzy kwadransy na piątą, gdy dały się słyszeć od strony wschodniej głuchoe wybuchy, czy to była burza na jasnym sierpniowym niebie? Od strony pałacu dały się słyszeć ostre dźwięki trąbki. Za niejaką chwilę szwadron ułanów galopem ruszył chyba w kierunku wschodnim, skąd nadbiegały grzmoty. Tak tedy Hansi stawał u początków wojny. Szwadron zwartym szykiem przegalopował koło nic niewiedzących dzieci.

Irmina von Siegenbach i Matylda biegły w kierunku zaparkowanego landa. Pułkownik ostrym, acz spokojnym głosem powiedział:

– Pojedziecie automobilem do Kattowitz – pogłaskał głowę Hansiego, pocałował w policzek Irminę i już jechali w kierunku Tychów. Podróż do domu zajęła im niecałą godzinę. Automobil prowadzony przez żołnierza ostro brał zakręty. Pszczyńskie lasy oddalały się. Musieli trochę czekać na przejeździe koło kolonii Zuzanny, bo tam przetaczano pociąg, taki którego jeszcze nie widział, nie miał okien, był szarozielony i z otworów wystawały lufy. Pociąg był zatem wojenny. Gdy przejechali, za nimi odezwało się stęknienie, znów świst, a potem huk wystrzału. Tak zatem wojna nabierała gwałtowności. Obrazy i zapachy stawały się jeszcze bardziej intensywne, ręce Irminy i Matyldy opiekuńczym ruchem objęły głowę Hansiego. Pod dom przy Beatestrasse przyjechali na skraju zmroku. Boazeria z czarnego dębu odbijała w ostatnich promieniach słońca witraże, które przenosiły postacie Irminy i Matyldy na drugie piętro pokryte tatuażami witraży. One były piękne. Tak jak dla Hansiego pięknie rozpoczęła się wojna.

– Przyjdź jutro – powiedziała Matylda.

Irmina odwróciła się dość gwałtownie – tak, tak, Hansi, musimy cię narysować, zwłaszcza ja chcę cię narysować, chłopcy powinni być rysowani, tak zresztą jak dziewczęta. Tak, Hansi, musisz

przyjść, czy mam wysłać Matyldę z listem do twojego ojca?

Irmina miękkimi pastelami rysowała zdecydowanymi pociągnięciami kredki. Hansi utrwalał się, Matylda stała z boku, przypatrując się pracy Irminy. Czyż ta wojna nie jest szczęściem? Ona sama z Irminą i tym zachwycającym chłopcem. Takie zdarzenia układały się w Matyldowy obraz wojny. Wojna jednak rozwijała się zgodnie z logiką. Przecież po coś wysyłano tych młodych ludzi, Matyldzie podobał się Hansi, ale ten chłopiec nie dla niej, prawdopodobnie również nie dla Irminy, chyba więc jest zabawką, jaką zesłał los, tu, na Beatestrasse. Buduar Irminy nasycony przyspieszonymi oddechami kobiet zdawał się Hansowi przedsionkiem nieba. Do tej pory z chłopięcą naiwnością nie rozróżniał płci, było mu obojętne, kto jest kim. Od czasu spotkania Irminy wszystko było inne, kobiecość, której w domu nie dostrzegał, zaczęła go zmieniać, to była wyraźna przemiana, którą dostrzegł w sobie. Kobiecość była słodka, zwłaszcza ta, która była piękna, a Hansi miał do tego podejście klasyczne, tak mu się przynajmniej wydawało, kobiety piękne to były takie, które mu się podobały. Słodycz zatem wynikała z piękności. Ale przecież Matylda była inna, inna niż Irmina, ale też piękna. Stojąc nagi, oparty o kawałek, zastanawiał się nad słodyczą i pięknem. Tak minęły prawie dwie godziny. Irmina rysowała nadal. Na kartonie był Hansi, zupełnie nagi i zupełnie piękny. Kobiety malują mężczyzn z czułością albo z całą brutalnością, którą kiedyś od nich otrzymały. Irmina była przecież ordynarnie traktowana przez von Siegenbacha. Uczucia takich kobiet nie dojrzewały nigdy, kochały się w efebach, miały zwiewne lesbijskie przygody. Tęsknota za harmonią i sztuką, która też Irminie wydawała się jednością, tworzyła kobietę ozdobną, tak w każdym razie wydawało się to Siegenbachowi. Irmina skończyła portret Hansiego. On do tej pory nie widział siebie. Swojej istoty piękną młodego proporcjonalnego ciała. Irmina odwróciła sztalugi w kierunku Hansiego, stanęła naprzeciw niego i silnie uderzyła go w twarz. Powtórzyła to z drugiej ręki. Matylda stała skamieniała. Hansi poczerwieniał, popatrzył na swój portret, gwałtownie pocałował w rękę Irminę von Siegenbach. Tak zatem sztuka w życiu Hansa posiadała namiętności, której istoty Hans sobie do tej pory nie wyobrażał.

Matylda zrobiła obiad. Kurczaki po wiedeńsku, takie niewielkie, w całości pieczone, podobnie jak kuropatwy, z olbrzymią ilością zielonej sałaty zalanej śmietaną z cukrem i pieprzem. Sałata podkreślała doskonałość młodego pieczystego. Rumieńce



fot. Katarzyna Jeruszka

Kamienica stoi przy ulicy Kościuszki 47 (wtedy Beatestrasse), róg Rymera

po razach dalej dodawały Hansiemu uroku zmęczonego biegiem sportowca. Irmina jadła kurczaki palcami, wyłamując niewielkie kości ptaków, robiła to dość gwałtownie.

W tym czasie pułkownik von Siegenbach na czele żuawów śmierci wkraczał do Sosnowca. Marzył o szarży na czele swoich szwadronów, ale nic z tego nie wyszło. Rosjanie uciekli, a mieszkańcy z ciekawością patrzyli na kawalerzystów w czarnych mundurach, z wielkimi trupimi czaszkami na czapkach. Nagle z bocznej ulicy zabudowanej niskimi parterowymi domami, na niewielkich koniach poja-

wili się Kozacy z esauem na czele. Uderzenie w bok szwadronu Siegenbacha było gwałtowne, żuawi nie potrafili odwrócić swoich wielkich hanowerów tak, by stawić czoła Kozakom. Przejeżdżający łeb w łeb esau puścił z temblaka swoją szaszkę, która końcem główki dotknęła lewego oka von Siegenbacha, ono oko niczym galareta z nóżek na słońcu wypłynęło z oczodołu. Kozacy przemknęli obok rozbitego szwadronu żuawów, cicho, bo ich konie miały gumowe podkowy. Wówczas już jednooki pułkownik von Siegenbach za pomocą kozackiej szaszki został kawalerem orderu Pour le Mérite.

Wszystko to działo się szybko, zupełnie odwrotnie niż cała ta Wielka Wojna.

Irmina von Siegenbach czuła się zmęczona, po obiedzie wypła kieliszek Johannisberga, lubiła to reńskie wino, było delikatne. Matylda położyła na szeslongu Hansiego, który po obiedzie błyskawicznie zasnął. Wrażenia tego dnia były niezwykle mocne. Matylda przykryła chłopca adamaszkowym prześcierałem. Irmina kazała Matyldzie zrobić sobie masaż. Zmęczenie i podniecenie łączyło się u Irminy w stan prawie euforyczny, chciała i musiała to zmienić. Matylda uwielbiała, gdy Irmina rozbierała się, ciało jej było dojrzałe doskonałością, która trwa niezwykle krótko, tak, to ten czas, którym kobiety chciałyby objąć całe swoje dojrzałe życie.

Szwadron żuawów wyciągniętym kłusem wycofywał się przez Mysłowice i Bieruń do Pless. Kontuzjowany pułkownik miał lewy oczodół zakryty białą chustą, która przesiąkała krwią. Wojna więc zaczynała się konkretyzować, a straty były prawdziwe. Czy von Siegenbach martwił się utratą lewego oka, niewątpliwie tak, ale równocześnie widział się z jed-

nym wszakże okiem w sztabie w Pless, jak stoi przy stole operacyjnym z czarną opaską na oku i orderem Pour le Mérite na piersi. Tak powinien wyglądać prawdziwy oficer sztabowy. Nikt nie mógłby zarzucić, że jest dekwizorem. Czarna opaska i order to wszak przepustki do sławy.

Matylda delikatnie masowała brzuch i uda Irminy, które się rozchylały i przechodziło przez nie rytmiczne drżenie. Matylda oddałaby wszystko za ten widok pięknej kobiety, która zachowuje się instynktownie, to takie drażniące matyldowy dotyk i wzrok. Westchnienia Irminy były jakby szybsze. Hansi śnił o nagości pułkownikowej, te grzechy lubieżności były tak fascynujące, że cała jego młodzieńczość gwałtownie nabierała rozpędu. To wszystko dzieje się tak szybko, dławiąco. Tak tedy Hansi przeżył pierwszą zmaganie nocną, która tak naprawdę nie była nocna i zostawiła ślad na adamaszkowym prześcieradle pułkownikowej, która wchodząc do buduaru, zobaczyła rozmarzoną minę Hansiego i tę plamę, to ona, owa plama wzruszyła gwałtownie Irminę oraz idącą za nią Matyldę.

Oprócz orderu Pour le Mérite zielonooki pułkownik von Siegenbach otrzymał od cesarza szklane niebieskie oko, bo wszak Wilhelm Hohenzollern nie patrzył w oczy swoim oficerom sztabu. Tak tedy wojna toczyła się zgodnie z jej absurdalną logiką, a zmasa, która była wszak dzienna, i oko wypuszczone za pomocą szaszki esaua, to był początek. Dalej mogło być tylko gorzej. Pułkownik czuł się bohaterem, to on był pierwszym poszkodowanym, chociaż potyczka nie przyniosła realnego rozstrzygnięcia, oko, w zasadzie jego brak, było dowodem, że ta wojna będzie trudna.

Na Irminie bohaterska rana i przypięty na galowym mundurze Pour le Mérite nie zrobiły zbyt wielkiego wrażenia. Okrutne opowieści Matyldy o wojnie 1870 roku jawiły jej ten czas jako apokalipsę, a czarna opaska na oku pułkownika była epizodem, zwłaszcza że pułkownik posiadał drugie całkiem sprawne oko. Von Siegenbach przyjechał do domu pięknym czarno lakierowanym landem z herbem Hohenzollernów na drzwiczkach. Cztery kare hanowery dodawały blasku bohaterskiemu niedostatkowi optycznemu, które cesarska armia utraciła na skutek szarży kozackiej końmi na gumowych podkowach. Franosch stał z wypiętą piersią i służalczo trzymał drzwi landa, z którego dostojnym krokiem wysiadał już jednooki pułkownik, chluba i bohater cesarskiej armii. Irminie było żal męża, Matylda jak prawdziwa służąca płakała autentycznymi łzami pruskimi z Pomorza Przedniego, który to kraj przyniósł tylu bohaterów zjednoczonej już wszak Rzeszy. Utykający Franosch wniósł do mieszkania pułkownikostwa dwa sakwojaże z kożłowej skóry



Hans Bellmer, *Les yeux bleus*, rysunek

z wytłoczonymi na nich herbami von Siegenbachów (za co otrzymał całą markę). W jadalni oświetlonej kryształowym żyrandolem na stole przykrytym seledynowym obrusem półmisek wielkości pancernika Schlesien, leżały na nim dwa tuziny ptaków, bo rozpoczął się czas kuropatwian. Owe ptaki upolował był przyjaciel pułkownikostwa kompozytor Olaf Sioman, który będąc Szwedem, nie wiedzieć czemu lubił polować na kuropatwy w okolicach Bańgowa, miejscowości na granicy prusko-rosyjskiej. Każdy z ptaków był owinięty wędzoną słoniną. Pułkownik, wznosząc toast za Olofa Siomaną, uczcił jego bohaterstwo, bo wszak rzezi kuropatw Olaf Sioman dokonał na granicy, a kuropatwy być może były rosyjskie. Czyż bohaterstwo pułkownika von Siegenbacha nie było też rzadkim, owocem wojny? Jorgen rozkoszował się tym wszystkim, patrząc z wyższością na swoich gości, którzy oprócz Siomana siedzieli przy tym pięknym biedermaierskim stole, a byli to: dyrektor górniczy z Zarządu kopalń księcia pszczyńskiego, prokurent Dresdner Banku z żoną, plenipotent księcia Sułkowskiego z Bielska z żoną i dwiema córkami, właściciel salonu

z futrami, który wszak Żyd był niemieckim patriotą. Wojna była zatem przedziwnym tworem człowieka, bo najpierw się bili, a potem pili, wychwalając bohaterstwo pułkownika Jurgena, którego nie widzieli, a jedynie pusty lewy oczodół był istotą tej chwały. Dom przy Beatestrasse wypełnił się bohaterstwem. Po krótkich idach pułkownik pakował się i pojechał na rekonwalescencję do Bad Kudowa.

Miasto szalało, choć z pozoru wyglądało tak samo, ludzie chodzili spieszenie, tak przynajmniej wydawało się Hansiemu, który rano chodził do niedalekiej mleczarni, w której oborach stały czarno-białe krowy, a do kółek przy rampie przywiązane były konie. Hansi lubił chodzić do tego tajemniczego zakątka. Ojciec się dął, że nie po to płaci służącej, aby jego syn z bańką po mleko chodził. Plac mleczarni wybrukowany był dużymi polnymi kamieniami, na których ślizgały się nogi zwierząt. Z dwiema bańkami do mleczarni chodziła Matylda. Nie wiedzieć czemu, Hansi się dziwnie czerwienił. No cóż, takie chłopięce fochy, a może silne wzruszenia, które symbolizowały początki mężnienia. Zapach mleka łączył się z zapachem końskiego potu. Matylda delikatnie głaskała go po głowie, co wyraźnie sprawiało przyjemność Hansiemu, chociaż nie chciał okazywać tego. Razem wracali do domu, Matylda objuczona dwoma bańkami mleka i Hansi z jedną. Kończył się sierpień, upały nie były już tak gwałtowne, słońce pochylało się szybciej ku zachodowi.

Hans chciał być rysowany przez Irminę, gdzieś w środku ta chęć zdecydowanie wzięła górę nad delikatną wszak wyobraźnią. W tym właśnie momencie uchyliły się drzwi u adwokata Matczyńskiego i pojawiła się w nich delikatna twarz Beatrycze. Wejdz Hansi – powiedziała miłym dziewczynskim głosem – pokażę ci moje lalki. Wszedł do mieszkania, które było jakby lustrzanym odbiciem ich mieszkania, tylko rozświetlone pastelowymi kolorami ścian. W pokoju Beatrycze zobaczył coś, co go zaskoczyło. Pokój był wypełniony lalkami. Wszystko to były lalki o różnych wymiarach i wyrazach twarzy, część z nich ubrana była w czarne sukienki, to potęgowało wrażenie, a było ono niesamowite. Po raz drugi miał więc przygodę z lalkami, które nie wiedzieć czemu pojawiły się w jego życiu, raz za sprawą von Drutta, a drugi raz za przyczyną Beatry-

cze. Dziewczynka uśmiechała się dziwnym lalkowatym grymasem.

– Chcesz się pobawić ze mną? – Beatrycze nie zmieniała wyrazu twarzy.

– Dlaczego ubierasz tak dziwnie swoje lalki? – Hansi zadał to pytanie machinalnie.

– W czarnej sukience leżała umarła moja mama, te lalki to moje mamy, ale nie bój się. One nie są nieżywe, tylko się nie ruszają.

Hansi miał ochotę powykręcać lalkom ręce, nogi, oderwać głowy. Te lalki chyba się śmiały, to było straszne. Wybiegł z mieszkania adwokata jak oparzony, żył w dziwnym świecie. Po raz pierwszy w życiu zdawał sobie sprawę, że żyje w świecie dziwnych ludzi, dziwnych dzieci. Zresztą później dowie się, że wojny są czasem tworzenia dziwnych ludzi. Nie chciał wracać do domu, bo tam też byli dziwni ludzie, to znaczy ojciec ze swoją Hotentotką, matka zastraszona przez ojca. Zadzwoił do drzwi pułkownika. Matylda szeroko się uśmiechnęła, Hansi miał zdumione oczy, one oddawały jego naturalne zagubienie. Zwłaszcza że poczuł się zupełnie samotny. Uśmiech Matyldy przywrócił go do rzeczywistości. Za Matyldą stała Irmina. Życie zaczynało się od nowa, Hansi wszedł szybkim krokiem i zmęczony usiadł przy stole w kuchni. Jak zwykle pachniało tu jabłkami, tyle że trochę inaczej, dochodził do tego zapach cynamonu. Matylda na stolnicy kroїła szarlotkę. Irmina bawiła się włosami Hansa. To było niezwykle przyjemne, dotyk kobiecej cieplej dłoni, to czego pragnął Hansi. Dlaczego życie nie składa się tylko z przyjemnych chwil, jakże inni byliby ludzie, tak wydawało się Hansiemu. Pochłonięty błyskawicznie duży kawałek szarlotki i zaczął się skarżyć na swoje dzisiejsze przygody, mówił o spotkaniu z dziwnymi ludźmi, utkwiał mu w pamięci duet Drutta z Hukiem. Erwin Huck z jego twarzą nawiedzoną tikami. Takie twarze się pamięta, bo jakże inne są od twarzy innych ludzi, którzy nie zwracają na siebie uwagi.

Matylda stała wyprostowana, nagle zaczęła mówić do Irminy tym wschodnio-pomorskim bełkotem. Irmina była poruszona, bo ona o dziwo rozumiała ten Matyldowy volapük. Matylda mówiła, że Franosch mówił, że przy Grundmanstrasse w oficy-nach policja wykryła straszną sprawę, w swej istocie kryminalną i ze wszech miar straszną. Otóż – wyjaśniała nadal w sposób niezrozumiały dla Hansa – w tych oficyńskich pomieszczeniach stare kobiety gwałciły małych i nie całkiem młodych chłopców, zwabiając ich jednomarkową łąpówką. Chłopcy mówili potem, że kobiety te były niezwykle brutal-



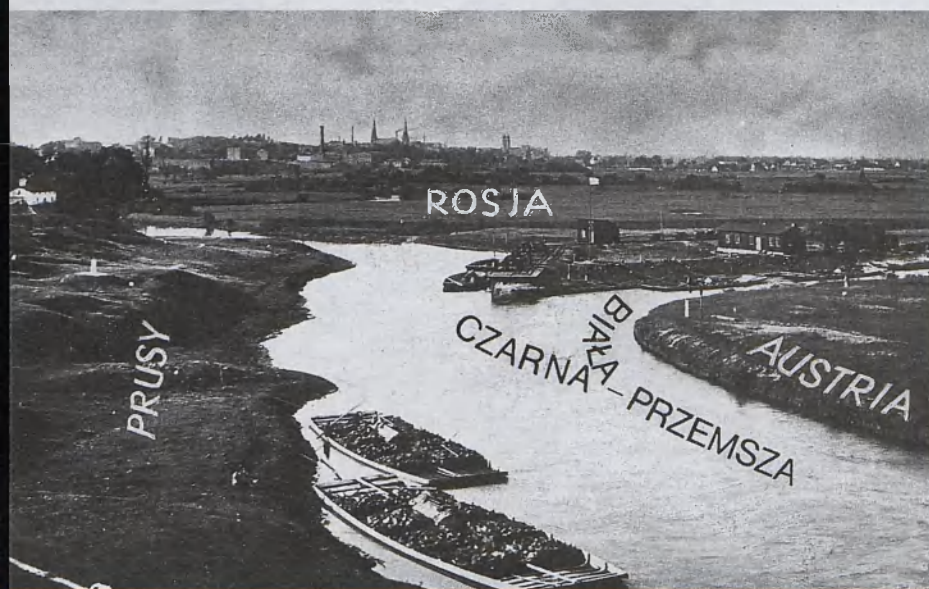
Hans Bellmer, *Femme de dos*, rysunek

ne, bo wiązały im przyrodzenie sznurkiem w okolicach krocza tak, aby krew mocniej napływała. Matylda fachowo wyjaśniła istotę gwałtu przerażonej Irminie, która stała oniemiała, bowiem jako osoba dystygnowana nie miała pojęcia o wydarzeniach, które działy się w mieście. Irmina przytulała Hansiego, który nie wiedział, co się dzieje. Kobiety usiadły obok Hansa i wpatrywały się z troską w jego delikatną twarz.

Trzeba wrócić do sztalug – powiedziała zdecydowanym głosem Irmina, muszę koniecznie skończyć portret Hansa. Do Hansa powoli docierało, że stało się coś strasznego, coś co być może wpłynie na dalsze jego życie. Stał w pozycji Adonisa, tylko nie miał już swojego naturalnego uśmiechu, Hanssem wstrząsały nie tyle słowa Matyldy, których nie rozumiał, co pokój lalek Beatrycze Matczyńskiej, zwłaszcza te ubierane w czarne sukienki. To były małe wdowy tej wojny. Z szarego papieru, kreślonego delikatnie kreską, wychodził ni to chłopiec, ni to młodzieniec. To była w rozumieniu Irminy forma przejściowa między dzieckiem a młodym mężczyzną. Irmina rysując, miała przed oczami widok maltretowanych chłopców, gdzieś niedaleko stąd. Powoli zaczynała rozumieć, że wojna dotrze do wszystkich i być może zmiecie jej świat. Chciała powstrzymać chwilę, którą być może zapamięta na resztę życia.

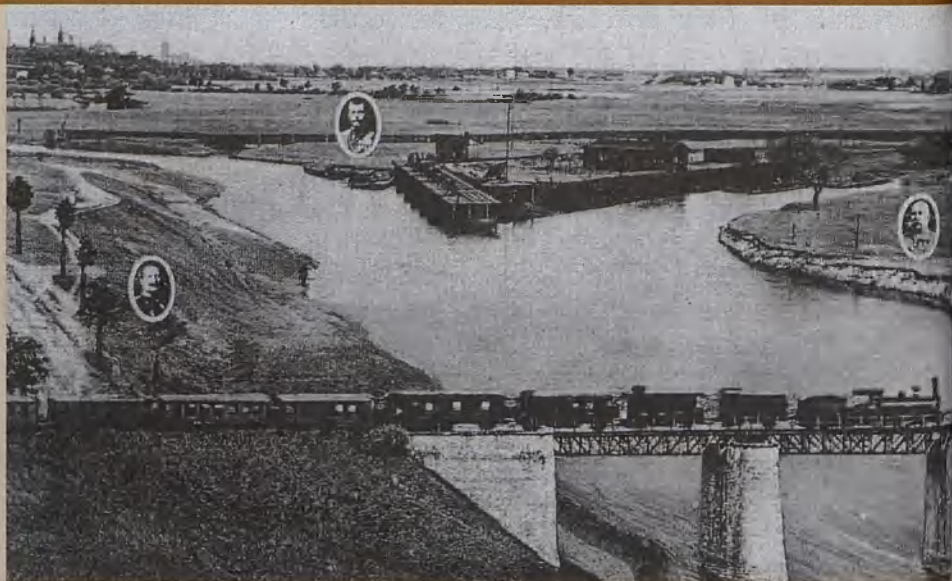
Koniec

W CESARSKIM TRÓJKĄCIE



Trójkąt Trzech Cesarzy. Dreikaiserecke. Przed stu laty trzy monarchie, trzy państwa, trzy prowincje, a dzisiaj trzy sąsiadujące miejscowości: Mysłowice, Sosnowiec i niegdyś galicyjski Jęzor, należący teraz do Sosnowca. Niewątpliwie miejsce symboliczne.

Trójkąt Trzech Cesarzy na pocztówkach z przełomu stuleci



Przy zbiegu Białej Przemszy i Czarnej Przemszy nie od razu schodziły się granice trzech monarchów. Po trzecim rozbiórze Polski w 1795 roku Rosja nie sięgała do Zagłębia Dąbrowskiego. Przyłączono je wtedy na krótko (do 1807 roku) do państwa pruskiego. W tym miejscu granice Austrii, Prus i Rosji spotkały się dopiero po kongresie wiedeńskim 1815 roku. Nowe granice przetrwały sto lat, a zniknęły z upadkiem Habsburgów, Hohenzollernów i Romanowych.

Naprzeciwko pruskiego Górnego Śląska (który nie należał do zaborów, chyba że zabrany przez króla pruskiego Habsburgom) znajdowały się najpierw

pierw wchłonięty przez Jaworzno, a dzisiaj należący do Sosnowca (od 1953 roku). Można dotrzeć wreszcie od strony pruskiej, czyli od Mysłowic.

Po stronie myślowickiej do Trójkąta można wyruszyć Promenadą, którą niegdyś specjalnie w tym celu wytyczono. Mijamy po drodze najpierw źródło z głową lwa (niegdyś z brązu, a teraz oczywiście już tylko z gipsu). Po lewej stronie trasy zrujnowana murowana brama do dawnego dworku Sułkowskich, którzy tak silnie zapisali się w historii Mysłowic (Słupnej). Dworku nie ma od dawna. Spłonął jeszcze w 1894 roku, a wtedy jeden z przedsiębiorców dobudował do jego resztek restaurację „Fürstenschloss”, do której zaglądali potem turyści w drodze do wieży Bismarcka. Restauracji dawno nie ma, a w okolicy zbudowano nowe klockowate domy.

Dochodzimy do ulicy Portowej, gdzie niegdyś cumowały płaskodenne galary. Można tylko domyślać się kształtów dawnej przystani, z której galary naładowane węglem wypływały Białą Przemszą, by za chwilę popłynąć zjednoczoną już Przemszą dalej do Wisły.

Nadal stoi przy ulicy Portowej budynek niegdyś eleganckiej restauracji „Dreikaiserecke”, lecz jego dawnego przeznaczenia można także tylko domyślać się po kształcie fasady. Dzisiaj to trochę ruina, a trochę budynek mieszkalny, zamieszkały na piętrze (gdzie niegdyś były pomieszczenia hotelowe). Za gmachem restauracji przed stu laty

rozciągał się kompleks ogrodu rozrywkowego, gdzie każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Restauracja z ogrodem była najważniejszym punktem na trasie do Bismarcka.

Droga prowadziła dalej do mostu kolejowego nad Przemszą (trasa z Mysłowic do Szczakowej i Krakowa), a potem pod nim: między pierwszym filarem a wodą rzeki. Nie ma już dawno kapliczki znajdującej się niegdyś przy moście kolejowym. Dzisiaj pierwszy most już nieczynny, bo obok przerzucono nad rzeką kolejne i nimi przelatują pociągi.

Gdy w połowie XIX stulecia uruchomiono linię kolejową między Wrocławiem i Krakowem, przez Mysłowice, Gliwice i Katowice (których jeszcze nie było), nową drogą mogła wyruszyć emigracja za-



Przy zbiegu Białej i Czarnej Przemszy od strony myślowickiej – dzisiaj

Królestwo Polskie (z carem rosyjskim jako królem) oraz Rzeczpospolita Krakowska, którą zlikwidowano w 1846 roku. Nawet i wtedy miejsce zbiegu Białej i Czarnej Przemszy trudno nazywać cesarskim, skoro Prusy były zaledwie królestwem. Dlatego Trójkąt Trzech Cesarzy ma początek po 1871 roku, gdy króla pruskiego Wilhelma koronowano na cesarza niemieckiego. Pierwotnie posługiwano się zresztą terminem „kąta trzech krajów”, a potem „kąta trzech cesarzy”, lecz w polskim tłumaczeniu ktoś użył „trójkąta” i tak już pozostało.

Do zbiegu Białej i Czarnej Przemszy, które zlewają się w jednolitą Przemszę, można dostać się od strony sosnowieckiej (rosyjskiej), kierując się od strony Niwki. Można dostać się od strony austriackiej, gdzie nadal znajduje się Jęzor, naj-



Tylko zrujnowana brama pozostała z dawnego dworku Sułkowskich



Przy Portowej stoi budynek restauracji „Dreikaiserecke”, lecz jego dawnego przeznaczenia można domyślać się po fasadzie

robkowa z pobliskiej Galicji i potem z całej Europy wschodniej. Punktem początkowym wielkiego *exodusu* za chlebem były Mysłowice jako stacja graniczna. Droga wiodła do Berlina i dalej do Bremy, Hamburga, Rotterdamu, a stamtąd do USA, Brazylii i Argentyny. Miliony dziewiętnastowiecznych *gastarbeiterów* otarli się o Trójkąt Trzech Cesarzy, mijając go przy wjeździe do Mysłowic. Także i dzisiaj można go zobaczyć, spoglądając przez okna pociągu z Krakowa do Katowic i Wrocławia.

Przed stu laty zaraz za mostem kolejowym znajdował się most dla pieszych, którym można było swobodnie, bez paszportu, przejść przez Przemśkę ze strony niemieckiej na austriacką (czyli do Jęzora). Korzystały z niego tysiące okolicznych mieszkańców i potem turystów, by zaopatrzyć się w tańszą żywność w rozlicznych kramach stojących w Jęzorze wzdłuż Przemśki. To się skończyło, oczywiście, z wojną światową i po wojnie.

Jednak most dla pieszych istniał jeszcze przez wiele kolejnych dziesięcioleci. Dzisiaj już go nie ma. Nie ma też przystani dla parostatków turystycznych, którymi sto lat temu można było popłynąć do zbiegu Przemśki i Wisły, a nawet i dalej do Krakowa. Mniej więcej stąd, spod mostu kolejowego, prowadziła alejka już prosto na wzgórze z wieżą Bismarcka.

Największe zainteresowanie Trójkątem Trzech Cesarzy nastąpiło po roku 1907, gdy w jego najwyższym miejscu, czyli na wzgórzu słupeckim, postawiono jedną z wież Bismarcka, które na przełomie stuleci stawiano w wielu miejscach Rzeszy dla upamiętnienia jej twórcy. Mysłowicka wieża, zaprojektowana przez architekta Wilhelma Kreisa z Drezna, miała 20 metrów wysokości, a postawiono ją z bloków granitu z kamieniołomów ze Strzegomia, na trzystopniowej podstawie. Po jej wewnętrznych schodach dochodziło się do pomieszczenia z medalionem kanclerza Bismarcka z brązu, a dalej na taras widokowy.

Z pagórka po stronie niemieckiej – zapisał wtedy, w 1911 roku, regionalista Richard Knötel z Mysłowic – roztaczał się wspaniały widok na dolinę Przemśki z jej pięknym krajobrazem. Panorama jedynej tego rodzaju zakątki na świecie była bardzo interesująca z punktu widzenia geograficznego, historycznego i kulturalnego.

Zwalista bryła Bismarckturm z cesarskim orłem na fasadzie dominowała nad okolicą, przyciągając uwagę przechodniów i tury-

stów. Była przejawem niemieckiej potęgi, znakiem cesarskiej pychy. Niemniej stała się także wielką atrakcją, która wpłynęła na ożywienie turystyczne w nadgranicznych Mysłowicach. W latach przed Wielką Wojną do Trójkąta zaczęli przybywać turyści już nie tylko z Rzeszy, ale z całej Europy.

Do zagłady Trójkąta Trzech Cesarzy doszło, gdy dwaj cesarze stanęli przeciwko trzeciemu. Już w pierwszych dniach I wojny światowej Rosjanie wycofali się (wysadzając przedtem most kolejowy), by już nie powrócić, przynajmniej przez trzy dekady. Trójkąt przestał być trójkątem, stając się na chwilę „cesarskim dwukątem”, jeśli to określenie sensowne, a potem zniknęli pozostali cesarze.



W 1907 roku postawiono wieżę Bismarcka

Jesienią 1918 roku Mysłowice należały nadal do Niemiec, ale naprzeciwko zamiast patroli austriackich i rosyjskich pojawiły się polskie. Po kilku kolejnych latach także Mysłowice wraz częścią Górnego Śląska trafiły do Polski. Zniknęły szlabany graniczne, ostała się wieża Bismarcka, którą nazwano teraz imieniem Tadeusza Kościuszki. Jednak nowa nazwa nie za bardzo się przyjęła.

Budowla przetrwała do lat trzydziestych, gdy wojewoda śląski Michał Grażyński postanowił porusuwać wieżę Bismarcka, w ramach walki z niemczyzną, jeśli tylko znajdowały się w zasięgu jego władztwa (czyli myślowicką i katowicką). Z wieżą katowicką poszło szybko. Natomiast w Mysłowi-



Przy Portowej nie utrzymał się market Bismarcka

cach radni nieco się opierali, stosowną uchwałę podjęli dopiero w 1937, a do rozbiórki zabrali się w 1938 roku. Może było im szkoda wieży...? Zadmowała się w ich krajobrazie, a niektórzy może pamiętali, że przedtem przynosiła miastu pożytki.

Gdy wieżę zburzono, granitowe bloki wykorzystano przy budowie kościoła Matki Boskiej Bolesnej w niedalekich Brzęczkowicach i Katedry Chrystusa Króla w Katowicach. Z solidnego granitu po Bismarcku położono schody katowickiej katedry. Jednak znaczne fragmenty budowli jeszcze długo po ostatniej wojnie zalegały w rozrzuconiu na słupczym wzgórzu.

Pod koniec II wojny światowej Niemcy postawili na nim bunkry, lecz nie pomogły przed Armią Czerwoną. Bunkry nadal tkwią na zalesionym wzgórzu. Z czasem miejsce po wieży Bismarcka obrosło licznymi drzewami i zaroślami. Nie wiadomo, czy czasem nie ostał się między nimi symboliczny dąb Bismarcka, posadzony w czasie, gdy zbudowano wieżę.

Potem na kilka dziesięcioleci wokół Trójkąta zapanała cisza, a myślowicką Promenadę przemianowano na Aleję ZMP (czyli komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej). Nikt już nie produkował kolorowych pocztówek z cesarzami. Raz tylko, w końcówce PRL, przypomnieli sobie o Trójkącie aktywiści katowickiego PRON (kto pamięta, że to prokomunistyczna Patriotyczna Rada Ocalenia Narodowego), proponując ustawienie w nim kłopotliwego pomnika marszałka Piłsudskiego, odnalezionego wtedy w chorwackiej pracowni rzeźbiarza Antuna Augustinčicia, a zamówionego przed wojną przez Grażyńskiego. Bali się komuniści, że stanie pod komitetem wojewódzkim, dlatego chcieli postawić go w zapuszczonym Trójkącie.

Dopiero, paradoksalnie, wejście Polski do Unii Europejskiej w 2004 roku spowodowało nowe zaciekawienie Trójkątem Trzech Cesarzy jako miejscem Europy niegdyś podzielonej. Już w 2004 roku prezydenci trzech sąsiadujących miast, Mysłowic, Jaworzna i Sosnowca, odsłoniли wspólnie głaz pamiątkowy w miejscu wieży Bismarcka, a władze sosnowieckie na swojej części Trójkąta postawiły obelisk pamięci o dawnym podziale Europy i jej zjednoczeniu (w 2007 roku).

Pojawiły się nowe pomysły turystyczne, lecz na razie skończyło się na planach. No i wieży Bismarcka vel Kościuszki już nie ma i raczej nie będzie. Niemniej Trójkąt staje się ponownie atrakcją turystyczną. Więcej dla jego popularyzacji zrobiono po stronie sosnowieckiej (np. albumy z pocztówkami wydane przez muzeum sosnowieckie). Po stronie myślowickiej Trójkąt tonie w zaroślach i niełatwo dostać się do niego, chociaż to Mysłowice zawdzięczają mu najwięcej, bo czasy największego rozwoju na przełomie XIX i XX wieku.

Dziwne to wrażenie obcowania z zaginionym światem. W myślowickiej Słupnej, przy ulicy Portowej, można odczuć, że po Wielkiej Wojnie tętniąca życiem okolica już się nie podniosła. Zniknęła z pejzażu wieża Bismarcka znad granicy, której też nie ma. Z nią zniknęli turyści, a z nimi restauracje i przyległe atrakcje. Nie wypływają już galary z martwej dzisiaj Portowej, która tylko nazwą poświadcza o życiu sprzed stulecia. ■



Prezydenci Mysłowic, Jaworzna i Sosnowca odsłoniłi głaz pamiątkowy z okazji wejścia Polski do Unii Europejskiej



A po stronie sosnowieckiej postawiono obelisk pamięci o dawnym podziale Europy i jej zjednoczeniu



WENTYL

Z dedykacją dla A.W.

*Świadomość śpiewającego jest wypełniona
wolą wyzwoloną.*

Arthur Schopenhauer

*...uciekłem,
wślizgując się w muzykę.*

Thomas Bernhard

Wielki mitolog James George Frazer w drugim tomie wydanej przed stu laty *Złotej gałęzi* zapisał, że „każda wiara ma swą muzykę, a różnica między wiarą da się niemal wyrazić w muzycznym zapisie”. Jeśli istnieje coś takiego, jak górnośląska wiara jako specyficzny duchowy rys, albo ogólniej górnośląska metafizyka, to winna ona egzystować w dźwiękach i wieść muzyczny żywot. Musiałyby manifestować się poprzez akordy i muzykę. Powinno się ją słyszeć.

Pewne potwierdzenie faktu, że tak właśnie jest, otrzymujemy od Maxa Herrmanna-Neissego, który głosił, że „Śląsk zawsze był obdarzony śpiewakami”. Uwaga nyskiego poety wiele mówi o muzycznym, śpiewaczym Górnym Śląsku. Objawia Górny Śląsk jako krainę z ducha śpiewu i muzyki.

Dodam, że muzyczność i muzyczne kompetencje dzisiejszego Górnego Śląska uchodzą za bezsporne i są szeroko w świecie podziwiane. Wymieniam: Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia w Katowicach, twórczość lwowiaka Wojciecha Kilara i Henryka Mikołaja Góreckiego z Czernicy koło Rybnika, śląskie chóry, SBB (Silesian Blues Band) Józefa Skrzeka, Rawa Blues i Ireneusz Dudek, Dżem i Rysiek Riedel, OFF Festival etc. Te fenomeny i ci artyści nie zawiśli w próżni, zakotwiczni są w śląskiej muzyczności. A kto chciałby zupełnie bez kluczenia dotknąć esencji śląskości muzycznej, powinien udać się do Muzeum Organów prowadzonego przez profesora Juliana Gembałskiego w budynku Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego.

Muzyczność górnośląska ma swą tradycję. Przynajmniej dwustuletnią. I swój początek. A wszystko zaczęło się od wentyla... Od pruskiej industrializacji, parowej maszyny i właśnie wentyla. Górny Śląsk składa się tak samo z melodii i rytmu,

jak z dymu, pary i dmuchania. Nie jestem pewien, czy bez dęcia mógłby Górny Śląsk w ogóle istnieć. I bez sprężanego powietrza. I bez ustawicznego pompowania. I bez pary oraz instrumentów dętych. Górny Śląsk – jak jakiś ogromny dęty instrument. Być może to rodzaj instrumentu nie całkiem subtelnego, marszowego, militarystycznego. Za mało delikatnego. Prawdopodobnie górnośląska delikatność to fantasmagorie. Delikatna byłaby raczej harfa, mówią mi, a Górny Śląsk to prędkiej głośny werbel. Nie przecząc temu, pragnąłbym zastanowić się nad blaszanym i dętym urokiem trąbkowego naszego dziedzictwa, poszukując piękna w genealogii industrialnej, wywodząc wrażliwość od blachy.

Boć grze orkiestry dętej, górniczej bądź jakiejś innej nie brak artykulacji lirycznej i poetyckiej. A na pewno nie zbywa jej woli uwznioślenia, przezierającej się poprzez zgiełk fabryczny i uliczny. Wiem, co mówię, niedawno słuchałem w Łodzi takiej orkiestry z czerwonymi pióropuszcami. I nawet gdybyśmy nazwali tego typu uprawianie muzyki plebejskim, nie zapominajmy, że posiada ona walor dionizyjski. Każdy nurt dionizyjski jest ze swej istoty ludowy i plebejski. Aspekt dionizyjski byłby ważki, ponieważ wyzwala to, co subiektywne i indywidualne – przyczyniając się do samoswiadomości czy też po prostu do zwykłego zadowolenia i radości. Nie dałoby się chyba pełnoprawnie nazwać tej muzyki i tego muzykowania ludowym, gdyż nigdy nie była wykonywana na ludowych instrumentach.

Ale wróćmy mikrologicznie do kwestii wentyla. Był wietrzny dzień kwietniowy, dzień wielkotygodniowy do tego. W Berlinie, mimo oślepiającego słońca, jak gdyby już letniego, nie było wcale ciepła. Wiatr wiał lodowaty i nasyceny

zapachem morza. Spacer po Tiergarten bardzo miły i rozszerzający myśl, ale zziębły mi ręce, uszy i nos. Na oślep trochę ruszyłem przed siebie i wyszedłem z zieleni Tiergarten, postanawiając czym prędzej się ogrzać. W ten sposób trafiłem do Museum des Staatlichen Instituts für Musikforschung (Muzeum Państwowego Instytutu Muzykologii). Nie było do końca przypadkowe moje wtargnięcie do tego gmachu muzealnego. Od jakiegoś czasu, z powodu *Symfonii romantycznej* Hectora Berlioz, miałem ochotę przyjrzeć się z bliska różkom angielskim, a nawet ich dotknąć, jeśli byłoby to możliwe.

Zobaczyłem najpierw cymbał Jana Sebastiana Bacha i od razu zmieniłem swój stosunek zarówno do cymbałów, jak i samego słowa „cymbał”, które wydaje się szalenie piękne. Dawni mistrzowie nie tylko wyrabiali ładne przedmioty, lecz także ładnie umieli dawać im imiona. Przyznaję, że prawie wszystkie chordofony zrobiły na mnie duże wrażenie: czegoś podobnego o nazwie kinnor – pomyślałem – dotyczyły delikatne palce króla Dawida, gdy muzyką i śpiewem wyganiał złe duchy. Muzyka, warto to wiedzieć, egzorcyzmuje. Widziałem też przepiękną harfę pedałową wykonywane i używane w Paryżu.

Zachwycił mnie najmocniej chyba klarnet basowy (*clarinetto basso in A*), instrument drewniano-blaszany, wykonany przez mistrza nieznanego około roku 1800. Wyglądał jak wąż zbożowy leniwie rozciągnięty po połknięciu myszy. Przypominała mi się zaraz solowa partia klarnetu basowego w *Dziadku do orzechów* Piotra Czajkowskiego, choć nie jestem pewien, czy wykonuje się ją na tym samym rodzaju klarnetu.

Znużony nadmiarem (głównie kształtów, a mniej nazw), udałem się ku ekspozycji instrumentów blaszanych. I tutaj zaczyna się historia wentyla – a także pewna nowa odsłona dziejowa kultury na Górnym Śląsku, jak chciałbym przekonywać. Wentyla, który zrewolucjonizował muzykę oraz przyczynił się udoskonalenia blaszanych dętych instrumentów muzycznych.

Pierwej był wentyl prozaiczną częścią instrumentarium maszyny parowej (która funkcjonuje notabene jak orkiestra!). Od 1813 roku zaczęto wentyla używać nie tylko przy budowie maszyn parowych, ale także do produkcji instrumentów. Chodzi o taki wentyl, który jest zaworem blaszanych rurek dodawanych do instrumentów dętych. Nosi on nazwę krąglika. Wzmocnia słup powietrza (łatwiej grać), ale przede wszystkim różnicuje wysokość dobywanego z instrumentu dźwięku, zwiększając znacznie możliwości jego użycia.

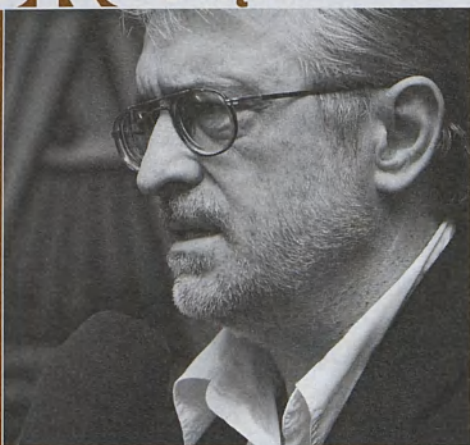
Nie znam się ani na muzyce, ani na instrumentach. Ani tym bardziej nie pragnę popadać w muzykologiczną manię jak bohater książki Thomasa Bernharda, który wyznaje: „Każdy człowiek ma swoją manię mówienia, u mnie jest ona muzykologiczna”. Wydaje mi się jednak, że zadziałały tutaj, gdy myślę o roli wentyla w kontekście Górnego Śląska, siły wspaniałej konwergencji, gdy przemysłowe spotykało się z działalnością bezinteresownie oddaną pięknu i odpoczynkowi.

Dotykam ważnego zagadnienia estetycznego. Górnośląska mimesis, tak mi się wydaje, nigdy nie dążyła do odtworzenia przyrody, do naśladownictwa natury. Ponieważ była późna i mało ukorzeniona, oddalona od pierwotności, raczej zmierzała do oddania drugiej natury – natury maszyn, miasta, zagęszczenia materialnego. Usiłowała wytrąbić to, co gdzie indziej dawało się wypowiedzieć słowami.

Przewodnik po berlińskiej ekspozycji obwieszczał wyraźnie, iż właśnie na Śląsku, gdzie maszyny parowych było wówczas najwięcej w użyciu, najszybciej wdrożono wentyl w dziedzinie produkcji instrumentów. Trudno mi oprzeć się wrażeniu, że doszło do jakiegoś wielkiego i tajemniczego prze wartościowania. A także do spotkania: bo wentyl zbliżył orkiestrę dętą z bandem czarnoskórych muzyków nowojorskich (następne segmenty wystawy), którzy grają na saksofonach.

Wyobraziłem sobie, że wentylem da się opowiedzieć lokalną historię, która pozostaje w dziwnym zawstydzeniu, i globalną dumną kulturę wysoką. Blacha i pasja z różnych krańców świata, dominujących i zdominowanych, brzmiały wspólnie. Blacha służąca do namiętnego muzykowania różnym krainom i regionom. Blacha szczególnie ukochana na Morawach, na Śląsku, w Czechach i w Bawarii. Wniebowzięte i dęte kładą barwy muzyczne na monotonii świata muzycy zjednoczonych blasz-orkiestr. Przygodnie, przekonujemy się, z maszynami parowymi na Górny Śląsk trafiły nuty. Te delikatne znaczki nanizane na nitki pięciolini. Lecz niezupełnie przypadkowo, bo zaawansowanie cywilizacyjne Górnego Śląska w granicach państwa pruskiego było przecież skokiem tygrysim.

Pomieszanе logosy, kilka języków, wysokie i niskie głosy w dęciu uzyskują harmonię. Równość oddechu. Jak we wspólnym westchnieniu kochanków. A wentyl od razu zyskuje charakter głęboko metaforyczny. Muzyka nie potrzebuje ni słów, ni obrazów. Przeto staje się możliwością budowania wspólnoty, z której uchodzą, za sprawą uczestnictwa w kulturze i sztuce, rozmaite napięcia i ciśnienia. Puzon czy waltornię można rzeczywiście uznać za wentyle bezpieczeństwa. ■



FRANCUSKA KULKA

Połowa lat 90. Wsiadam do auta, kierując się w dolinę Odry. Od razu odnajduję wioskę przylegającą do sympatycznego miasteczka, do którego kiedyś poszła Karolinka, a Karliczek za nią.

Niestety, spotkałem tylko ich betonowe karykatury. Żywych nie widziałem ich także w latach dzieciństwa, choć wytężyłem wzrok i wyobraźnię, bo – co tu kryć – byłem z nich troszkę dumny. Że tacy sławni. Obecni na każdym obozie czy koloniach. Albo wycieczce zakładowej, po której dorośli – rozognieni bezskutecznym poszukiwaniem grzybów – ostatecznie porzucali naszą śląską lipstę i jej wesołego szaca, wcześniej wypijając coś więcej niż tylko flaszeczkę wina. Karolinka i Karliczek musieli oddać pola innym bohaterom, bo o tej porze dzieci i wszystkie rybki śpią w jeziorze. I nie mają głosu. Koniec pieśni.

Nie ma o czym śpiewać. Jakies dwadzieścia lat wcześniej – doprawdy, tylko tyle?! – przez wioskę przejechały sowieckie tanki. Napotkały opór, więc nie oszczędziły ludności cywilnej, przy okazji wycinając w pień miejscowy kler. Karlika mogło wtedy nie być w chałpie, bo go do Wehrmachtu wzięli. A Karolinka? Już się nigdy nie dowiemy, czy zdołała umknąć przed skośnookimi żołdakami. A mojej ciotce się udało. Czy dlatego, że wujek – brat mojego dziadka po kądzieli – jakoś zdołał ją ochronić i wypchnąć przez okno do sadu, wypiwszy potem z oficerem litr bimbrowa na zgodę? Opowiadano mi, że nie wszystkie kobiety z okolicy miały tyle szczęścia. Jedna to nawet zwariowała. Nie zapytałem, czy żyła, gdy przede mną tę historię odsłanianiano.

Nie zapytałem też – bo nie było kogo – skąd wzięto się na pobliskim krzyżu, upamiętniającym poległych w I wojnie światowej, nazwisko panińskie mojej matki, z dołożonym do niego imieniem Ignatz. No, właściwie to wiadomo, bo już w latach 20. okolicznościowe tablice i pomniki ku czci pojawiały się w większości, jeśli nie we wszystkich miejscowościach tej części Górnego Śląska. Czy to był mój krewny? Na sto procent. Mógł to być brat mojego dziadka, najstarszy z rodzeństwa, o którym po

kilkudziesięciu latach pamięć w rodzinie zaginęła (najmłodszy z braci padł dwadzieścia lat później na kolejnej wojnie). Albo jego bliski kuzyn, choć to mniej prawdopodobne.

Bo byli w tej wiosce dwa gniazda rodowe. Po jednym zostały zgłiszczają i resztki sadu, który w roku 1945 dał schronienie ciotce Klarze. Ostał się tam tylko wycug, czyli marne domostwo, do którego prastarym zwyczajem w stosownym momencie przesuwali się łojce „na dożywocie” (czyli moja prababka, co to Polski Ludowej się doczekała, choć całe życie w Prusach żyła, ponoć nie dostępując łaski znajomości języka Goethego).

Po drugim gnieździe nie ma już śladu. Jakby za karę, bo ujek Johann bardziej z Niemcami trzymał. Posesję chyba przejęła gmina, skoro urządzono tu skwerek zieleni. Oba domy były bezdzietne. Dlatego teraz nie mogę być pewny, czy Ignatz, który stradał życie, nie doczekawszy dwudziestych urodzin, był aż tak bliskim moim krewniakiem: z osób, które mogłyby mi jakoś pomóc, nikt nie żyje. Pokładam jeszcze nadzieję w archiwum starej parafii, w sąsiedniej miejscowości (w której Bata jedną ze swych słynnych fabryk obuwia postawił, co to nawet w Peerelu jeszcze jakieś profity przynosiła). Wprawdzie Sowietci mocno naruszyli w tej miejscowości piękny barokowy kościół, to jednak akty chrztów i zgonów zachowały się. Z pomocą wikaariusza udało mi się sięgnąć prawie do XIX wieku.

Na Ignatza zabrakło mi czasu. Musi zachować cierpliwość, której dotąd mu nie brakowało. Ów przydrożny krzyż – właściwie mały pomnik – stał tu przecież także w latach mego dzieciństwa. Był punktem orientacyjnym na drodze, szumnie zwanej „szosą”, a dziś pełniący funkcję dojazdówki do nieodległej autostrady. A żadnych napisów wtedy na pomniku nie było. Choć może jakieś zachowano albo dodano religijną inskrypcję? Nie pamiętam.

Dopiero w latach 90., staraniem stowarzyszenia mniejszości niemieckiej, odkuto zaprawę murarską, jaka pojawiła się na krzyżu w późnych latach 40., może 50. Wszystkie nazwiska są czytelne, nie trzeba było ich odtwarzać. W przeciwieństwie do wielu podobnych nagrobków cmentarnych, kamiennych liter nie skuto, a tylko je zabetonowano. Kto to zrobił i z czyjego polecenia? Pytanie zbędne, skoro były to praktyki masowe, zwłaszcza w niemieckiej części Górnego Śląska, a ta – jak wiemy – po roku 1945 została przyłączona do Polski.

A jednak muszę to retoryczne pytanie zadać, choć gdy siadałem do pisania, wcale nie miałem takiego zamiaru. Rzecz jest bowiem kłopotliwa albo – jak się zwykło w takich razach mówić – paradoksalna. Otóż po zakończeniu II wojny światowej pierwszym sołtysem był tu mój wujek Stanisław (mój Boże! co za imię w niemieckich realiach, więc raczej: Stanik, bo tak się na Śląsku godało), który tak skutecznie przed Sowietami żonę uchronił. Miał wtedy dokładnie 45 lat. Powstańczy rocznik? Zgadza się. Jeden z tych, którzy tu na Polskę czekali, a nawet jej wcześniej pod Górą św. Anny wypatrywali, choć chyba inaczej ją sobie wyobrażali. Czy to w czasie Stanikowych rządów pomnik, na którym widniało imię i nazwisko jego brata, tak zaklajstrowano? Niewykluczone. Na pewno wujek znał to miejsce doskonale, znajdowało się jakieś dwieście metrów od jego domostwa.

W monografii tej miejscowości, pióra samorządowca związanego z mniejszością niemiecką, na temat owego pomnika nie ma ani słowa. Prawdopodobnie autorowi nie wpadły w ręce żadne dokumenty, nie zdołał – wszak to tylko amator, pasjonat – zebrać jakichkolwiek świadectw. Jaka szkoda. Dla jego pokolenia dramat zaczął się dopiero w roku 1945. W ten punkt jeszcze sięgano pamięcią i opowieściami rodziców. To jednak w tej książeczce znalazłem powojenną pieczęć gminną, z zamasztyłym podpisem brata mego dziadka. Ach, co za miła niespodzianka. Odczuwam coś w rodzaju wdzięczności wobec ludzi, którzy odślonili pierwotny kształt tego pomnika. Domów ani moich krewnym już tam nie ma. I chyba nie ma już ich grobów. Nie znalazłem. Tylko ukamienowany Ignatz został.

Jako się rzekło, na Górnym Śląsku w dziesiątkach miejscowości wystawiono pomniki, tablice pamiątkowe i obeliski ku czci poległych żołnierzy armii kajzera. Przetrwały te, które wzniesiono na terenach przykościelnych bądź we wnętrzach świątyń. Ale był z nimi kłopot po roku 1945 i później, na początku lat 90., gdy je odrestaurowywano. Bynajmniej nie w każdym przypadku problemy wynikały z niezrozumienia przez nową polską większość

zawiłości historii Górnego Śląska i braku empatii wobec rodzin, które tu pozostały. W latach 20. i 30. często się zdarzało, że Niemcy – w celach propagandowych – poszerzali formułę upamiętnień wojennych, dołączając do nich poległych „bohaterów z Selbstschutzu”. Bywało, że w latach 40. obok przypinano nowe tablice, nowe symbole wojenne, nazwiska nowych ofiar. Kiedy więc u progu polskich przemian ustrojowych toczono spory o wydziewiek owych upamiętnień, to nie chodziło tylko o kształt stalowych hełmów czy ideową wymowę wykutego w piaskowcu żelaznego krzyża. Teraz wydaje się, że jakoś się z tymi problemami uporaliśmy.

Parę tygodni temu próbowałem odnaleźć osobliwe ślady, jakie Wielka Wojna i wydarzenia po niej następujące pozostawiła w Rokitnicy (dziś: dzielnica Zabrze). Poza patetycznym mauzoleum w pobliskim lesie pełniącym wówczas funkcję publicznego parku, zostały tu posadzone drzewa, pod którymi położono głazy. Każdy żołnierz z tej miejscowości miał tu swój osobisty pomniczek. Niestety, nie udało mi się trafić na żaden z nich, bo przecież dawno zostały skasowane. Myślę jednak, że późniejszy „ludowy” ośrodek sportu i rekreacji – dzisiaj w zupełnej rozsypce – został postawiony właśnie na zgłiszczach tego pachnącego nacjonalizmem „parku pamięci”, z użyciem „nieaktualnych” już wtedy, acz ciągle przydatnych materiałów budowlanych. Wnoszę ze zdjęć z lat 30. i 60., że obie formy „integrowania lokalnej społeczności” były kiczowate. Owe głazy zaś podobno są jednak do zidentyfikowania. Obiecuję sobie, że kiedyś raz jeszcze spróbuję je odnaleźć i dotknąć.

Na pewno nie dotknę już barku i ramienia pewnego staruszka z Chorzowa. A szkoda, bo w jego cieple zapisała się jedna z bitew wojennych. Nie dotknę, nie pogadam i niczego więcej się nie dowiem, gdyż ów dziadek – rodzony, jednego z mych przyszywanych kuzynów – od kilkudziesięciu lat nie żyje. Ile mogłem mieć wtedy lat? Dwanaście? Trzynaście?

- Starzyk, pokoż Krzyśkowi kulka, bo niy wierzy.

- Chopcy, dejcie sie pokój.

- Starzyk, niy być taki. Pokoż!

I pokazał. Siedząc na rycze, rozpiął koszulę i wysunął goły bark.

- Mocie. Możecie macać.

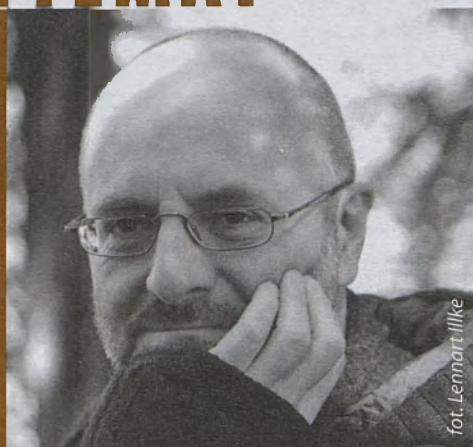
- Kaj?

- Poleku sie to bier.

I faktycznie, francuska kulka przesuwiała się w górę i w dół. W lewo i ciut w prawo. Do kręgosłupa nie doszła.

- Prawdziwo?

- A co? Z marcepana? – starzyk z trudem krył zadowolenie. ■



Nie lubię pożyczać od kogoś książek, bo sam nie potrafię rozstać się ze swoimi. Ale te dwie musiałem zdobyć choćby na kilka dni. Uprosiłem Leszka Ptasińskiego i pożyczył, na tydzień: Hansa Bellmera *The Doll* wydane przez Atlas Press London w 2004 roku i *Death, Desire & The Doll. The life and art of Hans Bellmer* Petera Webba, we współpracy z Robertem Shortem (wydawnictwa Solar Books z 2004 roku).

Teraz kładę przed sobą monografię Webba i patrzę na kolorową reprodukcję na okładce: *The Second Doll* z 1935 roku. Zaraz otworzę album i będę oglądać, ale jeszcze przez chwilę na nią popatrzę. Wiele lat życia ze sztuką zaprowadziło mnie do uświadomienia sobie, że fakt artystyczny, wszystko jedno czy to obraz, rzeźba, fotografia, obiekt, wiersz, powieść, dramat czy świątek z drewna lipowego, jest tak samo ważny, jak jego wcześniejsza historia przed materializacją. Bo skądś się wziął, skądś dotarł na płótno, kliszę czy postument. Nie zjawiał się przecież tak po prostu, przeskakując z pędzla malarza na płótno czy spod klawiszy maszyny do pisania.

Najpierw przecucie, a teraz już chyba pewność pozwoliły mi po latach pracy na teatralnej scenie powrócić do fascynacji, bardzo znów młodzieńczej, sztuką (teatr to jednak bardzo przewidywalne rzemiosło, więc może dlatego). Dlatego uwielbiam dziś, patrząc na dzieło sztuki wizualnej, wyprawy wstecz i pod prąd przedstawionej historii postaci lub form. To jakby cofać z wolna film, albo przeglądać ścinki po montażu, zbyt wprost albo niebezpiecznie odsłaniające sedno sprawy. Może to dziwactwo, ale przecież tyle już napisano o artefaktach, które kryją tajemnice za bezpiecznymi i nudnymi interpretacjami.

Dlatego kiedy znów wpatruję się w *Second Doll* Hansa Bellmera, urodzonego w Katowicach w 1902

roku, wiem, że wiele bym oddał, by dowiedzieć się, skąd się wzięła na tym zielonym suknie, wygięta w łuk, jakby zatrzymana w dynamicznym pas nieznannej choreografii, złożona (może ofiarowana) na dwóch częściach krzesła z początku XX wieku: wypłatanego siedziska i toczzonej nogi.

Wygląda *Second Doll* jak anioł, który spadł z bardzo wysoka, albo harfistka uwalniająca głuche dźwięki z plecionego siedziska, może jak Nike upadła na jedno drewniane skrzydło. Leży znieruchomiała, z siedmiu części na powrót złożona; głowa, wysoko sklepione czoło, delikatne rysy, trochę dziewczynka, trochę kobieta, oczy przymknięte, nos prosty, delikatny, policzki zaróżowione może z rozkoszy, usta tak jakby złożone do pocałunku, dotyka nimi piersi okrągłych wyrosłych na pustym torsie; jedna pierś żółta, druga czerwona, wydrążone wewnątrz, pod nimi brzuch żółty jak gruszka dojrzała, brzuch wchodzi w czerep miednicy jak w łożysko, owoce ud, pod sromem mięsistym, jak dwie jagody; niebieska i czerwona, to niebieskie udo w tuleję kikuta włożone.

Kto i w jaki sposób się tą lalką bawił, że taki przekładaniec piękny i dziwaczny z niej wyszedł, zanim jeszcze Bellmer z głowy swojej ją wyciągnął? Zawsze chciałem napisać monolog tej lalki, żeby opowiedziała o takich jak ona porożrywanych i na powrót złożonych. Jak my.

Ponad trzydzieści kilka lat temu, we Wrocławiu, w czasie studiów historii sztuki, z moim przyjacielem z roku Darkiem Stocesem (prowadzi od lat salon z antykami przy Placu Kościuszki we Wrocławiu), ubzduraliśmy sobie, że zrobimy krótki film fabularny z akcją w oficynie starego domu na Wyspie Piskowej i w klinice lalek.

Wymyśliliśmy, że bohater będzie właścicielem kliniki, gdzie spędza całe dnie, a w swoim mieszkaniu nocami przegląda gazety sprzed stu lat. Prze-

stawiał sobie czas o wiek w tył. Idąc z domu do kliniki nawet nie podnosi wzroku znad chodnika. Dzisiaj go nie dotyczy. W klinice unika wzroku matek i córek kładących mu na ładzie lalki z urwanymi nogami i rękami, z przekręconą głową, odstawia je na półkę, niecierpliwie czeka, żeby psuje sobie wreszcie poszły. Potem grzeje wodę na spirytusowej maszynie, parzy kawę i zaczyna składać to, co jest do naprawienia.

Dziwna, wymyślona historia, ale zrobienie z niej filmu pochłaniało nas bez reszty. Zdobyliśmy ręcznie nakręcaną kamerę, chyba „Nowosybirsk”, dwie rolki taśmy, ogromny, czworonożny, przeraźliwie ciężki, chyba faktycznie stuletni, statyw i kręciliśmy jak zaczadzeni. No, ale trzeba było znaleźć klinikę lalek. Okazało się, że nie trzeba było daleko szukać. Mieściła się, od nie wiadomo kiedy, w pięknym, barokowym gmachu głównym naszego wrocławskiego uniwersytetu. Wejście było, poniżej linii chodnika, od strony ulicy. Zwyczajne drzwi, kartonowa tabliczka z godzinami pracy i napis drukowanymi literami na kartoniku: „Klinika lalek”.

Zagląдалиśmy ciekawie do środka przez szybę w drzwiach, namawiając się, jak przekonać właściciela, żeby zgodził się na kręcenie filmu. Byliśmy pewni, że się zgodzi, że „magia kina” załatwi wszystko. Bardzo byliśmy potem zawiedzeni, gdy właściciel (dziś wydaje mi się, że był raczej niski, w średnim wieku, może w niebieskim fartuchu, chyba w okularach) nawet słuchać nie chciał o filmie, a jak już się dowiedział, że miałby zagrać siebie, to poprosił żebyśmy sobie poszli. Nie to, żeby był niegrzeczny, po prostu powiedział „nie”.

Jak przypominam sobie teraz tę nieszczęsną wizytę, to wydaje mi się, że właściciel kliniki, stojąc przed nami i kręcąc zdecydowanie głową, chciał jakby zasłonić sobą widok otwierający się za nim. Przeszłoby mi zniecierpliwiony z nogi na nogę, przesuwać się to w prawo, to w lewo. Byłem wyższy od niego, więc i tak widziałem co za nim: rzędy półek zastawionych lalkami z grubego, różowego plastiku, najróżniejszych rozmiarów i urody, spoczywającymi w najdziwniejszych pozycjach. Miałem wrażenie, jakby tuż przed naszym wejściem lalki szalały na półkach w jakimś amoku i nagle równo z dzwoneczkiem uderzającym we framugę znieruchomiały. Wyglądało to bardzo nienaturalnie. Zastygły z nagłą zgiełk. A właściciel sprawiał na mnie takie wrażenie, jakby został przez nas nagle przyłapany. Niby na czym? Może czymś wstydliwym?

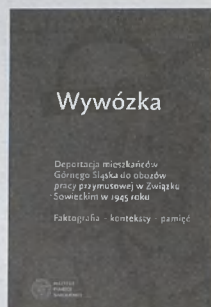
Wyobraziłem sobie wtedy i z dziwaczną przyjemnością noszę w sobie przez lata obraz krnąbrnych, niegrzecznych lalek oddanych do tej kliniki nie dlatego, że jakieś dziecko urwało im nóżkę, ale

dlatego, że w domach, w których wylazły z pudełka owiniętego w świąteczny albo urodzinowy papier, były już najzwyczajniej nie do zniesienia. Te lalki z kliniki nie były podarunkiem dla dzieci, były prezentami dla nieświadomych siebie dorosłych. To ofiarowanie lalek dziewczynkom to tylko złośliwość losu, pretekst do ich bycia w domu albo możliwość przeciągnięcia dziewczynki, chcącej już zaraz przytulić lalkę i bawić się w mamusię, na swoją stronę. Wredną stronę. Bo setki lalek z ohydnych, świńsko różowego plastiku z tamtego wrednego świata przylazły do kliniki. Kiedyś siedziały w salonach mieszkań w wielkich kamienicach – rozkraczane na blatach stołów, na szydełkiem dzierganych białych serwetach i gapiły się wybałuszonymi, szklanymi oczami, myśląc jak się dobrać do tej głupkowatej rodzinki: mamy, taty i dziecka przebiegającego nóżkami, by wziąć lalkę na ręce, wykapać, przebrać i powozić w wiklinowym wózku.

Przysięgłbym wtedy (i dziś też), że w tej wrocławskiej klinice lalek ujrzałem *Second Doll*. Może to przez ten film albo z wszystkiego po trochu, ale była tam i nikt mnie przekona, że nie, choć pewnie tylko w mojej wyobraźni. Wcześniej widziałem ją tylko raz na jakimś wykładzie albo seminarium na ścianie sali wykładowej, wyświetloną ze szklanego przeźrocza z ogromnego, poniemieckiego rzutnika. Ale wtedy była czarno-biała, a teraz kolorowa; różowo, żółto, czerwono, niebieska. Może dlatego, że ona tam była, właściciel kliniki nas pognął, żeby swojej tajemnicy nam nie wyjawiała. A strasznie jej byłam ciekaw. Wyobrażałem sobie różne karkołomne historie, które by mi opowiedziała, a pewnie jedne głupsze od drugih.

Pamiętam, że zastanawiałem się wtedy, patrząc na tłum lalek w tej klinice, dlaczego nikt ich nie odbiera, choć na ładzie blisko biurka właściciela siedziało obok siebie kilka naprawionych z przywiązanymi karteczkami do szyi. Ale reszta gnieździła się na półkach, szafkach, stołach, na parapetach okien, wszędzie. I chociaż prawie każda lalka była inna, różnego wzoru, rozmiaru, to podobne były do siebie jak dwie krople wody, bo były gołe i w tej zbiorowej pokrytej kurzem nagości obrzydliwe, bezwstydne, oszalałe i prowokujące.

Wracając stamtąd do naszej katedry na Szewską, nie myślałem już o filmie, tylko jak ułożyć monolog *Second Doll*. Przez trzydzieści lat go nie skończyłem, ale zacząłem pisać od razu (na waliszkowej „Erice”) i bywało, że po trochu później dopisywałem, zazwyczaj po wizycie u Andrzeja Urbanowicza na Piastowskiej, choć o *Second Doll* ani o innych bellmerowych lalkach prawie nigdy nie rozmawialiśmy. ■



Wywózka. Deportacja mieszkańców Górnego Śląska do obozów pracy przymusowej w Związku Radzieckim w 1945 roku. Faktografia – konteksty – pamięć, red. Sebastian Rosenbaum, Dariusz Węgrzyn, Instytut Pamięci Narodowej w Katowicach 2014, s. 456.

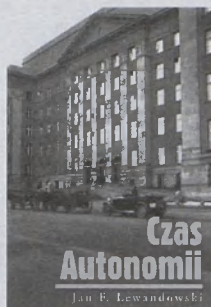
Mirosław Słomczyński, **Kamerzysta. Telewizyjne epizody i historyczne zdrapki**, Wydawnictwo Progress Katowice 2013, s. 378.



Piotr Zaczekowski, **Szkola złudzeń**, wydawnictwo słowo / obraz / terytoria, Gdańsk 2014, s. 208.

Dariusz Węgrzyn, **Od pierwszego strajku do „Trzeciego Szeregu”. NSZZ „Solidarność” Regionu Podbeskidzie (1980–1981). Opis konfliktu politycznego**, Instytut Pamięci Narodowej w Katowicach 2013, s. 668.

Jan F. Lewandowski, **Czas Autonomii**, Stowarzyszenie Alkmena, Chorzów 2014, s. 160.



Leszek Adamczewski, **Na dno szybu. Od Oberschlesien do Górnego Śląska**, Wydawnictwo Replika, Zakrzewo 2013, s. 332.

Maciej Bartków, **Werwolf na Górnym Śląsku. Prawdziwa historia niemieckiego podziemia**, Wydawnictwo Technol, Kraków 2014, s. 704.

Ryszard Kaczmarek, **Polacy w armii kajzera. Na frontach pierwszej wojny światowej**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2014, s. 560.



Dorota Simonides, **Śląski horror. O diabłach, skarbnikach i utopiach**, Wydawnictwo Nowik, Opole 2013, s. 120.

„Czasypismo o historii Górnego Śląska” 2(4), 2013, red. nacz. Adam Dziurok, Instytut Pamięci Narodowej w Katowicach 2013, s. 208.



Lech Szaraniec, **Moje Katowice**, Wydawnictwo Naukowe Śląsk, Katowice 2014, s. 232.

Robert Ciupa, Bogusław Tracz, **Marzenia z betonu. Codzienność na Górnym Śląsku w latach siedemdziesiątych XX wieku**, Instytut Pamięci Narodowej w Katowicach 2014, s. 219.



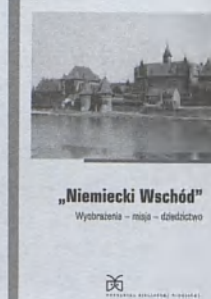
Stefan Szymutko, **Po co literatura jeszcze jest? Pisma rozproszone**, wybór, opracowanie, posłowie Grzegorz Olszański, Marian Jochemczyk, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2013, s. 278.

Ingmar Villqist, **Oddychaj ze mną**, wydawnictwo słowo/obraz/terytoria, Gdańsk 2014, s. 208.



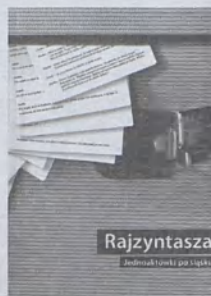
Waldemar Odorowski, **Architektura Katowic w latach międzywojennych 1922–1939**, wyd. drugie zmienione, Muzeum Śląskie w Katowicach 2013, s. 360.

Joanna Jurgała-Jureczka, Zofia Kossak, **Opowieść biograficzna**, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 2014, s. 326.



„Niemiecki Wschód”. **Wyobrażenia – miśja – dziedzictwo**, wybór, wstęp, opracowanie Christoph Klessmann, przekład Izabela Drozdowska-Broering, Jerzy Kałużny, Wydawnictwo Nauka i Innowacje, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Poznań 2014, s. 422.

Zabytki przemysłu i techniki, red. Magdalena Lachowska, Śląski Wojewódzki Konserwator Zabytków, Śląskie Centrum Dziedzictwa Kulturowego, Katowice 2013, s. 241.



Rajzyntasza. **Jednoaktówki po śląsku**, red. Waldemar Szymczyk, Imago Public Relations, Instytucja Kultury Katowice Miasto Ogrodów, Katowice 2013, s. 127.

Dzieciństwo, młodość i wielka budowa. **Wspomnienia tyszan**, wybór i red. Maria Lipok-Bierwiaczonek, Joanna Kucz-Pieczka, Muzeum Miejskie w Tychach 2013, s. 109.



Józef Musioł, **Dramat zaklęty w listach**, Biblioteka Śląska w Katowicach 2013, s. 625.

„Zeszyty Chorzowskie”, t. 14, red. Jacek Kurek, Muzeum w Chorzowie 2014, s. 312.



21 – 23 listopada 2014

Targi Książki w Katowicach

pod honorowym patronatem

Małżonki Prezydenta RP Pani Anny Komorowskiej



- 
- 3 dni święta książek
 - bogaty program wydarzeń towarzyszących
 - ponad 8 tysięcy zwiedzających
 - wsparcie najważniejszych instytucji branżowych i regionalnych
 - wydarzenia przygotowane dla: dzieci i rodziców, bibliotekarzy, nauczycieli
 - warsztaty literackie
 - program adresowany do blogerów książkowych

Organizatorzy:


UNIWERSYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH



KATOWICE
dla odmiany

exposilesia
S o s n o w i e c

www.targiksiazki.eu



facebook.com/targiksiazkiwkatowicach

Kontakt:

Anna Szwedkowicz - Menadżer Projektu
tel. 32 78 87 545. kom. 510 031 696
e-mail: anna.szwedkowicz@exposilesia.pl

KILAR

MOŚ AUKSO

„[...]W SESJACH NAGRANIOWYCH UCZESTNICZYŁ
SAM KOMPOZYTOR. KIEDY OTRZYMAŁ PIERWSZE
WERSJE NAGRAŃ - BYŁ NIMI ZACHWYCONY.
TRUDNO CHYBA O LEPSZĄ I BARDZIEJ
WIARYGODNĄ REKOMENDACJĘ.”

OSKAR ŁAPETA, „PRESTO”

PŁYTA DO KUPIENIA W KSIĘGARNI INTERNETOWEJ
ZŁA BUKA, W SALONIE MUZYCZNYM RAGTIME ORAZ
NA WWW.PWM.COM.PL



Instytucja Kultury
KATOWICE
Miasto Ogrodów